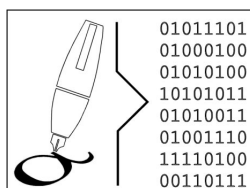


Agata Christie

Karty na stół

Tłumaczyła Krystyna Bockenheim



Tytuł oryginału:
Cards on the Table

Data wydania polskiego: 2001

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1936

Przedmowa autorki

Panuje powszechne przekonanie, że powieść detektywistyczna przypomina wielki wyścig: tu i tam są startujący, a wśród nich — faworyci, na których stawiamy. „Płacisz i wybierasz”. Zasada wyboru w powieści jest i odwrotna niż na torze wyścigowym. Inaczej mówiąc, faworytem jest najmniej prawdopodobna osoba! Wystarczy dostrzec kogoś, kto nie ma żadnych szans popełnienia zbrodni, i w dziewięciu przypadkach na dziesięć zadanie skończone.

Ponieważ nie chcę, aby moi wierni Czytelnicy odrzucili książkę z niesmakiem, wolę ostrzec ich z góry, że to nie ten gatunek. Jest tylko czterech startujących i każdy z nich spełnia warunki, każdy mógł popełnić zbrodnię. To skutecznie eliminuje element zaskoczenia. Niemniej uważam, że w wypadku czterech osób, z których każda popełniła morderstwo i jest zdolna popełnić następne, napięcie będzie równie duże. Przedstawiam cztery różne osobowości, różne motywy, które mogłyby doprowadzić do zbrodni. Dedukcja musi być zatem czysto psychologiczna, ale nie powinno to zmniejszyć zainteresowania, ponieważ najciekawszy jest właśnie umysł mordercy.

Mogę dodać jeszcze jeden argument na korzyść tej historii: jest ona jednym z ulubionych przypadków Herkulesa Poirota. Natomiast jego przyjaciel, kapitan Hastings, po usłyszeniu jej rzekł, że jest bardzo nudna! Chciałabym wiedzieć, z którym z nich zgodzą się moi Czytelnicy.

ROZDZIAŁ I

Pan Shaitana

— Drogi panie Poirot!

Głos był miękki, niski, modulowany — użyty świadomie jako instrument.

Herkules Poirot odwrócił się na pięcie.

Uklonił się i ceremonialnie uścisnął podaną sobie rękę.

W jego oczach pojawił się niezwykle wyraz. Można by powiedzieć, że przypadkowe spotkanie wzbudziło w nim emocje, jakich rzadko miał okazję doświadczać.

— Co za spotkanie, panie Shaitana — odpowiedział.

Zamilkli. Stali naprzeciw siebie podobni szermierzom przed walką.

Wokół snuł się wolno leniwy, elegancki londyński tłum. Uszu ich dobiegał jednostajny szmer przytłumionych głosów.

— Kochanie, są doprawdy rozkoszne! — wycedziła jakaś dama tuż nad uchem Poirota.

— Po prostu boskie, prawda? — doleciało ich z innej strony.

Była to wystawa tabakierok w „Wessex House”. Wstęp: jedna gwinea, na wsparcie londyńskich szpitali.

— Drogi panie — powiedział pan Shaitana — jak miło pana zobaczyć! Czyżby chwilowy przestój w pracy? Sezon ogórkowy w świecie przestępczym? A może ma się tu dzisiaj odbyć napad? Ale chyba nie mogę na to liczyć!

— Niestety, *monsieur* — odparł Poirot — Przyszedłem tu w celach czysto prywatnych.

Uwagę pana Shaitany odwróciło na moment Śliczne Młode Stworzenie, mające po jednej stronie głowy masę loków jak u pudła, a po drugiej — trzy rogi obfitości z czarnej słomki.

— Moja droga — zwrócił się do niej — dlaczego nie przyszedł na moje przyjęcie? Było naprawdę cudownie! Wyobraź sobie, że mnóstwo ludzi naprawdę zwracało się do mnie! Jedna kobieta powiedziała nawet: „Jak się pan ma” i „Do widzenia”, i „Dziękuję panu bardzo”, ale ona oczywiście była z Garden City, biedaczka!

Podczas kiedy Śliczne Młode Stworzenie konwersowało z panem Shaitana, Poirot przypatrywał się pilnie ozdobie jego górnej wargi.

Piękne wąsy, bardzo piękne wąsy, niewykluczone, że jedyne w Londynie, które mogłyby konkurować z wąsami Poirota.

— Nie są jednak tak bujne — mruknął do siebie. — Nie, zdecydowanie gorsze pod każdym względem. *Tout de même**, przyciągają oko.

Prawdę mówiąc, cała postać pana Shaitany przyciągała oko — czego zresztą ów pragnął. Rozmyślnie starał się nadać sobie mefistofeliczny wygląd. Był wysoki i chudy, z długą i melancholijną twarzą, mocno zaakcentowanymi i czarnymi jak węgiel brwiami, wąsami o mocno wypomadowanych końcach i malutką, czarną bródką. Jego ubranie było dziełem sztuki, znakomicie skrojone, nasuwało jednak myśl o dziwactwie.

Każdy zdrowy Anglik zobaczywszy go pragnął gorąco i z całego serca dać mu kopniaka! I każdy, niezbyt zresztą oryginalnie, powtarzał: „To ten cholerny południowiec, Shaitana!”

Na to żona, córka, siostra, ciotka, matka, a nawet babka czy narzeczona odpowiadała: „Wiem, mój drogi. Oczywiście, jest on okropny. Ale taki bogaty! I te cudowne przyjęcia! I zawsze mówi takie zabawne i złośliwe historyjki o ludziach.”

Nikt nie wiedział, czy pan Shaitana był Argentyńczykiem, Portugalczykiem, Grekiem, czy też przedstawicielem jeszcze innej narodowości słusznie pogardzanej przez wyspiarskich Brytyjczyków.

Jednak co do trzech rzeczy nie było wątpliwości:

Miał luksusowe, piękne mieszkanie w Park Lane.

Wydawał znakomite przyjęcia: małe, duże, tradycyjne, dziwne i zdecydowanie *macabre*.

Prawie wszyscy troszkę się go obawiali.

Co do uczucia lęku, trudno było określić jego przyczynę. Być może chodziło o to, iż o każdym wiedział trochę za wiele. Zgadzano się też co do tego, że posiadał dziwne poczucie humoru. Ogólnie uważano, że lepiej go nie obrażać.

Właśnie to jego szczególne poczucie humoru kazało mu dręczyć dziś po południu Herkulesa Poirota.

— Więc nawet policjanci potrzebują rozrywki? — zapytał. — Studiuje pan sztukę w podeszłym wieku, panie Poirot.

Poirot roześmiał się dobrodusznie.

* *fr.* Niemniej

— Widzę, że pożyczył pan trzy tabakierki na tę wystawę.

Shaitana skinął lekceważąco ręką.

— Zbiera się drobiazgi tu i tam. Mam parę interesujących sztuk. Nie ograniczam się do jakiegoś szczególnego okresu ani do kategorii przedmiotów.

— Ma pan liberalny gust — powiedział Poirot z uśmiechem.

— Ma pan rację.

Nagle pan Shaitana niespokojnie poruszył oczyma, wykrzywił usta i uniósł brwi tak, iż przypominały odwróconą literę „V”.

— Mógłbym nawet pokazać panu parę obiektów z zakresu pańskich zainteresowań, panie Poirot!

— Ma pan zatem prywatne „czarne muzeum”.

— Phi — pan Shaitana pstryknął pogardliwie palcami. — Kubek, którego używał morderca z Brighton, łom słynnego włamywacza — to dziecinada! Nigdy nie zajmowałbym się podobną tandetą. Zbierani wyłącznie najlepsze okazy z każdego gatunku.

— A co uważa pan, mówiąc górnolotnie, za najlepsze eksponaty w zakresie zbrodni? — dopytywał się Poirot.

Pan Shaitana pochylił się i położył dwa palce na ramieniu Poirota.

— Ludzi, którzy ją popełnili — syknął dramatycznie.

Brwi Poirota nieznacznie się uniosły.

— Aha, zaskoczyłem pana! Mój drogi, patrzymy na tę sprawę z diametralnie różnych punktów widzenia. Dla pana zbrodnia jest sprawą rutyny: morderstwo, śledztwo, rozwiązanie i w końcu (ponieważ jest pan niewątpliwie zdolnym człowiekiem) skazanie. Takie banały mnie nie interesują! Nie obchodzą mnie nieudacznicy. Złapany morderca jest kiepskim mordercą. Drugorzędnym. Nie, ja patrzę na tę sprawę z artystycznego punktu widzenia. Kolekcjonuję tylko najlepszych!

— Najlepszych, czyli...?

— Tych, którym się udało! Szczęściarzy! Zbrodniarzy, którzy wiodą przyjemne życie, na których nie padł nawet ślad podejrzenia. Przyzna pan, że to zabawne hobby.

— Inaczej bym to określił.

— Mam myśl! — krzyknął Shaitana, nie zwracając uwagi na detektywa. — Urządzę obiadek. Obiadek, w czasie którego przedstawię moje eksponaty! To doprawdy niezwykle zabawny pomysł. Nie wiem, dlaczego nigdy przedtem nie przyszedł mi do głowy. Tak — tak, doskonale to sobie wyobrażam... Musi mi pan dać trochę czasu. Nie w przyszłym tygodniu, powiedzmy za dwa tygodnie. Jest pan wtedy wolny? Jaki dzień panu odpowiada?

— Każdy dzień będzie dla mnie odpowiedni — odparł Poirot skłaniając głowę.

— Dobrze. Powiedzmy zatem... piątek. To będzie piątek osiemnastego. Zaraz zapiszę w notesie. Naprawdę, ten pomysł cieszy mnie ogromnie.

— Nie jestem zupełnie pewien, czy mnie cieszy — powiedział wolno Poirot. — Nie znaczy to, że jestem obojętny na pańskie uprzejme zaproszenie, nie o to chodzi...

— Szokuje to pańską filisterską wrażliwość? — przerwał mu Shaitana — Drogi panie, musi się pan uwolnić z ograniczeń policyjnej mentalności.

— To prawda, że do morderstwa mam całkowicie mieszczańskie nastawienie — odparł Poirot.

— Ależ, mój drogi, dlaczego? W wypadku głupiego partactwa — zgadzam się z panem. Ale morderstwo może być sztuką! Morderca może być artystą.

— Przyznaję panu słuszność.

— A zatem?

— Nie zmienia to faktu, że jest wciąż mordercą!

— Drogi panie Poirot, przeprowadzenie sprawy z najwyższą doskonałością stanowi wystarczające usprawiedliwienie! Pan jest taki prozaiczny. Pragnie pan złapać mordercę, zakuć go, uwięzić i wreszcie skrócić mu kark we wczesnych godzinach rannych. Moim zdaniem morderca, który odniósł sukces, powinien zostać nagrodzony pensją z funduszy państwowych i być honorowany zaproszeniami na obiady!

Poirot wzruszył ramionami.

— Nie jestem tak nieczuły na artyzm w zbrodni, jak pan myśli. Podziwiam zbrodnie doskonałą, tak jak podziwiam wspaniałego, krwiożerczego tygrysa. Stojąc na zewnątrz jego klatki. Nie wejdę do środka. Oczywiście o ile nie będzie to moim obowiązkiem. Ponieważ, widzi pan, panie Shaitana, tygrys może skoczyć...

Shaitana roześmiał się.

— Wiem. A morderca?

— Może zabić — powiedział poważnie Poirot.

— Co za panikarz z pana! Zatem nie przyjdzie pan na spotkanie z moją kolekcją tygrysów?

— Przeciwnie, będę zachwycony.

— Odważny krok.

— Niezupełnie mnie pan zrozumiał. Moje słowa stanowiły ostrzeżenie. Powiedział pan, że pański pomysł kolekcjonowania morderców jest zabawny. Odparłem, że użyłbym innego określenia. To określenie brzmi „niebezpieczny”. Sądzę, że pańskie hobby, panie Shaitana, może stać się niebezpieczne!

Shaitana uśmiechnął się diabelsko.

— Więc mogę się pana spodziewać osiemnastego?

— Jak najbardziej — odparł Poirot z ukłonem. — *Mille remerciements**.

— Urządzą małe przyjęcie. Proszę nie zapomnieć. Ósma godzina.

Odszedł. Poirot jeszcze chwilę za nim patrzył, a potem powoli pokiwał głową.

* fr. Wielkie dzięki

ROZDZIAŁ II

Obiad u pana Shaitany

Drzwi mieszkania pana Shaitany otworzyły się bezszelestnie. Siwowłosy kamerdyner cofnął się i przepuścił Poirota. Zamknął drzwi równie cicho i zręcznie uwolnił gościa od płaszcza i kapelusza.

— Jakie nazwisko mam podać? — spytał.

— Herkules Poirot.

Kiedy kamerdyner otworzył drzwi i zaanonsował Poirota, do hallu napłynął przytłumiony gwar rozmów.

Shaitana, z kieliszkiem sherry w ręce, wyszedł powitać gościa. Był, jak zwykle, nieskazitelnie ubrany. Tego wieczoru wyglądał jeszcze bardziej mefistofelicznie niż zazwyczaj.

— Pozwoli pan, że pana przedstawię. Czy zna pan panią Oliver?

Jako organizator widowiska uradował się na widok lekkiego zaskoczenia Poirota.

Pani Ariadna Oliver była bardzo znaną pisarką kryminałów i powieści sensacyjnych. Pisała popularne (choć niezbyt gramatyczne) artykuły, jak *Pociąg do zbrodni*, *Głośne zbrodnie w afekcie*, *Morderstwo z miłości kontra morderstwo dla zysku*. Była także gorącą popieczniczką feministek. Gdy w prasie głośno było o jakimś morderstwie, było pewne, że ukaże się wywiad z panią Oliver, w którym pisarka powie: „Gdyby na czele Scotland Yardu stała kobieta, wszystko wyglądałoby inaczej”. Najpoważniej w świecie wierzyła w kobiecą intuicję.

Poza tym była sympatyczną panią w średnim wieku, przystojną, choć nieco niedbale ubraną, z ładnymi oczami, i wielką ilością nieposkromionych, siwych włosów, z którymi stale eksperymentowała. Jednego dnia miała wygląd intelektualistki, włosy zaczesane z czoła i splecione w wielki węzeł na karku, drugiego dnia rozpuszczone i lekko

falujące, jak u Madonny, jeszcze kiedy indziej — masę nieporządných loków. Tego właśnie wieczoru pani Oliver wypróbowała fryzurę z grzywką.

Poirota, którego spotkała wcześniej na obiedzie literackim, powitała miłym, basowym głosem.

— Nadinspektora Battle'a niewątpliwie pan zna — powiedział Shaitana.

Na te słowa wysunął się do przodu wielki, barczysty mężczyzna o nieruchomej twarzy. Patrząc na niego miało się wrażenie, że nadinspektor Battle został wyciosany z drewna, co więcej, że drewno to pochodziło z okrętu wojennego.

Nadinspektor Battle był typowym reprezentantem Scotland Yardu. Zawsze wyglądał solidnie i trochę tępo.

— Rzeczywiście, znam pana Poirota — potwierdził nadinspektor i na jego kamiennej zazwyczaj twarzy zagościł na chwilę uśmiech.

— Pułkownik Race — przedstawił następnego gościa pan Shaitana.

Poirot nie zetknął się dotąd z pułkownikiem Race'em, ale znał go ze słyszenia. Ciemny, przystojny, mocno opalony, koło pięćdziesiątki, zwykle przebywał na odległych placówkach, zwłaszcza tam, gdzie zanosilo się na kłopoty. Sądząc z charakteru i pola działania pułkownika Race'a, laicy twierdzili, iż pracuje on w Secret Service.

Do Poirota dotarło już, na czym polega clou spotkania.

— Nasi pozostali goście spóźniają się — powiedział pan Shaitana. — To chyba moja wina. Zdaje się, że podałem im godzinę ósmą piętnaście.

W tej chwili drzwi otworzyły się i kamerdyner zaanonsował: — Doktor Roberts.

Do pokoju wszedł mężczyzna, którego zachowanie stanowiło jakby parodię zawodowej lekarskiej werwy. Był pogodnym, rumianym mężczyzną w średnim wieku. Sprawiał wrażenie wyszorowanego i zdezynfekowanego, jak wszyscy lekarze. Miał małe, błyszczące oczy, początki łysiny, tendencję do tycia oraz pogodny i pewny siebie sposób bycia. Czuło się, że jego rozpoznanie będzie trafne, a sposób leczenia miły i praktyczny („Odrobina szampana w okresie rekonwalescencji”). Światowy człowiek!

— Nie spóźniłem się, mam nadzieję? — zapytał wesoło.

Uścisnął rękę gospodarzowi i został przedstawiony pozostałym. Wydawał się szczególnie rad ze spotkania z nadinspektorem.

— Ależ pan jest jedną z tych grubych ryb w Scotland Yardzie, prawda? To niezwykle ciekawe! Nieładnie jest zmuszać do mówienia o sprawach zawodowych, ale ostrzegam pana, że będę próbował. Zawsze interesowałem się zbrodnią. Niefortunna rzecz dla lekarza. Nie wolno mówić tego moim nerwowym Pacjentom, ha ha!

Drzwi otwarły się znowu.

— Pani Lorrimer.

Pani Lorrimer była dobrze ubraną, sześćdziesięcioletnią kobietą. Miała delikatne rysy, pięknie ułożone siwe włosy i czysty, ostry głos.

— Mam nadzieję, że się nie spóźniłam — powiedziała do gospodarza.

Przywitali się, po czym pani Lorrimer podeszła do doktora Robertsa, z którym się znali. Kamerdyner zaanonsował:

— Major Despard.

Major Despard był wysokim, szczupłym, przystojnym mężczyzną, o twarzy lekko zeszpeconej blizną na skroni. Gdy dopełniono prezentacji, major w naturalny sposób znalazł się koło pułkownika Race'a. Wkrótce zaczęli mówić o sporcie i porównywać swoje doświadczenia z safari.

Jeszcze raz w drzwiach pojawił się kamerdyner i zaanonsował ostatniego gościa:

— Panna Meredith.

Weszła dziewczyna dwudziestoparoletnia, ładna, średniego wzrostu. Brunatne loki sięgały ramion, szare oczy były duże i szeroko rozstawione. Twarz miała upudrowaną, ale bez makijażu.

— Czyżbym była ostatnia? — spytała nieśmiało.

Pan Shaitana rzucił się ku niej z kieliszkiem sherry. Powitał ją kwieciście, powiedział parę komplementów, ceremonialnie przedstawił zebranym i w końcu posadził koło Poirota.

— Nasz przyjaciel bardzo dba o etykietę — zauważył Poirot z uśmiechem.

— Ma pan rację — odparła dziewczyna. — To dzisiaj rzadkość. Gospodarze poważnie mówią: „Sądzę, że zna pani wszystkich” i koniec.

— Niezależnie od tego, czy tak jest naprawdę?

— Tak. Czasami to niedogodne, ale myślę, że ten drugi sposób jest bardziej onieśmielający.

— Czy to pani Oliver, ta pisarka? — zapytała po chwili wahania.

W tej właśnie chwili pani Oliver odezwała się tubalnym głosem do doktora Robertsa:

— Nie może pan zaprzeczyć, że istnieje instynkt kobiecy, doktorze. Kobiety znają się na tym.

— Tak, to ona — odparł Poirot.

— Ta, która napisała *Noc w bibliotece*?

— Ta sama.

Panna Meredith zmarszczyła brwi.

— A ten człowiek o kamiennym obliczu to nadinspektor, jak powiedział pan Shaitana?

— Ze Scotland Yardu.

— A pan?

— Co ja?

— Wiem o panu wszystko, panie Poirot. To pan wyjaśnił naprawdę zbrodnię ABC.

— *Mademoiselle*, pani mnie zawstydza.

Panna Meredith ściągnęła brwi.

— Pan Shaitana... — rzekła i zamilkła. — Pan Shaitana... — zaczęła jeszcze raz.

Poirot powiedział spokojnie:

— Można by powiedzieć, że jest on nastawiony na zbrodnię. Tak to wygląda. Niewątpliwie chciałby usłyszeć, jak my, śmiertelnicy, dyskutujemy. Właśnie podpuszcza panią Oliver i doktora Robertsa. Dyskutują teraz o niewykrywalnych truciznach.

Panna Meredith odetchnęła głębiej i powiedziała:

— Co za dziwny człowiek.

— Z doktora Robertsa?

— Nie, z pana Shaitany.

Zadrżała lekko i wyjaśniła:

— W nim jest coś trochę przerażającego. Nigdy nie wiadomo, co uzna za zabawne.

To może być coś...okrutnego.

— Jak polowanie na lisa?

Panna Meredith posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie.

— Miałam na myśli... coś orientalnego!

— Być może ma pokrętny umysł.

— Wstrętny?

— Nie, nie, powiedziałem pokrętny.

— Chyba nie bardzo go lubię — zwierzyła się panna Meredith zniżając głos.

— Polubi pani jednak jego obiad — zapewnił ją Poirot. — Ma cudownego kucharza.

Dziewczyna popatrzyła na niego z powątpiewaniem, a potem roześmiała się.

— Sądzę — zawołała — że jest pan zupełnie ludzki.

— Ależ oczywiście!

— Widzi pan, te wszystkie znakomitości są raczej onieśmielające.

— *Mademoiselle*, pani nie powinna być onieśmielona, pani powinna być przejęta!

Powinna mieć pani w pogotowiu notes z autografami i wieczne pióro.

— Cóż, widzi pan, nie jestem tak bardzo zainteresowana zbrodnią. Nie wydaje mi się, że kobiety to bawi: powieści detektywistyczne czytują raczej mężczyźni.

Herkules Poirot westchnął afektownie.

— Niestety! — mruknął. — Cóż ja bym w tym momencie dał, aby być choćby najmniejszą gwiazdą filmową!

Do pokoju wszedł kamerdyner i oznajmił, że obiad został podany.

Przepowiednie Poirota były w pełni usprawiedliwione. Obiad był wyborny, a sposób jego podania perfekcyjny. Przyćmione światła, wypolerowane meble, błękitny połysk irlandzkiego szkła. W tym półmroku siedzący u szczytu stołu pan Shaitana wyglądał

bardziej diabolicznie niż kiedykolwiek.

Przeprosił z wdziękiem za nierówną ilość pań i panów.

Pani Lorrimer siedziała po jego prawej ręce, pani Oliver po lewej. Panna Meredith została umieszczona między nadinspektorem Battle'em a majorem Despardem, Poirot między panią Lorrimer i doktorem Robertsem.

Ten ostatni mruknął do niego żartobliwie:

— Nie pozwolimy panu na zmonopolizowanie jedynej ładnej dziewczyny. Wy, Francuzi, nie tracicie czasu, co?

— Tak się składa, że jestem Belgiem — mruknął Poirot.

— Wychodzi na jedno, jeżeli wchodzi w grę kobiety — powiedział doktor wesoło.

Po czym, porzuciwszy żartobliwość, zaczął profesjonalną rozmowę z pułkownikiem Race'em, siedzącym po jego drugiej stronie, o ostatnich postępach w leczeniu śpiączki.

Pani Lorrimer, odwróciwszy się do Poirota, zagadnęła go o ostatnie spektakle teatralne. Jej opinie były wyważone, a krytyka trafna. Przeszli do książek, a potem do świata polityki. Poirot znalazł w niej wykształconą i inteligentną rozmówczynię.

Po drugiej stronie stołu pani Oliver pytała majora Despada, czy słyszał o jakichś nieznanym, niezwykłych truciznach.

— Może kurara?

— Mój drogi panie, *vieux jeu!* Wykorzystana setki razy. Mam na myśli coś zupełnie nowego!

— Prymitywne plemiona są raczej staroświeckie — powiedział sucho major Despard. Trzymają się starych, dobrych środków, których używali ich dziadkowie i pradziadkowie.

— Coś takiego! — zawołała pani Oliver. — Myślałam, że stale eksperymentują, uciekając kilogramy ziół i innych rzeczy. Zawsze uważałam, że podróżnicy mają tu pole do popisu. Mogliby, wróciwszy do domu, zabić wszystkich bogatych, starych wujków nowymi truciznami, o których nikt nie słyszał.

— W tym celu powinni się zainteresować wytworami cywilizacji, nie sposobami buszmenów. Weźmy na przykład nowoczesne laboratoria. Hodowle niewinnie wyglądających bakterii, które powodują prawdziwe choroby.

— Nie zrobię tego mojej publiczności — odparła pani Oliver. — Poza tym tak łatwo pomylić nazwy. *Staphylococcus, streptococcus...* to za trudne dla mojej sekretarki, a ponadto dosyć nudne, nieprawdaż? Co pan myśli, nadinspektorze Battle?

— W prawdziwym życiu ludzie nie silą się na takie subtelności — powiedział nadinspektor Battle. — Zwykle ładują arszenik, ponieważ jest łatwo dostępny i wygodny w użyciu.

— Bzdura! Dzieje się tak tylko dlatego, że wy w Scotland Yardzie nie wykrywacie wielu zbrodni. Ale gdyby tam była kobieta...

— Szczerze mówiąc mamy...

— Tak, te okropne policjantki w śmiesznych kapeluszach, które niepokoją ludzi w parkach! Mam na myśli kobietę na czele tego całego interesu. Kobiety znają się na zbrodni.

— Ma pani racje, zwykle im się udaje — przyznał Battle. — Nie tracą głowy. Zdumiewające, jak potrafią nadrabiać bezczelnością.

Pan Shaitana zaśmiał się półgłosem.

— Kobięcą bronią jest trucizna — rzekł. — Na pewno jest cała masa trucicielek, które nigdy nie zostały wykryte.

— Oczywiście że tak — powiedziała radośnie pani Oliver, nakładając sobie hojnie *mousse de foie gras**.

— Lekarz także ma duże możliwości — ciągnął pan Shaitana w zadumie.

— Protestuję — zawołał doktor Roberts. — Kiedy trujemy naszych pacjentów, robimy to zupełnie przypadkowo. — Roześmiał się serdecznie.

— Ale gdybym ja miał popełnić zbrodnię... — kontynuował Shaitana.

Przerwał i coś w tej pauzie wzbudziło uwagę. Zwróciły się ku niemu wszystkie twarze.

— Myślę, że byłaby to bardzo prosta zbrodnia. Zdarzają się w końcu wypadki... z bronią albo w domu. — Wzruszył ramionami i ujął kieliszek wina. — Ale kim ja jestem, żeby się wypowiadać... przy tylu ekspertach...

Podniósł kieliszek do ust i wypił łyk. Oświetlane świecami wino rzucało czerwony cień na jego twarz, wypomadowane wąsy, małą bródkę i fantastyczne brwi...

Zapanowała chwila ciszy.

Pani Oliver powiedziała:

— Która godzina? Przeleciał anioł... moje stopy nie były skrzyżowane — to musiał być czarny anioł!

* *fr.* Paszтет z gęsich wątróbek.

ROZDZIAŁ III

Partia brydża

Gdy towarzystwo wróciło do salonu, zastało tam rozstawiony stół do brydża. Podano kawę.

— Kto gra w brydża? — zapytał pan Shaitana. — Pani Lorrimer, to wiem. I doktor Roberts. Czy pani gra, panno Meredith?

— Tak. Ale niezbyt dobrze.

— Świetnie. A major Despard? Doskonale. Powiedzmy, że państwo grają tutaj.

— Dzięki Bogu, że będzie brydż — powiedziała pani Lorrimer scenicznym szeptem do Poirota. — Jestem jedną z najbardziej fanatycznych brydżystek, jakie kiedykolwiek istniały. Jestem opętana grą. Proszę sobie wyobrazić, że nie przyjmuję zaproszenia na obiad, jeśli wiem, że potem nie ma brydża! Zaraz zasypiam. Wstydę się, ale tak właśnie jest.

Pociągnęli karty. Pani Lorrimer grała z Anną Meredith przeciwko doktorowi Robertsowi i majorowi.

— Kobiety przeciw mężczyznom — powiedziała pani Lorrimer, zajmując miejsce i tasując z wprawą eksperta karty. — Niebieskie karty, co, partnerko? Ja zwykle forsuję o dwa.

— Musicie zwyciężyć — powiedziała pani Oliver, czując, że dają o sobie znać upodobania feministyczne. — Pokażcie mężczyznom, że nie zawsze muszą postawić na swoim.

— Nie ma dla nich żadnej nadziei — rzekł doktor Roberts pogodnie, zaczynając tasowanie następnej talii. — Pani Lorrimer rozdaje, prawda?

Major Despard, nie spuszczać wzroku z Anny Meredith, jakby odkrył właśnie jej urodę, powoli siadał w fotelu.

— Proszę przełożyć — ponagliła go pani Lorrimer. Przepraszając skinieniem, przełożył podsuniętą talię.

Pani Lorrimer zaczęła wprawnie rozdawać.

— Jest jeszcze jeden stolik brydżowy w drugim pokoju — powiedział pan Shaitana i poprowadził pozostałych do małej, wygodnie urządzonej palarni.

— Musimy grać z wychodzeniem — zauważył pułkownik Race.

Shaitana potrząsnął głową.

— Ja nie gram — odparł. — Brydż mnie nie bawi.

Goście zgodnie stwierdzili, że w takim razie też nie będą grać, ale gospodarz nie chciał słyszeć o takim poświęceniu i w końcu postawił na swoim. Wszyscy zajęli miejsca przy stoliku. Poirot i pani Oliver grali przeciwko nadinspektorowi i pułkownikowi.

Pan Shaitana przez chwilę ich obserwował, uśmiechnął się szatańsko, widząc z jaką kartą pani Oliver zapowiedziała dwa bez atu, i bezszelestnie przeszedł do drugiego pokoju.

Gości zastał pogrążonych bez reszty w grze. Twarze były poważne, odżywki następowały szybko. — Jeden kier — pas — trzy trefle — trzy piki — cztery karo — kontra — cztery kiery.

Pan Shaitana popatrzył na nich uśmiechając się do siebie, po czym przeszedł przez pokój i usiadł w wielkim fotelu przed kominkiem. Kamerdyner przyniósł tacę z trunkami i postawił ją na sąsiednim stole. Ogień kominka połyskiwał na kryształowych korkach.

Pan Shaitana pod względem doboru oświetlenia był prawdziwym artystą. Pokój sprawiał wrażenie oświetlonego wyłącznie światłem ognia z kominka, choć koło fotela gospodarza stała lampka z kloszem umożliwiającą mu — gdyby miał ochotę — czytanie. Dyskretne oświetlenie nadawało pokojowi wygląd ciepły i zaciszny. Trochę jaśniejsze światło padało tylko na stół brydżowy, skąd dochodziły monotonne odżywki.

— Jeden bez atu — mówiła właśnie wyraźnie i ostro pani Lorrimer.

— Trzy kiery — rzucił doktor Roberts z agresywną nutą w głosie.

— Pasuję — odpowiedziała spokojnie Anna Meredith.

Krótką przerwa. Major Despard namyślał się. Lubił być pewien tego, co mówi.

— Cztery kiery — rzekł w końcu.

— Kontra.

Pan Shaitana, oświetlony przez migoczący ogień kominka, uśmiechnął się. Po chwili jego powieki zatrzepotały lekko...

Przyjęcie było udane. Dobrze się bawił.

— Pięć karo. Gra i rober — powiedział pułkownik Race. — Brawo, brawo — zwrócił się do Poirota. — Nie myślałem, że pan to wygra. Szczęście, że nie wyszli w piki.

— To niczego by chyba nie zmieniło — rzekł wielkodusznie nadinspektor Battle.
Licytował piki. Jego partnerka, pani Oliver, miała piki, ale „coś powiedziało jej”, żeby zagrać w trefle, co zrobiła, z fatalnym zresztą rezultatem.
Pułkownik Race popatrzył na zegarek.
— Dziesięć po dwunastej. Może jeszcze jednego?
— Musicie mi wybaczyć — powiedział nadinspektor Battle — ale wcześniej chodzę spać.
— Ja również — dodał Poirot.
— Więc podsumujmy — zaproponował Race.
Rezultat pięciu rozegranych robrów świadczył o druzgoczącym zwycięstwie płci męskiej. Pani Oliver przegrała trzy funty i siedem szylingów. Najwięcej wygrał pułkownik Race.
Słynna pisarka, choć źle grała w brydża, przegrywała sportowo. Zapłaciła z pogodą ducha.
— Dziś wieczór wszystko źle mi idzie — powiedziała. — Czasami tak już jest. Wczoraj karta szła mi dobrze. Trzy razy dostałam koronę.
Wstała, zgarnęła swoją wieczorową, haftowaną torebkę i powstrzymała się w porę przed odgarnięciem włosów z czoła.
— Przypuszczam, że nasz gospodarz jest obok.
Poszła do sąsiedniego pokoju, pozostali udali się za nią.
Pan Shaitana siedział w swoim fotelu przy ogniu. Brydżyści pochłonięci byli grą.
— Kontruje pięć trefli — powiedziała pani Lorrimer jak zwykle chłodnym, ostrym głosem.
— Pięć bez atu.
— Kontruje pięć bez atu.
Pani Oliver podeszła do stolika brydżowego pragnąc przyjrzeć się temu najprawdopodobniej ekscytującemu rozdaniu.
Nadinspektor Battle poszedł za nią.
Pułkownik Race i Poirot zbliżyli się do Shaitany.
— Musimy już iść — powiedział pan Race.
Shaitana nie odpowiedział. Jego głowa spoczywała na piersi. Zdawało się, że śpi. Race rzucił szybkie, pytające spojrzenie na Poirota i podszedł bliżej. Nagle wydał stłumiony okrzyk i nachylił się. Poirot znalazł się natychmiast obok niego i spojrzał na coś, co wskazywał Race, coś, co mogło być ozdobną szpilką do krawata, ale nią nie było...
Poirot uniósł rękę Shaitany. Ręka opadła. Na badawcze spojrzenie pułkownika skinął głową.
— Nadinspektorze Battle, proszę na moment — powiedział Race głóśniej.
Nadinspektor opuścił panią Oliver obserwującą rozgrywanie pięciu bez atu z kontrą

i dołączył do Race'a i Poirota.

Battle, wbrew flegmatycznemu wyglądowi był bardzo szybki.

— Coś nie w porządku? — spytał.

Pułkownik Race skinął i wskazał milczącą postać w fotelu.

Kiedy Battle nachylał się nad gospodarzem, Poirot przyglądał się w milczeniu twarzy Shaitany. Wyglądał teraz dosyć głupio z otwartymi ustami. Z jego oblicza zniknął szatański wyraz...

Herkules Poirot potrząsnął głową.

Nadinspektor Battle zdążył już przyjrzeć się tej rzeczy, która wyglądała jak dodatkowa szpilka do krawata. Podniósł wiotką rękę i pozwolił jej opaść.

Gdy się wyprostował, wyglądał zupełnie inaczej niż przed chwilą. Opanowany, kompetentny, sprawny — mówiąc krótko człowiek przygotowany na to, aby opanować sytuację.

— Przepraszam państwa — powiedział.

Jego głos brzmiał tak oficjalnie, że zwróciły się ku niemu wszystkie głowy, a Anna Meredith zamarła z ręką uniesioną nad asem pikowym w wyłożonych kartach.

— Z przykrością muszę państwa zawiadomić, że nasz gospodarz, pan Shaitana, nie żyje.

Pani Lorrimer i doktor Roberts poderwali się z miejsc, Despard ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w policjanta.

— Jest pan pewien? — krzyknęła Anna Meredith.

Doktor Roberts, powodowany instynktem zawodowym, chciał podejść do zmarłego, ale nadinspektor Battle wstrzymał go bez wahania.

— Chwileczkę, doktorze Roberts. Czy może pan powiedzieć mi najpierw, kto wchodził i wychodził dziś wieczór z tego pokoju?

Roberts wytrzeszczył na niego oczy.

— Kto wchodził i wychodził? Nie rozumiem pana. Nikt.

Nadinspektor przeniósł spojrzenie.

— Czy to prawda, pani Lorrimer?

— Tak jest.

— A kamerdyner, czy ktoś ze służby?

— Nie. Kamerdyner przyniósł tace, kiedy siadaliśmy do brydża. Od tego czasu nie było go.

Nadinspektor Battle popatrzył na Desparda. Ten skinął potakująco.

— Tak, to prawda — przyznała prawie bez tchu Anna.

— Człowieku, po co to wszystko? — spytał niecierpliwie Roberts. — Pozwól mi go zbadać: może tylko zasnął.

— To nie jest zasnąnięcie, i przykro mi, ale nikt nie dotknie go przed przyjściem le-

karza policyjnego. Pan Shaitana został zamordowany.

— Zamordowany? — wyjąkała z przerażeniem Anna.

Despard spoglądał pusto przed siebie.

— Zamordowany? — gwałtownie, ostro wykrzyknęła pani Lorrimer.

— Dobry Boże! — westchnął doktor Roberts.

Nadinspektor Battle skinął wolno głową. Wyglądał jak porcelanowy, chiński mandaryn. Miał zupełnie obojętny wyraz twarzy.

— Zasztyletowany — rzekł i zrobił krótką pauzę. — Czy ktoś z państwa odchodził od stolika brydżowego w ciągu wieczoru?

Zobaczył, jak po czterech twarzach przesuwają się fale uczuć. Widział strach, zrozumienie, oburzenie, konsternację, wstręt; nie dostrzegł nic, co mogłoby mu pomóc.

— A zatem?

Cisza. W końcu major Despard powiedział spokojnie (podniósł się właśnie i stał jak żołnierz na paradzie, zwróciwszy szczupłą, inteligentną twarz do Battle'a):

— Myślę, że każdy z nas w jakimś momencie wstał od stołu przynieść drinki albo dołożyć drewna do ognia. Ja zrobiłem jedno i drugie. Kiedy podszedłem do kominka, Shaitana spał w fotelu.

— Spał?

— Tak myślałem.

— Mógł spać — powiedział Battle — albo mógł być już martwy. Zbadamy tę sprawę. Poproszę państwa teraz o przejście do sąsiedniego pokoju. Pułkownik Race, może pójdzie pan z nimi? — zwrócił się cicho do stojącego obok wojskowego.

Race skinął ze zrozumieniem głową.

— Naturalnie, nadinspektorze.

Brydżyści zniknęli w pokoju obok.

Pani Oliver usiadła w fotelu w odległym kącie i zaczęła cicho szlochać.

Battle wykręcił jakiś numer i przez chwilę rozmawiał. Gdy odłożył słuchawkę, rzekł:

— Policja przybędzie natychmiast. Są rozkazy z centrali, żebym objął sprawę. Wkrótce przyjedzie lekarz. Jak pan myśli, panie Poirot, ile on już nie żyje? Ja powiedziałbym, że ponad godzinę.

— Zgadzam się. Niestety, nie można tego ściślej określić. Nikt nie potrafi rzec, że ten człowiek nie żyje od godziny, dwudziestu pięciu minut i czterdziestu sekund.

Battle przytaknął z roztargnieniem.

— Siedział bezpośrednio przed ogniem. To mogło mieć wpływ. Ponad godzinę, nie więcej jednak niż dwie i pół. Ręczę, że to właśnie powie nasz lekarz. I nikt niczego nie słyszał ani nie widział. Zdumiewające, że ktoś podjął takie ryzyko. Mógł przecież krzyknąć.

— Ale nie krzyknął. Najwyraźniej mordercy sprzyja szczęście. Jak pan powiedział, *mon ami*, to bardzo ryzykowna historia.

— A co z motywem? Ma pan jakiś pomysł?

Poirot powiedział powoli:

— Tak, mam coś do powiedzenia na ten temat. Czy pan Shaitana nie napomknął panu, na jakie przyjęcie przyszedł pan dziś wieczór?

Nadinspektor Battle popatrzył na niego z zaciekawieniem.

— Nie. Nie mówił w ogóle nic. A o co chodzi?

W oddali rozległ się dźwięk dzwonka i energiczny stuk kołatki.

— To nasi ludzie — powiedział Battle. — Pójdę ich wpuścić. Musimy rozpocząć rutynowe badania. A pana historią zaraz się zajmiemy.

Poirot skinął głową.

Battle opuścił pokój.

Pani Oliver nadal szlochała.

Poirot podszedł do stolika do brydża. Bez dotykania czegokolwiek zbadał zapisy. Kilkakrotnie potrząsnął głową.

— Głupi człowieczek! Och, co za głupi człowieczek — mruknął Herkules Poirot.

— Ubierać się jak diabeł i próbować straszyć ludzi. *Quel enfantillage!**

Otwarły się drzwi i wszedł lekarz policyjny z torbą w ręku. Za nim wkroczył pogrążony w rozmowie z Battle'em inspektor z posterunku i fotograf. W hallu trzymał straż policjant.

Przystąpiono do badania zbrodni.

* *fr.* Co za dziecinada!

ROZDZIAŁ IV

Pierwszy morderca?

Godzinę później Herkules Poirot, pani Oliver, pułkownik Race i nadinspektor Battle siedzieli wokół stołu w jadalni.

Ciało zostało już zbadane, obfotografowane i zabrane. Specjalista od odcisków palców wykonał swoją pracę.

Nadinspektor Battle spojrzał na Poirota.

— Zanim wprowadzę tę czwórkę, chciałbym usłyszeć, co pan ma mi do powiedzenia. Według pana za tym przyjęciem coś się kryło?

Poirot z namysłem, dokładnie powtórzył rozmowę z Shaitaną w „Wessex House”.

Nadinspektor Battle przygryzł wargi, by nie gwizdnąć.

— Ekspozyty, co? Żywi mordercy! I pan sądzi, że on naprawdę tak myślał? Nie nabierał pana?

Poirot potrząsnął głową.

— Na pewno nie. Shaitana szczyił się mefistofelicznym nastawieniem do życia. Był też bardzo próżny. I głupi. I dlatego nie żyje.

— Rozumiem pana — powiedział Battle, idąc za jego myślą. — Przyjęcie na osiem osób i on sam. Czterech „łapsów”, że tak powiem — i czterech morderców!

— To niemożliwe — krzyknęła pani Oliver. — Absolutnie nieprawdopodobne. Nikt z tych ludzi nie może być kryminalistą.

Nadinspektor Battle potrząsnął głową w zadumie.

— Nie byłbym tego taki pewny, proszę pani. Mordercy wyglądają i zachowują się tak jak inni ludzie. Są często mili, spokojni, dobrze wychowani, rozsądni.

— W takim razie to doktor Roberts — rzekła stanowczo pani Oliver. — Jak tylko zobaczyłam tego człowieka, poczułam, że z nim jest coś nie w porządku. Mój instynkt

nigdy nie kłamie.

Battle spojrział na pułkownika Race'a.

Race wzruszył ramionami. Zrozumiał, że nieme pytanie dotyczyło wypowiedzi Poirota, a nie podejrzeń pani Oliver.

— Możliwe — rzekł. — Całkiem możliwe. Okazuje się, że Shaitana miał rację przynajmniej w jednym wypadku! W końcu mógł tylko podejrzewać, że ci ludzie byli mordercami, nie miał pewności. Miał słuszość przynajmniej w jednym wypadku, dowodzi tego jego śmierć.

— Któraś z nich się przeraziło. Uważa pan, że tak właśnie było, panie Poirot?

— Zmarły pan Shaitana był znanym człowiekiem. Miał niebezpieczne poczucie humoru i był uważany za bezlitosnego. Ofiara sądziła, że Shaitana bawi się jej kosztem, a w końcu przekaże sprawę w ręce policji. W pańskie ręce! On (lub ona) musiał być przekonany, że Shaitana ma dowody.

— A miał?

Poirot wzruszył ramionami.

— Tego się nigdy nie dowiemy.

— Doktor Roberts! — powtórzyła pani Oliver uparcie. — Taki wesoły człowiek! Mordercy często bywają weseli, maskują się! Gdybym była panem, nadinspektorze, aresztowałabym go natychmiast.

— Na pewno byśmy to zrobili, gdyby kobieta stała na czele Scotland Yardu! — powiedział nadinspektor, a w jego obojętnych zazwyczaj oczach pojawił się błysk. — Ale, widzi pani, ponieważ kierownicze stanowiska zajmują tylko mężczyźni, musimy być ostrożni. Musimy poruszać się powoli.

— Och, mężczyźni, mężczyźni — westchnęła pani Oliver i zaczęła układać w głowie artykuł do gazety.

— Lepiej ich sprowadźmy — rzekł Battle. — Nie trzeba, żeby obijali się tutaj zbyt długo.

Pułkownik Race uniósł się lekko na krześle.

— Jeśli chce pan, żebyśmy poszli...

Uchwyciwszy wymowny wzrok pani Oliver, nadinspektor Battle zawahał się. Znał dobrze oficjalną pozycję pułkownika Race'a, a Poirot współpracował z policją już wielokrotnie. Pozostawienie jednak pani Oliver było zdecydowanym odstępstwem od reguł. Niemniej Battle był życzliwym człowiekiem. Pamiętał, że pani Oliver przegrała w brydża trzy funty i siedem szylingów, i że przegrała pogodnie.

— Wszyscy państwo mogą zostać, dopóki ja prowadzę sprawę. Ale proszę nie przerywać — popatrzył na panią Oliver — nie można też robić żadnych aluzji do tego, co pan Poirot właśnie nam powiedział. To był mały sekret Shaitany i praktycznie biorąc umarł razem z nim. Chcę, żeby nie było nieporozumień, jasne?

— Całkowicie — odparła pani Oliver.

Battle podszedł do drzwi i wezwał konstabla, który stał w hallu.

— Idź do małej palarni — polecił mu. — Znajdziesz tam Andersena z czterema osobami. Poproś doktora Robertsa, żeby był tak dobry i przyszedł tutaj.

— Zostawiłabym go na koniec — zauważyła pani Oliver. — To znaczy, w książce — dodała przepraszająco.

— Życie wygląda trochę inaczej — powiedział Battle.

— Wiem — odparła pani Oliver. — Zostało źle skonstruowane.

Wszedł doktor Roberts.

— Wie pan, Battle — zaczął — co za cholerna sprawa! Przepraszam, pani Oliver, ale tak jest. Z lekarskiego punktu widzenia nie uwierzyłbym, że można zasztyletować człowieka w pokoju pełnym ludzi. — Potrząsnął głową. Nie zaryzykowałbym. — Uśmiechnął się unosząc lekko kąciaki ust. — Co mogę zrobić, aby przekonać pana, że to nie ja?

— Motyw, doktorze.

Doktor skinął głową.

— Wszystko jasne. Nie miałem cienia motywu, aby usunąć biednego Shaitanę. Nawet nie znałem go dobrze. Bawił mnie, to był taki fantastyczny gość. Otaczała go aura Orientu. Naturalnie zbadacie dokładnie moje z nim związki. Spodziewam się tego, nie jestem głupcem. Ale niczego nie znajdziecie. Nie miałem powodu zabijać Shaitany i nie zabiłem go.

Nadinspektor Battle sztywno skinął głową.

— W porządku, doktorze Roberts. Jako człowiek rozsądny zdaje pan sobie sprawę, że muszę prowadzić śledztwo. A teraz, co może pan powiedzieć o pozostałych trzech osobach?

— Obawiam się, że niewiele. Desparda i pannę Meredith spotkałem tego wieczoru po raz pierwszy. Słyszałem o Despardzie przedtem, czytałem jego książki podróżnicze, podobały mi się.

— Czy wiedział pan, że on i Shaitana się znają?

— Nie. Shaitana nigdy nie wspominał mi o nim. Jak powiedziałem, słyszałem o majorze, ale nigdy go nie spotkałem. Panny Meredith nigdy wcześniej nie widziałem. Panią Lorrimer znam powierzchownie.

— Co pan wie o niej?

Roberts wzruszył ramionami.

— Jest wdową. Dosyć zamożna. Inteligentna, dobrze wychowana kobieta, świetna brydżystka. Prawdę powiedziawszy, w ten właśnie sposób ją poznałem: w czasie gry w brydża.

— I Shaitana również nie wspominał o niej?

— Nie.

— Hm, to nie pomoże nam wiele. Teraz, doktorze, może będzie pan tak uprzejmy, wyteży swoją pamięć i powie mi, jak często opuszczał pan miejsce przy stoliku. I wszystko, co potrafi pan sobie przypomnieć o poruszeniach innych graczy.

Roberts namyślał się chwilę.

— To trudne — wyznał szczerze. — Przypominam sobie mniej więcej, co sam robiłem. Wstawałem trzykrotnie, to znaczy trzy razy, kiedy się wykładałem, opuściłem swoje miejsce. Raz poszedłem i dołożyłem dREW do ognia. Raz przyniosłem paniom drinki. Raz nalałem sobie whisky.

— Pamięta pan czas?

— Tylko w przybliżeniu. Zaczęliśmy grać chyba około dziewiątej trzydzieści. Powiedziałbym, że godzinę później dołożyłem do ognia, krótko potem przyniosłem napoje (myślę, że była to przedostatnia gra), i może o pół do dwunastej wziąłem sobie whisky. Czas podaję w przybliżeniu.

— Stół z napojami stał za fotelem pana Shaitany?

— Tak. To znaczy, że trzy razy przeszedłem koło niego.

— I za każdym razem był pan przekonany, że on śpi?

— Tak pomyślałem za pierwszym razem. Za drugim razem nawet na niego nie spojrzałem. A za trzecim pomyślałem: „Ale ten facet ma sen!” Ale prawdę mówiąc nie przyjrzałem się mu dokładnie.

— Bardzo dobrze. A kiedy pańscy partnerzy opuszczali miejsca?

Doktor Roberts zmarszczył brwi.

— Trudno powiedzieć. Jak mi się zdaje, Despard przyniósł dodatkową popielniczkę. I poszedł po drinka. To było przede mną, o ile pamiętam zapytał mnie, czy chciałbym również, a ja powiedziałem, że jeszcze nie mam ochoty.

— A panie?

— Pani Lorrimer podeszła raz do kominka. Sądzę, że poprawiła ogień. Mam wrażenie, że mówiła coś do Shaitany, ale nie jestem pewien. Rozgrywałem w tym czasie dosyć trudne bez ataku.

— A panna Meredith?

— Na pewno raz odeszła od stolika. Stała obok mnie i obejrzała moje karty. Byłem wtedy jej partnerem. Potem obejrzała karty innych i gdzieś powędrowała. Nie wiem, co właściwie robiła. Nie zwracałem uwagi.

Po chwili namysłu nadinspektor Battle spytał:

— Kiedy siedzieliście przy stoliku, żadne krzesło nie było skierowane w stronę kominka?

— Nie, jakoś tak bokiem, a po drodze stała jeszcze duża serwantka, chiński mebel, bardzo ładny. Tak, zasztyletowanie starego było zupełnie możliwe. W końcu jak się gra

w brydza, to nikt się nie rozgląda i nie zwraca uwagi, co się wokół dzieje. Jedynie wykładający się ma możliwość to zrobić. A w takim razie...

— W takim razie mordercą był bez wątpienia wykładający się.

— A jednak — rzekł Roberts — wymagało to zimnej krwi. Ostatecznie, skąd można było wiedzieć, że ktoś nie spojrzy w krytycznym momencie?

— Tak — zgodził się Battle. — Było to ogromne ryzyko. Motyw musiał być potężny. Chciałbym wiedzieć, o co chodziło — powiedział cynicznie.

— Sądzę, że pan to odkryje. Przeszuka pan papiery i inne rzeczy zmarłego i przypuszczalnie znajdzie klucz.

— Mam taką nadzieję — rzekł pośpiesznie Battle.

Rzucił lekarzowi szybkie spojrzenie.

— Ciekaw jestem, czy zechciałby pan wyświadczyć mi grzeczność i jak mężczyzna mężczyźnie powiedzieć, co pan naprawdę myśli?

— Naturalnie.

— Kogo z tych trojga by pan wytypował?

Doktor Roberts wzruszył ramionami.

— To łatwe. Desparda. Ten człowiek ma zimną krew, przywykł do niebezpieczeństw, potrafi działać szybko. Nie zwracałby uwagi na ryzyko. Kobiety są mało prawdopodobne. Wyobrażam sobie, że wymaga to trochę siły.

— Nie tak wiele, jak pan sądzi. Proszę spojrzeć.

Nadinspektor ze zręcznością magika wyciągnął nagle długi, cienki przedmiot z lśniącego metalu z małą, okrągłą, wysadzaną drogimi kamieniami główką.

Doktor Roberts nachylił się, wziął przedmiot do ręki i zbadał go z zainteresowaniem. Spróbował ostrza i gwizdnął.

— Co za narzędzie! Co za narzędzie! To cacko zostało stworzone do morderstwa. Wchodzi jak w masło. Przypuszczam, że przyniósł to ze sobą.

Battle potrząsnął głową.

— Nie. Należało do pana Shaitany. Leżało na stoliku przy drzwiach, wśród wielu innych drobiazgów.

— Zatem morderca skorzystał z okazji. Trzeba mieć szczęście, żeby znaleźć takie narzędzie.

— Cóż, to jeden punkt widzenia — powiedział Battle powoli.

— Oczywiście, nie chodzi mi o biednego Shaitanę.

— Nie to miałem na myśli, doktorze. Sądzę, że istnieje inna możliwość. Przyszło mi do głowy, że właśnie zauważenie tego przedmiotu nasunęło naszemu przestępcy myśl o morderstwie.

— Uważa pan, że była to nagła inspiracja, a nie morderstwo z premedytacją? Że postanowił go zabić dopiero po przyjeździe tutaj? Czy coś sugeruje panu taką wersję?

— Popatrzyl badawczo na nadinspektora.

— To tylko pomysl — rzekl flegmatycznie Battle.

— Cóz, oczywiście, tak moglo być.

Nadinspektor Battle odchrzanknal.

— Nie bede pana dluzej zatrzymywal, doktorze. Dziękuję za pomoc. Moze zostawi pan swój adres.

— Oczywiście. 200 Gloucester Terrace, W. 2 Telefon: Bayswater 23896.

— Wkrótce moze do pana zadzwonie.

— Bede zachwycony. Mam nadzieję, że nie ukaże się zbyt wiele w gazetach. Nie chce niepokoic moich nerwowych pacjentów.

Nadinspektor Battle spojrzal na Poirota.

— A pan, panie Poirot? Czy chce pan zadac jakies pytania? Jestem pewien, że doktor nie ma nic przeciwko temu.

— Jasne, że nie. Jestem pańskim wielkim wielbicielem. Małe szare komórki, porządek i metoda — to pana sposób. Wiem wszystko. Jestem przekonany, że zapyta mnie pan o coś niezwykle intrygującego.

Herkules Poirot rozložyl ręce.

— Nie, nie. Chcialbym tylko rozjasnic sobie w głowie wszystkie szczegóły. Na przykład, ile robrów rozegraliscie?

— Trzy — odparl Roberts natychmiast. Wszystkie pary zagrały po jednym, gralismy czwartego, kiedy weszlicie.

— A kto gral z kim?

— Pierwszego robra Despard i ja przeciw paniom. Pobilý nas, niech im Bóg wybaczy. Łatwe zwycięstwo, ani razu nie dostalismy karty. Drugi rober: panna Meredith i ja przeciw Despardowi i pani Lorrimer. Trzeci rober: pani Lorrimer i ja przeciwko paninie Meredith i Despardowi. Ciagnęliśmy kazdorazowo, ale tak akurat wypadalo. Czwarty rober: znowu ja i panna Meredith.

— Kto wygral, a kto stracil?

— Pani Lorrimer wygrala kazdego robra. Panna Meredith wygrala pierwszego, przegrala nastepne dwa. Ja byłem trochę wygrany, więc panna Meredith i Despard musieli stracic.

— Zacny nadinspektor prosil o pana zdanie na temat partnerów jako kandydatów na morderce — rzekl Poirot z usmiechem. — Ja zaś chcialbym zasiagnac pańskiej opinii o nich jako o brydzytach.

— Pani Lorrimer jest znakomita — odpowiedzial natychmiast Roberts. — Zaloze się, że ma niezły dochód roczny z brydza. Despard jest również dobrym, solidnym graczem. To bystry facet. Pannę Meredith opisalbym jako ostrozną. Nie robi błędów, ale nie jest błyskotliwa.

— A pan, doktorze?

Roberts mrugnął okiem.

— Mówią o mnie, że przelicytowuję trochę kartę. Zawsze jednak jestem w stanie zapłacić.

Poirot uśmiechnął się.

— Nic więcej? — spytał Roberts wstając.

Poirot potrząsnął głową.

— Zatem dobranoc. Dobrej nocy, pani Oliver. Powinna pani napisać książkę na ten temat. Lepsze to niż pani niewykrywalne trucizny.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, pani Oliver powiedziała gorzko:

— Książkę! Nie, doprawdy! Ludziom brak inteligencji. Co dzień mogłabym wymyślić morderstwo lepsze od prawdziwego. Nigdy nie mam kłopotu z fabułą. A moi czytelnicy lubią tajemnicze trucizny!

ROZDZIAŁ V

Drugi morderca?

Pani Lorrimer weszła do jadalni jak dama. Była trochę blada, lecz opanowana..

— Przykro mi, że panią niepokoję — usprawiedliwił się nadinspektor Battle.

— Musi pan oczywiście spełnić obowiązek — odparła spokojnie pani Lorrimer.

— Zgadzam się, że to nieprzyjemne, ale nie będę się uchylać. Całkowicie zdaję sobie sprawę, że winien jest ktoś z nas czworga grających razem w pokoju. Naturalnie nie mogę oczekiwać, że uwierzy mi pan na słowo, iż jestem niewinna.

Usiadła naprzeciw nadinspektora na krześle podsuniełym jej przez pułkownika Race'a. Jej inteligentne, szare oczy napotkały spojrzenie Battle'a. Czekwała.

— Znała pani dobrze pana Shaitanę? — zaczął nadinspektor.

— Niezbyt dobrze. Znam go już od paru lat, ale niezbyt blisko.

— Gdzie go pani spotkała?

— W hotelu w Egipcie. To był chyba „Winter Palace” w Luksorze.

— A co pani o nim myślała?

Pani Lorrimer wzruszyła lekko ramionami.

— Uważałam go (właściwie czemu miałabym tego nie powiedzieć?) za szarlatana.

— Czy nie miała pani — proszę mi wybaczyć pytanie — powodu, aby go usunąć?

Pani Lorrimer wydawała się lekko ubawiona.

— Naprawdę, myśli pan, nadinspektorze, że przyznałabym się, gdyby tak było?

— Dlaczego nie? Prawdziwie inteligentna osoba wiedziałaby, że taka rzecz będzie musiała wyjść na jaw.

Pani Lorrimer pochyliła głowę w zamyśleniu.

— Oczywiście. Nie, nadinspektorze Battle. Nie miałam motywu, aby życzyć sobie śmierci pana Shaitany. Jest to mi naprawdę obojętne, czy on żyje czy nie. Uważałam

go za pozera, postać dosyć teatralną, i czasami irytował mnie. To jest — a raczej był — mój stosunek do niego.

— To na razie wszystko. A czy teraz może mi pani opowiedzieć coś o swoich trojgu towarzyszach?

— Obawiam się, że nie. Majora Desparda i pannę Meredith spotkałam po raz pierwszy. Oboje wydają się uroczymi ludźmi. Znam powierzchownie doktora Roberts'a. Przypuszczam, że jest bardzo popularnym lekarzem.

— Nie leczy się pani u niego?

— Nie.

— Czy pamięta pani, jak często wstawała pani od stolika i co robiła pozostała trójka?

— Tak myślałam, że pewnie mnie pan o to zapyta — odpowiedziała bez namysłu pani Lorrimer — i zdążyłam się zastanowić. Ja wstawałam raz, kiedy się wyłożyłam. Podeszłam do kominka. Pan Shaitana jeszcze żył. Wspomniałam, że lubię patrzeć na płonące drewno.

— I co on odpowiedział?

— Że nienawidzi kaloryferów.

— Czy ktoś słyszał tę rozmowę?

— Nie sędzę. Zniżyłam głos, aby nie przeszkadzać grającym. Ma pan tylko moje słowo na to, że pan Shaitana był żywy i ze mną rozmawiał.

Nadinspektor Battle nic na to nie powiedział. Spokojnie i metodycznie kontynuował przesłuchanie.

— O której to było?

— Wydaje mi się, że graliśmy już nieco ponad godzinę.

— A jak z innymi?

— Doktor Roberts przyniósł mi drinka. Wziął też sobie, ale to było później. Major Despard również poszedł po coś do picia... około jedenastej piętnaście, jak mi się zdaje.

— Tylko raz?

— Nie, chyba dwa razy. Mężczyźni poruszali się sporo, ale nie zauważyłam, co robili. Panna Meredith opuściła swoje miejsce, zdaje się, tylko raz. Obeszła stolik, aby zobaczyć karty swego partnera.

— Cały czas była w pobliżu stolika brydzowego?

— Nie wiem. Mogła odejść.

Battle skinął głową.

— Wszystko to bardzo nieprecyzyjne — mruknął.

— Przykro mi.

Battle jeszcze raz powtórzył swoją kuglarską sztuczkę i wyciągnął długi, cienki szty-

let.

— Zechce pani spojrzeć na to.

Pani Lorrimer nie okazując emocji wzięła przedmiot do ręki.

— Widziała to już pani?

— Nigdy.

— Leżał na stole w salonie.

— Nie zauważyłam.

— Rozumie pani zapewne, że taką bronią kobieta mogłaby dokonać tego czynu równie dobrze jak mężczyzna.

— Przypuszczam, że ma pan rację — powiedziała spokojnie pani Lorrimer.

Zwróciła drobiazg nadinspektorowi.

— Ta kobieta musiałaby być doprowadzona do rozpacz — zauważył Battle. — To było ogromne ryzyko.

Czekał chwilę, ale pani Lorrimer milczała.

— Czy wiadomo pani coś o powiązaniach między panem Shaitana a pozostałą trójką?

— Zupełnie nic.

— Zechciałaby pani powiedzieć, kogo z nich uważa pani za najbardziej prawdopodobnego sprawcę?

Pani Lorrimer wyprostowała się sztywno.

— Nie zamierzam robić nic w tym rodzaju. Uważam takie pytanie za niestosowność.

Nadinspektor wyglądał jak chłopczyk skarcony przez babcię.

— Proszę o adres — wymamrotał, przysuwając ku sobie notatnik.

— 111 Cheyne Lane, Chelsea.

— Numer telefonu?

— Chelsea 45632.

Pani Lorrimer wstała.

— Chciałby pan o coś zapytać, panie Poirot? — rzekł pośpiesznie Battle.

Pani Lorrimer zatrzymała się z głową lekko pochyloną.

— Czy byłoby to właściwe pytanie, *madame*, gdybym poprosił panią o wyrażenie opinii o pani towarzyszach nie jako potencjalnych mordercach, lecz jako brydżystach?

— Nie mam obiekcji, jeśli wiąże się to w jakiś sposób z wyjaśnieniem sprawy. Choć naprawdę nie widzę związku — odpowiedziała chłodno pani Lorrimer.

— Ja to osądzę. Proszę o odpowiedź, *madame*.

— Major Despard to dobry, solidny gracz — zaczęła pani Lorrimer tonem cierpliwego dorosłego, który ustępuje głupiemu dziecku. — Doktor Roberts przelicytowuje, ale rozgrywa znakomicie. Panna Meredith jest niezłą brydżystką, ale troszkę zbyt ostroż-

ną. Coś jeszcze?

Poirot wyjął cztery zgniecione brydżowe zapisy.

— Który z tych zapisów, *madame*, jest pani?

Przyjrzała się im.

— To jest moje pismo. Zapis z trzeciego robra.

— A ten?

— To musi być majora Desparda. On upraszcza zapisując.

— A ten?

— Panny Meredith. Pierwszy rober.

— Więc ten nie dokończony należy do doktora Roberta?

— Tak.

— Dziękuję, *madame*. Myślę, że to wszystko.

Pani Lorrimer zwróciła się do pani Oliver.

— Dobranoc, pani Oliver. Dobranoc, pułkownikowi Race.

Potem, uściskawszy wszystkim ręce, wyszła.

ROZDZIAŁ VI

Trzeci morderca?

— Nic nie udało się z niej wydobyć — skomentował Battle. — Postawcie się na moim miejscu. Jest staroświecka, pełna względów dla innych, ale arogancka jak sam diabeł! Nie potrafię wyobrazić sobie, że to ona zamordowała, ale nigdy nie wiadomo! Ma silną wolę. Co to za pomysł z zapisami brydżowymi, panie Poirot?

Poirot rozłożył je na stole.

— Nie uważa pan, że są pouczające? Czego poszukujemy w tej sprawie? Klucza do charakteru. I to nie jednego, tylko do czterech. I tu właśnie możemy najpewniej go znaleźć — w tych nabazgranych cyfrach. Oto pierwszy rober, jak widać nudny, szybko zakończony. Małe, zgrabne cyferki, staranne dodawanie i odejmowanie — to zapis panny Meredith. Grała z panią Lorrimer. Miały kartę i wygrały. W następnym nie jest łatwo śledzić grę, ponieważ jest prowadzony w uproszczony sposób. Ale mówi nam coś o majorze Despard: jest człowiekiem, który lubi w każdej chwili móc ocenić swoje położenie. Cyfry są małe, ale pełne charakteru. Trzeci zapis jest pani Lorrimer. Ona i doktor Roberts przeciwko pozostałej dwójce. Walka homerycka, cyfry piętrzą się nad linią z każdej strony. Doktor przelicytowuje i leżą; ponieważ jednak są graczami pierwszej klasy, nigdy nie leżą bardzo wysoko. Jeżeli wysoka licytacja doktora prowokuje nierozważne odzywki drugiej strony, jest szansa do kontry. Spójrzcie na te cyfry, tutaj leżeli z kontrą. Charakterystyczne pismo, ładne, czytelne, zdecydowane.

— I ostatni zapis: nie dokończony rober. Zebrałem po jednym przykładzie pisma każdej osoby. Cyfry pisane z rozmachem. Zapisy nie tak wysokie jak w poprzednim robrze. Prawdopodobnie dlatego, że doktor grał z panną Meredith, a ona jest ostrożna. Jego odzywki onieśmiały ją jeszcze bardziej!

Myślicie może, że pytania, które zadaję, są niemądre? Tak nie jest. Chcę zrozumieć

charaktery tych czworga graczy, a kiedy pytam o brydża, każdy chętnie mówi.

— Nigdy nie uważałem pańskich pytań za niemądre — zapewnił Battle. — Widziałem zbyt wiele pańskich osiągnięć. Każdy ma swoje sposoby, rozumiem to. Zawsze daję inspektorom wolną rękę. Każdy powinien znaleźć dla siebie najodpowiedniejszą metodę. Ale teraz lepiej nie dyskutujmy. Weźmy dziewczynę.

Anna Meredith była przestraszona. Zatrzymała się niepewnie w drzwiach. Oddychała nierówno.

Nadinspektor Battle wstał i ustawił jej inaczej krzesło.

— Proszę, panno Meredith, proszę siadać. Niech się pani nie denerwuje — mówił ojcowiskim tonem. — Wiem, że to wygląda okropnie, ale naprawdę nie jest tak źle.

— Nie sądzę, żeby mogło zdarzyć się coś gorszego — powiedziała dziewczyna cicho. — To takie straszne, takie okropne... pomyśleć, że ktoś z nas... że jedno z nas...

— Myślenie proszę pozostawić mnie — odparł dobrotliwie Battle. — A więc, panno Meredith, może najpierw poda nam pani adres.

— „Wendon Cottage”, Wallingford.

— Nie ma pani adresu w mieście?

— Nie, zatrzymałam się na kilka dni w moim klubie.

— Co to za klub?

— Ladies' Naval & Military.

— Dobrze. A teraz niech nam pani powie, jak blisko znała pani pana Shaitanę?

— Nie znałam go dobrze. Zawsze się go trochę bałam.

— Dlaczego?

— Był... przerażający. Ten okropny uśmiech! I sposób, w jaki nachylał się nad czołwiekiem. Jakby chciał ugryźć.

— Długo go pani znała?

— Około dziewięciu miesięcy. Poznałam go w Szwajcarii, podczas wyjazdu na narci.

— Nie przyszłoby mi do głowy, że zajmował się sportami zimowymi — zdziwił się Battle.

— Jeździł tylko na łyżwach. Był znakomitym łyżwiarzem. Znał mnóstwo figur i kroków.

— Tak, to bardziej prawdopodobne. A później często go pani widywała?

— Dostyc. Zapraszał mnie na przyjęcia. Były zabawne.

— Ale jego pani nie lubiła?

— Nie, uważałam, że wzbudza lęk.

— Nie miała pani szczególnego powodu, aby się go obawiać? — spytał łagodnie Battle.

Anna Meredith spojrzała mu prosto w oczy.

— Szczególnego powodu? Och, nie.

— Zatem wszystko w porządku. Teraz, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór. Czy pani opuszczała swoje miejsce?

— Chyba nie. Ach tak, może raz. Przeszłam się, żeby zobaczyć karty innych.

— Cały czas pozostawała pani blisko stolika brydzowego?

— Tak.

— Na pewno, panno Meredith?

Policzki dziewczyny nagle zapłonęły.

— Nie... nie. Chyba przespacerowałam się po pokoju.

— W porządku. Proszę wybaczyć, panno Meredith, ale musi pani dołożyć wszelkich starań i mówić prawdę. Wiem, że jest pani zdenerwowana, a kiedy tak jest, łatwo ulega się... cóż, łatwo przedstawia się sprawy tak, jak chciałoby się je widzieć. Ale to się nie opłaca. Więc przeszła się pani. Czy udała się pani w kierunku pana Shaitany?

Dziewczyna chwilę milczała.

— Szczerze mówiąc, nie pamiętam.

— Cóż, przyjmijmy, że mogła to pani zrobić. Czy wie pani coś o pozostałych trojgu?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie widziałam ich nigdy przedtem.

— A co pani o nich sądzi? Są między nimi jacyś mordercy?

— Nie wierzę. To nie mógł być major Despard. I nie sądzę, żeby to był doktor. Ostatecznie lekarze mogą zabić używając znacznie prostszych sposobów. Lek albo coś w tym rodzaju.

— Zatem zostaje tylko pani Lorrimer.

— Och, wcale nie. Jestem pewna, że tego nie zrobiła. Jest tak czarująca i tak miło gra się z nią w brydża. Gra bardzo dobrze, a przy tym nikogo nie onieśmiela ani nie wykażuje błędów.

— A jednak zostawiła ją pani na koniec.

— Tylko dlatego, że sztylet wydaje mi się raczej kobiecą bronią. Battle wyciągnął sztylet. Anna Meredith wzdrygnęła się.

— Och, to okropne. Czy muszę... wziąć go do ręki?

— Proszę o to.

Kiedy ostrożnie wzięła sztylet, jej twarz skurczyła się z odrazy.

— Więc to tym drobiazgiem...

— Wchodzi jak w masło — powiedział Battle z upodobaniem. — Mogłoby to zrobić dziecko.

— Pan ma na myśli... pan... — utkwiała w jego twarzy szeroko otwarte, przerażone oczy — że nawet ja mogłabym to zrobić? Ale nie zrobiłam! Zresztą po co?

— To właśnie chcielibyśmy wiedzieć — powiedział Battle. — Jaki jest motyw? Dlaczego ktoś zabił Shaitanę? Był malowniczą postacią, ale o ile się orientuję, nie był niebezpieczny.

Czy naprawdę nagle wciągnęła powietrze, czy uniosła się jej pierś, czy tylko tak się mu wydawało?

— Nie był chyba szantażystą ani nikim w tym rodzaju — ciągnął Battle. — Tak czy owak, panno Meredith, nie wygląda pani na dziewczynę, która ma wiele do ukrycia.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy, uspokojona przez jego jowialność.

— Nie, rzeczywiście nie mam. Nie mam zresztą żadnych sekretów.

— Więc proszę się nie martwić. Będziemy musieli przyjść i zadać pani jeszcze parę pytań, ale to będą sprawy rutynowe.

Wstał.

— Teraz proszę już iść. Konstabl sprowadzi pani taksówkę i niech pani nie leży bezsennie, zamartwiając się. Proszę wziąć parę aspiryn.

Battle wyprowadził dziewczynę. Kiedy wrócił, pułkownik Race powiedział cicho, ubawionym tonem:

— Battle, jest pan skończonym kłamcą. Pański ojcowski sposób bycia był naprawdę niezrównany.

— Nie ma sensu tracić na nią czasu, pułkowniku. Albo biedne dziecko jest śmiertelnie przestraszone — w takim razie trzymanie jej tutaj byłoby okrucieństwem, a ja nie jestem okrutnym człowiekiem, albo jest znakomitą aktorką i nie posunęlibyśmy się dalej, nawet gdybyśmy męczyli ją przez pół nocy.

Pani Oliver westchnęła i zaczesła palcami grzywkę do góry. Grzywka stanęła dęba i nadała jej pijacki wygląd.

— Wiecie — powiedziała — teraz wierzę, że ona to zrobiła. Czytelnicy nie lubią, kiedy młode i piękne dziewczyny mordują. Niemniej jestem zdania, że to ona. A co pan sądzi, panie Poirot?

— Zrobiłem właśnie odkrycie.

— Znowu w zapisach brydżowych?

— Tak, panna Meredith odwraca kartkę i wykorzystuje drugą stronę.

— I co to oznacza?

— Przyzwyczajenie z okresu ubóstwa lub naturalna oszczędność.

— Jest kosztownie ubrana — zauważyła pani Oliver.

— Poślijmy po majora Desparda — zaproponował Battle.

ROZDZIAŁ VII

Czwarty morderca?

Despard wszedł do pokoju szybkim, sprężystym krokiem, który coś Poirotowi przypominał.

— Przepraszam, że kazałem panu czekać tak długo — zaczął Battle. — Chciałem jednak, aby panie mogły odejść tak szybko, jak to możliwe.

— Niech pan nie przeprasza. Rozumiem to.

Usiadł i spojrzał pytająco na nadinspektora.

— Jak dobrze znał pan pana Shaitanę?

— Spotkałem go dwa razy — odparł Despard szorstko.

— Tylko dwa?

— Tak.

— Przy jakich okazjach?

— Mniej więcej miesiąc temu jedliśmy obiad w tym samym domu. Wtedy zaprosił mnie na cocktail party.

— Tutaj?

— Tak.

— Gdzie się odbywało przyjęcie? W tym pokoju czy w salonie?

— We wszystkich pokojach.

— Widział pan gdzieś ten drobiazg?

Battle jeszcze raz zaprezentował sztylet.

Major Despard skrzywił się lekko.

— Nie — powiedział. — Nie wypatrzyłem tego wówczas z zamiarem użycia w przyszłości.

— Nie ma konieczności uprzedzać tego, co mówię, majorze Despard.

— Proszę wybaczyć. Wniosek był oczywisty.
Nastąpiła chwilowa przerwa, po czym Battle kontynuował przesłuchanie.

— Miał pan jakiś motyw, aby nie lubić pana Shaitany?

— Niejeden.

— Co?

— Aby go nie lubić, nie aby go zabić — odparł Despard. — Nie miałem najmniejszej chęci zabijać Shaitany, ale z radością dałbym mu kopniaka. Szkoda. Teraz jest za późno.

— Dlaczego chciałby go pan kopnąć, majorze Despard?

— Ponieważ to był jeden z tych ulizanych południowców, którzy pilnie potrzebują kopniaka. W jego obecności swędział mnie czubek buta.

— Wiedział pan o nim coś... mam na myśli coś, co go dyskredytuje?

— Był za dobrze ubrany, nosił za długie włosy i pachniał perfumami.

— A jednak przyjął pan jego zaproszenie na obiad — zauważył Battle.

— Gdybym jadał obiady wyłącznie w domach, których gospodarza w pełni aprobuję, obawiam się, że nie jadałbym zbyt często — odparł sucho Despard.

— Lubi pan towarzystwo, ale go nie aprobuje? — podsunął nadinspektor.

— Lubię je na krótko. Wrócić z dziczy do oświetlonych pokoi, pięknie ubranych kobiet, do tańca, dobrego jedzenia i śmiechu — tak, lubię to, ale tylko na krótko. A potem nieszczerłość tego wszystkiego przyprawia mnie o mdłości i chcę znowu wyjechać.

— Musi się pan narażać na wiele niebezpieczeństw, wędrując po dzikich okolicach. Despard wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Pan Shaitana nie prowadził niebezpiecznego życia, ale to on jest martwy, a nie ja.

— Może prowadził bardziej niebezpieczne życie, niż się panu wydaje — rzucił Battle znacząco.

— Co pan ma na myśli?

— Zmarły pan Shaitana był człowiekiem cokolwiek wścibskim.
Major pochylił się ku niemu.

— Pan chce powiedzieć, że wścibiał nos w życie innych ludzi?

— Chcę powiedzieć, że był to ktoś, kto węszy... ee... wśród kobiet.
Major Despard odchylił się na krześle i roześmiał wesoło.

— Nie sądzę, żeby kobiety mogły brać poważnie takiego hochsztaplera.

— Według pana teorii, kto go zabił?

— Cóż, wiem, że nie ja. Mała panna Meredith też nie. Nie potrafię sobie wyobrazić pani Lorrimer w tej roli. Przypomina mi jedną z moich bogobojnych ciotek. Zostaje medyk.

— Mógłby pan opisać, co pan i inni robili dziś wieczór?

— Ja wstawałem dwa razy. Raz po popielniczkę, a przy tym poprawiłem ogień, i raz po drinka...

— O której to było?

— Nie potrafię powiedzieć. Pierwszy raz mogło być około pół do jedenastej, drugi raz o jedenastej, ale nie jestem pewien. Pani Lorrimer podeszła do ognia raz i powiedziała coś do Shaitany. Nie słyszałem jego odpowiedzi, ale nie zwracałem uwagi. Nie mógłbym przysiąc, że nic nie mówił. Panna Meredith przeszła się po pokoju, ale wydaje mi się, że nie zbliżała się do kominka. Roberts wstawał przynajmniej trzy lub cztery razy.

— Zadam panu pytanie pana Poirota — powiedział Battle z uśmiechem. — Co pan sądzi o nich jako o brydżystach?

— Panna Meredith gra całkiem dobrze. Roberts haniebnie przelicytowuje. Powinien leżeć znacznie więcej razy, niż to się zdarzyło. Pani Lorrimer jest niesamowicie bystra.

— Coś jeszcze? — zwrócił się Battle do Poirota.

Detektyw potrząsnął głową.

Despard podał swój adres w Albany, życzył im dobrej nocy i opuścił pokój.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Poirot poruszył się niespokojnie.

— O co chodzi? — zapytał Battle.

— O nic — odparł Poirot. — Przyszło mi na myśl, że on chodzi jak tygrys, tak glibko, spokojnie, jak wielki kot.

— Hm — mruknął Battle. — A zatem — jego oczy prześliznęły się po trójce towarzyszy — kto z nich zabił?

ROZDZIAŁ VIII

Kto z nich?

Battle przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą. Odpowiedziała tylko jedna osoba. Pani Oliver zawsze chętnie ujawniała swe poglądy.

— Dziewczyna albo doktor — rzekła bez namysłu.

Battle popatrzył pytająco na pozostałych. Obaj mężczyźni nie mieli ochoty na składanie oświadczeń. Race potrząsnął głową. Poirot starannie wyglądał zgniecione zapisy brydżowe.

— Ktoś z nich to zrobił — powiedział Battle w zadumie — ktoś kłamie jak z nut. Ale kto? To nie jest proste, nie, to nie jest proste. Lekarz posądza Desparda, Despard lekarza, dziewczyna uważa, że zrobiła to pani Lorrimer, a pani Lorrimer nie chce nic powiedzieć! Żadnej wskazówki!

— Może rzeczywiście nie jest to wskazówka — rzekł Poirot.

Battle rzucił mu szybkie spojrzenie.

— Myśli pan, że coś w tym jest?

Poirot skinął niedbale ręką.

— Niuans, nic więcej! Nic, na czym można by się oprzeć.

— Wy obaj, panowie, nie chcecie wyjawic swojej opinii...

— Brak dowodów — powiedział Race krótko.

— Och, mężczyźni! — westchnęła pani Oliver, pogardzająca taką powściągliwością.

— Rozpatrzmy z grubsza możliwości — zaproponował Battle.

Namyślał się chwilę. — Weźmy najpierw doktora. Facet niby w porządku. Wie, gdzie najlepiej wpakować sztylet. I to wszystko. A Despard? Ma zimną krew, jest przyzwyczajony do podejmowania szybkich decyzji, obyty z niebezpieczeństwem. Pani Lorrimer? Również ma zimną krew i należy do kobiet, które mogą mieć coś do ukrycia. Wygląda,

jakby wiedziała co to kłopoty. Z drugiej strony powiedziałbym, że jest osobą o twardej zasadach — typ kobiety, która mogłaby być dyrektorką szkoły dla dziewcząt. Nie jest łatwo wyobrazić ją sobie, jak wbija w kogoś sztylet. Szczerze mówiąc nie sądzę, że to ona zabiła. I na koniec panna Meredith. Wydaje się zwyczajną, przystojną, dosyć nieśmiałą dziewczyną, ale nic o niej nie wiemy.

— Shaitana uważał, że popełniła morderstwo — zauważył Poirot.

— Wilk w owczej skórze — rzekła zamyślona pani Oliver.

— Czy to nam coś daje, Battle? — zapytał pułkownik Race.

— Uważa pan, że to jałowe spekulacje? Cóż, w takiej sprawie jak ta jesteśmy skazani na domysły.

— Czy nie lepiej dowiedzieć się czegoś o tych ludziach?

Battle uśmiechnął się.

— Z pewnością będziemy to robić. Myślę, że mógłby pan nam pomóc.

— Oczywiście. W jaki sposób?

— W sprawie majora Desparda. Przebywa dużo za granicą: w Ameryce Południowej, wschodniej i południowej Afryce — pan zna te wszystkie tereny. Potrafi pan wystarać się o informacje na temat majora?

Race skinął głową.

— Zrobi się. Zdobędę, co się da.

— Mam plan! — krzyknęła pani Oliver. — Jest nas czworo — czterech łapsów, można powiedzieć — i ich jest czworo! Niech każde z nas weźmie jedną osobę. Postawmy na naszą wyobraźnię! Pułkownik Race zajmie się majorem Despardem, nadinspektor Battle doktorem Robertsem, ja Anną Meredith, a pan Poirot — panią Lorrimer. Każde z nas pójdzie według własnej linii!

Nadinspektor Battle zdecydowanie potrząsnął głową.

— Nie możemy tak zrobić. To sprawa oficjalna, rozumie pani. Powierzono ją mnie. Prowadzę śledztwo we wszystkich kierunkach. Poza tym dobrze pani mówić o stawianiu na naszą wyobraźnię. Dwoje z nas może stawiać na tego samego konia! Pułkownik Race nie powiedział, że podejrzewa majora Desparda. A pan Poirot może nie postawić swoich pieniędzy na panią Lorrimer.

Pani Oliver westchnęła.

— To był taki piękny plan — powiedziała z ubolewaniem, ale zaraz się rozpogodziła.

— Ale nie ma pan nic przeciw temu, żebym poprowadziła małe własne śledztwo?

— Nie, nie mam nic przeciw temu. Prawdę mówiąc, nie mogę pani zabronić. Jako uczestniczka dzisiejszego przyjęcia, może pani zaspokoić swoją ciekawość. Radziłbym jednak, aby była pani ostrożna.

— Będę uosobieniem dyskrecji — przyrzekła pani Oliver.

— Nie puszczę pary z ust o... o niczym.

— Sądzę, że nadinspektorowi nie o to chodzi — wtrącił Herkules Poirot. — On ma na myśli, że będzie mieć pani do czynienia z osobą, która, o ile nam wiadomo, zabiła już dwukrotnie i nie zawaha się zabić trzeci raz, o ile uzna to za konieczne.

Pani Oliver popatrzyła na niego z namysłem. Potem uśmiechnęła się sympatycznym, ujmującym uśmiechem, jak nieposłuszne małe dziecko.

— „ZOSTAŁA PANI OSTRZEŻONA” — zacytowała. — Dziękuję, panie Poirot. Będę się pilnować. Ale nie zamierzam zostać wyłączona z gry.

Poirot skłonił się.

— Pozwolę sobie powiedzieć, *madame*, że drzemie w pani sportowy duch.

— Zakładam — powiedziała pani Oliver siedząc bardzo prosto i mówiąc rzeczowo, jak na posiedzeniu komitetu — że wszystkie informacje, jakie uzyskamy, zostaną udostępnione reszcie, to znaczy że nie zatrzymamy nic dla siebie. Oczywiście nie musimy się dzielić własnymi dedukcjami i wrażeniami.

— To nie jest opowiadanie kryminalne, pani Oliver — westchnął nadinspektor Battle.

— Oczywiście — dodał oficjalnym tonem Race — wszystkie informacje musimy przekazać policji. — Po czym dorzucił lekko, mrużąc oko: — Jestem pewien, że będzie pani grać fair. Zakrwawione rękawiczki, odciski palców na szklance do mycia zębów, kawałki spalonego papieru — wszystko zwróci pani nadinspektorowi.

— Możecie się śmiać — powiedziała pani Oliver — ale kobieca intuicja...

Skinęła zdecydowanie głową. Race podniósł się.

— Sprawdzę dla pana Desparda. To może zabrać trochę czasu. Mogę zrobić coś jeszcze?

— Chyba nie, dziękuję. Nie ma pan żadnych uwag? Chętnie bym posłuchał.

— Hm. Zwróciłbym szczególną uwagę na wypadki z bronią, trucizną, wypadki domowe, ale spodziewam się, że już pan na to wpadł.

— Tak, to właśnie sobie zanotowałem.

— Cóż, nie muszę pana uczyć pańskiej roboty. Dobranoc, pani Oliver. Dobranoc, panie Poirot.

I z pożegnalnym ukłonem w stronę Battle'a pułkownik Race opuścił pokój.

— Kto to jest? — zapytała pani Oliver.

— Człowiek z chlubną przeszłością wojskową — powiedział Battle. — Dużo podróżuje. Niewiele jest miejsc na świecie, których nie zna.

— Przypuszczam, że jest z Secret Service — powiedziała pani Oliver. — Nie musi mi pan tego mówić, i tak wiem. Nie zostałby zaproszony dziś wieczór, gdyby było inaczej. Czterech morderców i czterech detektywów: Scotland Yard, Secret Service, detektyw prywatny, literatka. Sprytny pomysł.

Poirot potrząsnął głową.

— Jest pani w błędzie, *madame*. To był bardzo głupi pomysł. Podrażnił tygrysa... i tygrys skoczył.

— Tygrys? Jaki tygrys?

— Mam na myśli mordercę — odparł Poirot.

— Jaką linię postępowania należy według pana przyjąć, panie Poirot? — spytał otwarcie Battle. — To po pierwsze. Po drugie chciałbym wiedzieć, co pan sądzi o psychice tych czworga ludzi. Pan to uwielbia.

Wyglądając wciąż zapisy brydżowe, Poirot powiedział:

— Ma pan rację, psychologia jest bardzo ważna. Znamy rodzaj morderstwa i sposób, w jaki zostało popełnione. Jeśli z psychologicznego punktu widzenia jakaś osoba nie mogła go popełnić, możemy ją wykreślić z naszych rozważań. Wiemy coś o tych ludziach. Wiemy, jakie wrażenie na nas wywarli, jaką obrali linię postępowania, znamy trochę ich mentalność i charakter z opinii o ich grze i z zapisów brydżowych. Ale niestety! Nie jest łatwo wydać ostateczną opinię. To morderstwo wymagało zuchwałości i zimnej krwi — a więc osoby skłonnej do podjęcia ryzyka. Cóż, mamy doktora Robertsa, blefiarza, który przelicytował swoją kartę, człowieka, który świadomie podejmuje ryzyko. Bardzo dobrze pasuje do tej zbrodni. Można by powiedzieć zatem, że to automatycznie wyklucza pannę Meredith. Jest nieśmiała, boi się licytować zbyt wysoko, jest dokładna, oszczędna, ostrożna i brak jej pewności siebie. Nie byłaby zdolna do przeprowadzenia śmiałego i ryzykownego działania. Ale nieśmiała osoba może popełnić morderstwo ze strachu. Ktoś nerwowy, przerażony, doprowadzony do rozpaczki może reagować jak osaczony szczur. Jeżeli panna Meredith popełniła w przeszłości zbrodnię i uwierzyła, że Shaitana zamierza wydać ją sprawiedliwości, oszalała z przerażenia — i mogła ratować się bez skrupułów. Rezultat byłby taki sam, choć nie dzięki zimnej krwi i odwadze, lecz panice. Weźmy majora Desparda — zimny, zaradny facet, skłonny podjąć ryzyko, jeśli będzie przekonany, że jest ono absolutnie konieczne. Mógł zważyć wszystkie pro i kontra i dojść do wniosku, że ma szansę. Poza tym jest on człowiekiem, który woli działanie od bezczynności i nigdy nie cofnie się przed niebezpiecznym czynem, jeśli ma uzasadnione widoki na sukces. Na koniec pani Lorrimer: kobieta starsza, ale w pełni władz umysłowych. Chłodna. Umysł matematyczny. Prawdopodobnie najlepszy z całej czwórki. Przyznaję, że gdyby pani Lorrimer popełniła zbrodnię, spodziewałbym się zbrodni z premedytacją. Potrafię wyobrazić ją sobie, jak planuje swój czyn powoli i starannie, upewniając się, że w projekcie nie ma słabych punktów. Z tego powodu ona wydaje mi się nieco mniej prawdopodobna niż pozostała trójka. Jest jednak najbardziej dominującą osobowością i cokolwiek przedsięwzięmie, przeprowadzi to przypuszczalnie bez błędu. To kobieta niezwykle sprawna w działaniu. — Przerwał. — Więc jak widzicie, to nam wiele nie pomaga. Jest tylko jeden sposób rozwiązania tej sprawy. Musimy zajrzeć w ich przeszłość.

Battle westchnął.

— Wracamy do tego samego — mruknął.

— Shaitana był przekonany, że każde z tych czworga popełniło morderstwo. Czy miał dowody? A może zgadywał? Nie wiemy. Nieprawdopodobne, aby posiadał we wszystkich czterech przypadkach prawdziwe dowody.

— Zgadzam się z panem — skinął głową Battle. — To byłby mało prawdopodobny zbieg okoliczności.

— Zakładam, że mogło być tak: ktoś wspomina o morderstwie i pan Shaitana jest zaskoczony wyrazem czyjejś twarzy. Kojarzył bardzo szybko, był ogromnie wrażliwy na takie rzeczy. Bawiło go eksperymentowanie, delikatne sondowanie rozmówcy podczas pozornie bezcelowej konwersacji. Och, to bardzo proste! Jeżeli podejrzewasz istnienie jakiegoś sekretu, nic łatwiejszego jak upewnić się w swoich posądzeniach. Jeśli specjalnie obserwujesz, od razu zauważysz, kiedy trafiasz w dziesiątkę.

— To rodzaj gry, która mogła bawić naszego zmarłego przyjaciela — przytaknął Battle.

— Można zatem przypuszczać, że tak właśnie postępował. Wątpię, czy w którymkolwiek z tych przypadków miał wystarczające informacje, by udać się na policję.

— Dostyc często zdarza się podejrzana sprawa — powiedział Battle — domyślamy się morderstwa, ale nie potrafimy tego dowieść. W każdym razie sposób postępowania jest jasny. Musimy przejrzeć akta wszystkich tych ludzi i wziąć pod uwagę wszystkie wypadki śmierci, które mogą mieć znaczenie. Spodziewam się, że zauważył pan, tak jak pułkownik, co Shaitana powiedział podczas obiadu.

— Czarny anioł — mruknęła pani Oliver.

— Milutkie aluzje do trucizny, wypadku, do okazji jakie ma lekarz, do wypadków z bronią. Nie byłbym zdziwiony, gdyby mówiąc to podpisał na siebie wyrok śmierci.

— Nastąpiła nieprzyjemna pauza — powiedziała pani Oliver.

— Tak -. odparł Poirot — te słowa trafiły do co najmniej jednej osoby. I osoba ta pomyślała, że Shaitana wie znacznie więcej, i że to początek końca, że przyjęcie jest dramatycznym przedstawieniem zaaranżowanym przez Shaitanę, który w punkcie kulminacyjnym doprowadzi do aresztowania mordercy! Tak, istotnie, kiedy zaczął dręczyć swoich gości, podpisał na siebie wyrok śmierci.

Na moment zapadła cisza.

— To będzie się długo ciągnąć — powiedział Battle z westchnieniem. — Nie możemy szybko dowiedzieć się wszystkiego, co nas interesuje, a musimy być ostrożni. Nie chcemy, żeby ktoś z tej czwórki podejrzewał, co naprawdę robimy. Wszystkie nasze działania muszą wydawać się związane z tym morderstwem. Nie mogą wiedzieć, że zgadliśmy, jaki jest motyw tej zbrodni. A najgorsze, że musimy po cichu sprawdzić przeszłość aż czterech osób, nie jednej.

— Nasz przyjaciel, pan Shaitana, nie był nieomylny. Mógł — co jest całkiem prawdopodobne — popełnić błąd — rzekł Poirot.

— We wszystkich czterech przypadkach?

— Nie, na to był za inteligentny.

— Powiedzmy *fifty-fifty*?

— Nawet nie tyle. Powiedziałbym jeden do czterech.

— Jeden niewinny i troje winnych? To dosyć kiepsko. A i tak nawet jeśli odkryjemy prawdę, może nam to nic nie dać. To, że ktoś zepchnął swoją cioteczną babkę ze schodów w 1912 roku, niekoniecznie może przydać się nam w roku 1937.

— Ależ na pewno nam się przyda — zaprotestował Poirot. — Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Battle wolno skinął głową.

— Rozumiem, co pan ma na myśli — rzekł. — Taka sama zbrodnia.

— Chce pan powiedzieć — zapytała pani Oliver — że poprzednia ofiara musiała również zostać zasztyletowana?

— Nie chodzi o dosłowne podobieństwo, tylko o typ zbrodni. Szczegóły mogą być odmienne, ale podstawowe elementy pozostaną takie same. To dziwne, ale kryminalista zawsze zdradza się w ten sposób.

— Człowiek jest mało oryginalnym stworzeniem — zauważył Poirot.

— Nie dotyczy to kobiet — odparła pani Oliver. — Nigdy nie popełniłabym dwa razy tego samego morderstwa.

— Nigdy nie stworzyła pani dwa razy tej samej fabuły? — spytał Battle.

— *Morderstwo w lotosach* — mruknął Poirot — *Sprawa woskowej świecy*.

— Jest pan naprawdę inteligentny — rzekła z uznaniem pani Oliver. — Rzeczywiście te dwie książki mają identyczną intrygę, ale nikt tego jeszcze nie zauważył. W jednym wypadku chodzi o kradzież dokumentów na nieoficjalnym przyjęciu dla członków rady ministrów, a w drugim o morderstwo w bungalowie plantatora kauczuku na Borneo.

— Ale zasadniczy punkt, na którym opiera się cała historia, jest taki sam — powiedział Poirot. — To jeden z najlepszych pani pomysłów. Plantator kauczuku aranżuje swoje własne morderstwo, a minister — rabunek własnych dokumentów. W ostatniej chwili wkracza trzecia osoba, zmieniając fikcję w rzeczywistość.

— Podobała mi się pani najnowsza książka — powiedział nadinspektor Battle uprzejmie. — Ta, w której wszyscy komisarze zostają jednocześnie zastrzeleni. Potknęła się pani raz czy dwa na szczegółach. Wiem, że stara się pani być ścisła, więc jestem ciekaw...

— Szczerze mówiąc — przerwała mu pani Oliver — gwizdzę na ścisłość. Kto jest dokładny? W dzisiejszych czasach nikt. Jeżeli reporter napisze, że piękna, dwudziestodwuletnia dziewczyna spoglądała na morze, ucałowała swego ulubionego labradora

imieniem Bob i otworzyła gaz, nikt nie będzie podnosił wrzawy dlatego, że dziewczyna miała dwadzieścia sześć lat, pokój nie wychodził na morze, a pies był terierem i nazywał się Bonnie. Jeżeli dziennikarz może robić takie rzeczy, jakie ma to znaczenie, że pomyślę stopnie policyjne albo napiszę rewolwer zamiast pistolet czy gramofon zamiast dyktafon i użyję trucizny, po której ofiara wypowiada jedno zdanie i umiera. Chodzi tylko o to, by było dużo trupów! Jeśli historia staje się odrobinę nudna, można ją ożywić znajdując następną ofiarę. Ktoś zamierza coś wyznać i właśnie wtedy zostaje zabity. To ma zawsze powodzenie. To powtarza się we wszystkich moich książkach, choć oczywiście jest zakamuflowane na różne sposoby. Czytelnicy lubią niewykrywalne trucizny, głupich inspektorów policji, dziewczyny związane w piwnicach, w których wydobywa się gaz albo zalewa je woda (to doprawdy bardzo kłopotliwy sposób zabijania), i bohater, który gołymi rękami może załatwić w pojedynkę siedmiu łajdaków. Do chwili obecnej napisałam trzydzieści dwie książki i naturalnie wszystkie są dokładnie takie same, co zauważył wyłącznie pan Poirot. Żałuję tylko, że zrobiłam swojego detektywa Finem. Nie wiem nic o Finach i wciąż dostaję z Finlandii listy wytykające mi, że zrobił on coś nieprawdopodobnego. Wydaje się, że oni tam w Finlandii czytają dużo powieści kryminalnych. Przypuszczam, że to z powodu długich zim i braku światła dziennego. W Rumunii i Bułgarii chyba wcale nie czytają. Byłoby lepiej, gdybym zrobiła go Bułgarem. — Przerwała. — Bardzo przepraszam. Mówię o sprawach zawodowych, a tu mamy prawdziwe morderstwo. — Nagle jej twarz się rozjaśniła. — Byłoby świetnie, gdyby się okazało, że żadne z nich go nie zamordowało. Gdyby spokojnie popełnił samobójstwo!

— Zachwycające rozwiązanie — pochwalił Poirot. — Czyste. Ironiczne. Ale niestety, pan Shaitana nie należał do takich ludzi. Bardzo lubił życie.

— Sądzę, że nie był zbyt miłym człowiekiem — powiedziała pani Oliver.

— Rzeczywiście nie był przyjemny — zgodził się Poirot. — Ale był żywy — a teraz jest martwy, a ja, jak mu kiedyś powiedziałem, mam mieszczański stosunek do morderstwa. Nie apróbuję go.

Cicho dodał:

— I dlatego jestem gotów wejść do klatki tygrysa...

ROZDZIAŁ IX

Doktor Roberts

— Dzień dobry, nadinspektorze Battle.

Doktor Roberts wstał i wyciągnął dużą dłoń, pachnącą dobrym mydłem i odrobinną karbolu.

— Jak idą sprawy? — zapytał.

Nadinspektor rozejrzał się po świetnie urządzonej gabinecie lekarskiej i rzekł:

— Cóż, doktorze, ściśle mówiąc, nie idą. Wciąż jeszcze stoją.

— Z zadowoleniem przekonałem się, że w gazetach nie było wiele na ten temat.

— „Nagła śmierć człowieka z towarzystwa podczas wieczornego przyjęcia w jego własnym domu.” Tak na razie zostanie. Zrobiliśmy sekcję; przyniosłem protokół — myślałem, że pana zainteresuje...

— To miło z pana strony. — Tak, bardzo interesujące.

Zwrócił dokument.

— Przesłuchaliśmy doradcę prawnego pana Shaitany. Znamy postanowienia testamentu. Nic ciekawego. Okazuje się, że ma krewnych w Syrii. Przeszukaliśmy też, rzecz jasna, wszystkie prywatne papiery.

Wydawało mu się, czy też na szerokim, gładko wygolonym obliczu doktora odmalowało się napięcie?

— I co? — zapytał Roberts.

— I nic — odparł Battle, obserwując go. Nie było westchnienia ulgi, jednak doktor wydawał się bardziej rozluźniony.

— Tak więc przyszedł pan do mnie?

— I tak, jak pan powiada, przyszedłem do pana.

Doktor uniósł lekko brwi i spojrzał Battle'owi w oczy.

— Chce pan przejrzeć moje prywatne papiery, co?

— Taki miałem zamiar.

— Ma pan nakaz rewizji?

— Nie.

— Przypuszczam, że mógłby pan łatwo go dostać. Nie zamierzam robić trudności. Nie jest przyjemnie być podejrzanym o morderstwo, ale nie mogę winić pana, że spełnia pan swój obowiązek.

— Dziękuję panu — odparł nadinspektor z prawdziwą wdzięcznością. — Ogromnie cenię pańską postawę, jeśli można tak powiedzieć. Mam nadzieję, że wszyscy pozostali będą równie rozsądni.

— Jeśli nie da się choroby wyleczyć, trzeba ją polubić — powiedział doktor pogodnie. Skończyłem przyjmowanie pacjentów i wychodzę właśnie na obchód. Zostawię panu klucze i powiem słówko mojej sekretarce. Może pan grzebać, ile dusza zapragnie.

— To bardzo miło i uprzejmie z pana strony — rzekł Battle. — Chciałbym zadać panu parę pytań, zanim pan wyjdzie.

— Na temat tamtej nocy? Naprawdę powiedziałem panu wszystko, co wiem.

— Nie, nie o tamtej nocy. O sobie.

— Cóż, człowieku, pytaj o co chcesz.

— Chciałbym, żeby podał pan mi zarys kariery zawodowej. Pochodzenie, małżeństwo i tak dalej.

— To będzie dla mnie wprawka przed *Who's Who* — oświadczył doktor sucho. — Pochodzę z Shropshire, urodziłem się w Ludlow. Mój ojciec miał tam praktykę. Zmarł, kiedy miałem piętnaście lat. Uczyłem się w Shrewsbury i poszedłem na medycynę, jak kiedyś ojciec. Jestem absolwentem St. Christopher's... ale przypuszczam, że zna pan już wszystkie szczegóły mojej pracy zawodowej.

— Tak, już to sprawdziłem. Ma pan rodzeństwo?

— Jestem jedynakiem. Oboje rodzice nie żyją i nie mam żony. Wszedłem w spółkę z doktorem Emerym. Przeszedł na emeryturę piętnaście lat temu. Mieszka w Irlandii. Dam panu jego adres, jeśli pan chce. Mieszkam tutaj z kucharką, pokojówką i pomocą kuchenną. Sekretarka przychodzi codziennie. Mam niezły dochód i zabijam tylko rozsądną liczbę moich pacjentów. No i jak?

Nadinspektor Battle uśmiechnął się szeroko.

— To zupełnie wyczerpujące, doktorze. Cieszę się, że ma pan poczucie humoru. Zamierzam teraz zapytać pana o jeszcze jedną rzecz.

— Jestem absolutnie moralnym człowiekiem, nadinspektorze.

— Och, nie o tym myślałem. Chcę poprosić, aby dał mi pan nazwiska czterech osób, które znają pana blisko od lat. Rodzaj referencji, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

— Tak, myślę, że tak. Zaraz. Woli pan ludzi, którzy aktualnie są w Londynie?

— To uprościłoby sprawę, ale nie jest konieczne.

Doktor pomyślał chwilę, potem wiecznym piórem napisał na kartce papieru cztery nazwiska i adresy i przysunął ją Battle'owi.

— Wystarczy? Nic lepszego nie mogłem wymyślić na poczekaniu.

Battle przeczytał uważnie, skinął głową z zadowoleniem i włożył kartkę do wewnętrznej kieszeni.

— Rozwiązanie tej sprawy to kwestia eliminacji — powiedział. — Im wcześniej będę mógł kogoś wykluczyć i przejść do następnej osoby, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Muszę upewnić się, że nie był pan w złych stosunkach z panem Shaitana, nie miał pan z nim prywatnych powiązań ani interesów handlowych, że on nigdy pana nie skrzywdził i nie żywił pan do niego urazy. Mogę panu wierzyć, że nie znaliście się dobrze, ale to nie jest kwestia mojej wiary. Muszę sprawdzić.

— Och, doskonale to pojmuję. Musi pan uważać każdego za kłamcę, dopóki nie dowie, że mówi prawdę. Oto moje klucze. Ten od szuflad biurka, ten od sekretarzyka, ten mały kluczyk od szafki z silnymi lekami. Proszę koniecznie zamknąć z powrotem. A teraz może zamienię słówko z sekretarką.

Nacisnął guzik na biurku.

Niemal natychmiast w drzwiach stanęła młoda kobieta.

— Pan doktor dzwonił?

— To jest panna Burgess — przedstawił ją Roberts. — A to nadinspektor Battle ze Scotland Yardu.

Panna Burgess zwróciła chłodne spojrzenie na Battle'a.

Zdawała się mówić: „O Boże, a cóż to za zwierzę?”

— Panno Burgess, proszę odpowiedzieć na wszelkie pytania nadinspektora i udzielić mu wszelkiej potrzebnej pomocy.

— Oczywiście, jeśli pan tego sobie życzy, doktorze.

— A więc — zakończył Roberts wstając — ja wychodzę. Włożyła pani morfinę do walizeczki? Będę jej potrzebował dla Lockhearta.

Wyszedł pośpiesznie, po drodze wydając sekretarce polecenia.

— Jeśli zechce pan, abym przyszła, proszę nacisnąć guzik — poinformowała Battle'a panna Burgess.

Battle podziękował jej i zabrał się do pracy.

Poszukiwania prowadził starannie i metodycznie, choć nie miał zbytnej nadziei na znalezienie czegoś ważnego. Doktor nie był głupcem. Zdawał sobie sprawę, że dojdzie do rewizji i mógł się odpowiednio zabezpieczyć. I na pewno to zrobił, o czym świadczyła gotowość, z jaką na nią zezwolił. Istniała jednak niewielka szansa, że Battle natrafi na ślad czegoś, o co mu naprawdę chodziło, ponieważ Roberts mógł nie domyślać się

prawdziwego obiektu jego poszukiwań.

Nadinspektor przetrząsnął przegródki szuflady, przejrzał książeczkę czekową i nie zapłacone rachunki, sprawdził paszport Roberta i karty chorobowe. Krótko mówiąc, przeczytał wszystkie papiery. Rezultat był niezwykle skromny. Następnie przejrzał szafkę z narkotykami, kartotekę firm, z którymi współpracował doktor, i sposób kontroli zużycia leków, zamknął szafkę i zabrał się do sekretarzyka. Tutaj znajdowały się rzeczy o charakterze bardziej osobistym, lecz Battle nie znalazł nic, co by go zainteresowało. Potrząsnął głową, usiadł w fotelu doktora i nacisnął guzik na biurku.

Nieomal natychmiast pojawiła się panna Burgess.

Nadinspektor Battle poprosił ją grzecznie, aby usiadła i przyglądała się jej przez chwilę, zanim zdecydował się, jakie obrać podejście. Wyczuwał jej wrogość i nie był pewien, czy powinien sprowokować ją do nieostrożnej wypowiedzi czy spróbować łagodniejszej metody.

— Przypuszczam, że wie pani, o co tu chodzi, panno Burgess? — zapytał wreszcie.

— Doktor Roberts mnie poinformował — odpowiedziała krótko.

— Sprawa jest delikatna.

— Tak?

— To dosyć przykra historia. Podejrzane są cztery osoby, a jedna z nich musiała to popełnić. Chciałbym się dowiedzieć, czy widziała pani kiedykolwiek pana Shaitanę?

— Nigdy.

— Czy słyszała pani, żeby pan doktor mówił o nim?

— Nigdy. Nie, myślę się. Jakiś tydzień temu doktor Roberts poprosił mnie, abym wpiisała do jego notatnika, że umówił się na obiad z panem Shaitana, osiemnastego o ósmej piętnaście.

— I wówczas pani pierwszy raz o nim usłyszała?

— Tak.

— Nie natrafiła pani dotąd na jego nazwisko w gazetach? Pojawiał się często w kronikach towarzyskich.

— Mam lepsze rzeczy do roboty niż czytać kroniki towarzyskie.

— Tak właśnie myślałem — powiedział nadinspektor łagodnie. — Cóż — ciągnął.

— Tak to jest. Wszystkie te osoby przyznają się jedynie do powierzchownej znajomości z panem Shaitana. Jednak ktoś z nich znał go na tyle dobrze, aby go zabić. Moim zadaniem jest znaleźć, kto kłamie.

Nastąpiła nieprzyjemna pauza. Panna Burgess wydawała się całkowicie nie zainteresowana opowiadaniem Battle'a o swoich obowiązkach. Jej zadaniem było wypełnić polecenie pracodawcy: słuchać, co mówi nadinspektor, i odpowiedzieć na pytania. Battle pomyślał, że praca policjanta jest bardzo żmudna, ale postanowił być wytrwały.

— Wie pani, panno Burgess — spróbował jeszcze raz — wątpię, czy pani zdaje sobie

sprawę choć w części z naszych trudności. Ludzie mówią głupstwa. Możemy nie wierzyć ani jednemu słowu, ale mimo to musimy wszystko sprawdzić. Jest to szczególnie widoczne w takiej sprawie jak ta. Nie chcę nic mówić przeciwko pani płci, ale bardzo często wyprowadzona z równowagi kobieta za szybko obraca językiem. Rzuca bezpodstawne oskarżenia, robi aluzje, odgrzebuje różne stare skandale, które prawdopodobnie nie mają nic wspólnego ze sprawą.

— Chce pan powiedzieć — dopytywała się panna Burgess — że jedna z tych osób mówi coś przeciwko doktorowi?

— Ściśle rzecz biorąc nie mówi — odparł Battle ostrożnie. — Niemniej jestem zobowiązany wszystko zbadać. Śmierć pacjenta w podejrzanych okolicznościach. Prawdopodobnie kupa bzdur. Wstyd mi niepokoić doktora tą sprawą.

— Przypuszczam, że ktoś dobrał się do tej historii o pani Graves — powiedziała panna Burgess gniewnie. — Jak można mówić o sprawach, o których się nie ma pojęcia, to haniebne! Wiele starszych kobiet uważa, że każdy chce je otruć: krewni, służba, a nawet lekarze. Pani Graves leczyła się u trzech lekarzy, zanim przyszła do doktora Roberta, a potem, kiedy miała te same urojenia na jego temat, chętnie odstąpił ją doktorowi Lee. Powiedział, że to jedyne, co można zrobić w takich wypadkach. Po doktorze Lee był doktor Steele, potem doktor Farmer, aż wreszcie zmarła, biedaczka.

— Zdziwiłaby się pani, jak łatwo rodzą się pogłoski — zauważył Battle. — Ilekroć lekarz dziedziczy po pacjentce, zawsze ktoś ma coś złośliwego do powiedzenia. A dlaczego wdzięczna pacjentka nie może zapisać swojemu lekarzowi czego chce?

— To krewni — odparła panna Burgess. — Sądzę, że nic bardziej nie odślania nikczemności ludzkiej natury niż śmierć. Ciało jeszcze nie ostygnie, a oni już zaczynają się kłócić o spadek. Na szczęście doktor Roberts nigdy nie miał kłopotów tego rodzaju. Zawsze powtarza, że ma nadzieję, iż pacjenci nic mu nie zostawią. Wydaje mi się, że kiedyś otrzymał legat wysokości pięćdziesięciu funtów i raz dwie laski i złoty zegarek, ale nic więcej.

— Człowiek wolnego zawodu ma trudne życie — westchnął Battle. — Zawsze jest narażony na szantaż. Najniewinniejsze wydarzenia mogą nabrać pozorów skandalu. Lekarz musi unikać nawet cienia obmowy — to znaczy, że musi mieć szybki refleks i być bystry.

— Wiele z tego, co pan mówi, jest prawdą. Histeryczne kobiety potrafią zająć lekarzom za skórę.

— To prawda. Osobiście uważam, że to wszystko zostało wyolbrzymione.

— Ma pan na myśli tę okropną panią Craddock?

Battle udawał, że się namyśla.

— Zaraz, to było trzy lata temu? Nie, więcej.

— Chyba cztery lub pięć. To strasznie niezrównoważona kobieta! Byłam zadowo-

lona, kiedy wyjechała za granicę, i tak samo doktor Roberts. Naopowiadała mężowi strasznych kłamstw — to się często zdarza. Biedny człowiek, nie panował nad sobą. Zaczął chorować. Zmarł na wąglika, wie pan, miał zakażony pędzel do golenia.

— Zapomniałem o tym — powiedział Battle kłamliwie.

— A ona wyjechała za granicę i niedługo później zmarła. Zawsze uważałam, że jest nieprzyjemnym typem kobiety, wie pan, zwariowana na punkcie mężczyzn.

— Znam ten rodzaj — wtrącił Battle. — Są naprawdę bardzo niebezpieczne. Lekarze powinni omijać je z daleka. Gdzież to ona zmarła... zdawało mi się, że kiedyś wiedziałem.

— Chyba w Egipcie. Dostała posocznicy. Jakieś miejscowe zakażenie.

— Inny kłopot dla lekarza, to kiedy podejrzewa, że pacjenta trują krewni. Co ma robić? Jeśli nie jest pewny, musi trzymać język za zębami. A jeśli nic nie powie, to może mieć kłopoty później, gdy rozejdą się jakieś pogłoski. Ciekaw jestem, czy taki przypadek zdarzył się kiedyś doktorowi.

— Nie sądzę — odparła panna Burgess zastanawiając się. — Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym.

— Ze statystycznego punktu widzenia byłoby interesujące wiedzieć, ile zgonów zdarza się w praktyce lekarza w ciągu roku. Pani pracuje z doktorem parę lat...

— Siedem.

— Siedem. A więc ile zgonów zdarzyło się w tym okresie, tak z grubsza?

— Doprawdy trudno powiedzieć. — Panna Burgess pograżyła się w obliczeniach. Już całkiem pozbyła się podejrzliwości. — Siedem, osiem... oczywiście nie pamiętam dokładnie. Powiedziałabym, że nie więcej niż trzydzieści.

— Przypuszczam zatem, że doktor Roberts musi być lepszym lekarzem niż inni — stwierdził uprzejmie nadinspektor. — Sądzę także, że większość jego pacjentów pochodzi z wyższych sfer. Mogą pozwolić sobie na dobrą opiekę.

— Jest bardzo popularnym lekarzem. Stawia trafne diagnozy.

Battle westchnął i podniósł się.

— Obawiam się, że muszę powędrować do moich obowiązków, do których należy znalezienie związku między doktorem i tym panem Shaitana. Jest pani pewna, że nie był pacjentem doktora?

— Całkowicie pewna.

— Może pod innym nazwiskiem? — Battle wręczył jej fotografię. — Rozpoznaje go pani?

— Co za teatralny wygląd. Nie, nigdy go nie widziałam.

— Cóż, to by było wszystko. — Battle westchnął. — Jestem zobowiązany doktorowi za to, że był tak miły w całej sprawie. Proszę mu przekazać podziękowania, dobrze? Proszę mu powiedzieć, że przechodzę do numeru drugiego. Do widzenia, panno

Burgess, i dziękuję za pomoc.

Uścisnęli sobie ręce i nadinspektor wyszedł. Idąc ulicą wyjął z kieszeni mały notesik, otworzył na literze „e” i zrobił parę notatek.

Pani Graves? Nieprawdopodobne.

Pani Craddock?

Żadnych legatów.

Nie ma żony. (Szkoda.)

Zbadać sprawę zgonów pacjentów. (Trudne.)

Zamknął notes i skierował się do oddziału Lancaster Gate banku London & Wessex.

Dzięki wizytówce z nadrukiem Scotland Yardu zdołał doprowadzić do spotkania z dyrektorem.

— Dzień dobry, sir. O ile wiem, jednym z waszych klientów jest doktor Geoffrey Roberts.

— Tak jest, nadinspektorze.

— Potrzebuję informacji o stanie konta tego dżentelmena z okresu ostatnich kilku lat.

— Zobaczę, co będę mógł dla pana zrobić.

Po pół godzinie skomplikowanych zabiegów Battle z westchnieniem ulgi schował do kieszeni kartkę zapisaną cyframi.

— Znalazł pan to, co pan chciał? — dopytywał się dyrektor ciekawie.

— Nie. Nic ciekawego. Niemniej dziękuję panu.

W tej samej chwili doktor Roberts, myjąc ręce w swoim gabinecie, zapytał sekretarkę:

— Jak tam nasz tępy gliniarz? Przewrócił wszystko do góry nogami i przenicował panią?

— Nie wyciągnął ze mnie wiele — odparła panna Burgess, zaciskając usta.

— Dziewczyno, nie musisz być ostrygą. Mówiłem ci, żebyś powiedziała mu wszystko, o co zapyta. A co chciał wiedzieć, jeśli już o tym mowa?

— Och, głądził stale o pana znajomości z panem Shaitaną, sugerował, że mógł przychodzić tu jako pacjent pod innym nazwiskiem. Pokazał mi nawet zdjęcie. Co za teatralny facet!

— Shaitana? O tak, lubił pozować na Mefistofelesa. Wychodziło mu to dość dobrze. O co jeszcze Battle pytał panią?

— Naprawdę niezbyt dużo. Z wyjątkiem — och tak, ktoś naopowiadał mu jakichś bzdur o pani Graves. Pamięta pan, co ona wyprawiała.

— Graves? Graves? Ach tak, stara pani Graves. To zabawne! — Doktor roześmiał się z wyraźną uciechą. — To naprawdę bardzo zabawne.

I w znakomitym humorze udał się na lunch.

ROZDZIAŁ X

Doktor Roberts (dalszy ciąg)

Nadinspektor Battle, przygnębiony, spożywał lunch z Herkulesem Poirotem.

— Pański poranek zatem nie był w pełni uwieńczony sukcesem — stwierdził Poirot z zadumą.

Battle potrząsnął głową.

— To będzie bardzo żmudna praca, panie Poirot.

— Co pan o nim myśli?

— O doktorze? Szczerze mówiąc, myślę, że Shaitana miał rację. On jest zabójcą. Przypomina mi Westawaya. I tego prawnika z Norfolk. Ten sam szczerzy, pewny siebie sposób bycia. Ta sama pospolitość. Obaj spryciarze. Roberts jest taki sam. Mimo wszystko nie wynika z tego, że Roberts zabił Shaitanę, i prawdę powiedziawszy nie sądzę, że to zrobił. Zbyt dobrze znał ryzyko. Jako lekarz dobrze wiedział, że Shaitana może się obudzić i krzyknąć. Nie, myślę, że to nie Roberts go zamordował.

— Jednak uważa pan, że kogoś zamordował?

— Prawdopodobnie niejedną osobę. Tak jak Westaway. Ale będzie trudno go dostać. Sprawdziłem jego konto bankowe. Nic podejrzanego, nie wpłacał jednorazowo dużych sum. W każdym razie w ciągu ostatnich siedmiu lat nie otrzymał żadnego legatu od pacjenta. To wyklucza morderstwo dla bezpośredniej korzyści. Nigdy nie był żonaty — co za szkoda! Lekarzowi najłatwiej zabić własną żonę. Jest zamożny, a poza tym ma wielu bogatych pacjentów.

— Wydaje się, że prowadzi zupełnie nienaganne życie. I może tak jest naprawdę.

— Być może. Ale ja wolę podejrzewać najgorsze.

— Natknąłem się na ślad skandalu — kontynuował Battle. — Chodziło o jedną z jego pacjentek, nazwiskiem Craddock. Wydaje mi się, że warto to sprawdzić. Kobieta

zmarła w Egipcie, na jakąś tamtejszą chorobę, więc pewnie nic w tym nie ma, ale ta sprawa rzuca światło na jego charakter i moralność.

— Czy ta kobieta miała męża?

— Tak. Zmarł na wąglik.

— Na wąglik?

— Tak. Pamięta pan ten skandal z tanimi pędzlami do golenia, z których część była zakażona?

— Wygodne — zasugerował Poirot.

— Tak właśnie pomyślałem. Jeżeli jej mąż groził, że narozrabia... Ale wszystko to są domysły. Nie mamy się na czym oprzeć.

— Odwagi, przyjacielu. Znam pańską cierpliwość. Na koniec zdobędzie pan upragnione dowody.

— A co z panem, Poirot? — spytał z ciekawością Battle. — Zamierza się pan przyłączyć?

— Ja również mógłbym wpaść do doktora Roberta.

— Dwóch jednego dnia. To powinno napędzić mu strachu.

— Zachowam dyskrecję. Nie będę dopytywał się o jego przeszłość.

— Chciałbym wiedzieć, jaką właściwie linię pan obierze — zapytał Battle — ale proszę nie mówić, jeśli to tajemnica.

— *Du tout, du tout**. Chętnie panu powiem. Porozmawiam trochę o brydżu, to wszystko.

— Znowu brydż. Wciąż to samo.

— To bardzo użyteczny temat.

— Cóż, każdy ma swoje upodobania. Ja nie stosuję takich ekstrawaganckich metod.

Nie są w moim stylu.

— A jaki jest pański styl, nadinspektorze? — spytał Poirot mrugając do Battle'a.

Battle mu odmruknął.

— Prostolinijne, uczciwe, gorliwe i mozolne działanie. Żadnych fanaberii. Solidny i trochę tępy oficer — oto moja wizytówka.

Poirot podniósł kieliszek.

— Za nasze metody... a może nawet za sukces wieńczący wspólne wysiłki.

— Spodziewam się, że pułkownik Race dostarczy nam informacji o Despardzie. Ma dobre źródła.

— A pani Oliver?

— Nie wiadomo. Nawet ją lubię. Gada sporo głupstw, ale ma w sobie sportowego ducha. Jako kobieta może dowiedzieć się o innej kobiecie rzeczy, których mężczyzna nigdy nie zdobędzie. Może natrafić na coś pożytecznego.

* *fr.* Wcale nie.

Rozstali się. Battle wrócił do Scotland Yardu, a Poirot udał się na Gloucester Terrace 200.

Doktor Roberts powitał swego gościa ze zdumieniem.

— Dwóch łapaczy w jednym dniu — zauważył. — Pewne kajdanki.

Poirot uśmiechnął się.

— Mogę pana zapewnić, doktorze, że swą uwagą obdzielam równo całą czwórkę.

— Jest to coś, za co w każdym razie powinienem być wdzięczny. Zapali pan?

— Jeśli pan pozwoli, wolę własne.

Poirot zapalił cieniutkiego rosyjskiego papierosa.

— Cóż mogę dla pana zrobić? — zapytał Roberts.

Poirot powoli wydmuchnął dym z papierosa i rzekł:

— Czy jest pan uważnym obserwatorem natury ludzkiej, doktorze?

— Nie wiem. Przypuszczalnie tak. Lekarz musi być spostrzegawczy.

— Tak właśnie rozumowałem. Powiedziałem sobie: „Lekarz musi obserwować swoich pacjentów: wyraz twarzy, cerę, szybkość oddychania, objawy niepokoju — lekarz zauważa to wszystko automatycznie, nie zdając sobie z tego sprawy! Doktor Roberts jest człowiekiem, który mi pomoże”.

— Chętnie panu pomogę. Jaki ma pan kłopot?

Poirot wyjął z małego, eleganckiego portfeliaka trzy starannie złożone zapisy brydżowe.

— Oto pierwsze trzy robry z tamtego wieczoru — wyjaśnił. — To jest pierwszy, notowany przez pannę Meredith. Czy, odświeżywszy sobie pamięć zapisami, może mi pan odpowiedzieć, jak przebiegała licytacja i jakie były kolejne rozdania?

Roberts spojrzął na niego zdziwiony.

— Pan żartuje, Poirot. W jaki sposób mógłbym to zapamiętać?

— Nie zdoła pan sobie przypomnieć? Byłbym bardzo wdzięczny. Weźmy tego pierwszego robra. Pierwsza gra musiała być w kiery albo w piki, bo inaczej któraś strona leżałaby za pięćdziesiąt.

— Zaraz — to było pierwsze rozdanie. Tak, myślę, że one licytowały piki.

— A następne rozdanie?

— Przypuszczam, że ktoś z nas leżał za pięćdziesiąt, ale nie pamiętam kto ani w co. Naprawdę, panie Poirot, nie może pan tego ode mnie oczekiwać.

— Nie potrafi pan przypomnieć sobie licytacji ani rozgrywek?

— Miałem wielkiego szlema — to pamiętam. Był skontrowany. I pamiętam również, jak leżałem grając trzy bez atu. Myślę, że poleciała grubsza forsa. Ale to było później.

— Pamięta pan, z kim pan grał?

— Z panią Lorrimer. Pamiętam, że wyglądała trochę ponuro. Przypuszczalnie nie podobała się jej moja zbyt wysoka licytacja.

— I nie może pan przypomnieć sobie żadnych innych rozdań ani licytacji?

Roberts roześmiał się.

— Drogi panie Poirot, naprawdę spodziewał się pan tego po mnie? Po pierwsze, zdarzyło się tam morderstwo — to dość, aby wyrzucić z pamięci najefektowniejsze rozgrywki. A na dodatek od tego czasu zagrałem przynajmniej pół tuzina robrów.

Poirot stropił się.

— Przykro mi — powiedział Roberts.

— To nie ma wielkiego znaczenia — rzekł wolno Poirot. — Miałem nadzieję, że będzie pan pamiętał co najmniej jedno czy dwa rozdania, ponieważ mogłyby panu przypomnieć inne rzeczy.

— Jakie inne rzeczy?

— Mógłby pan na przykład zauważyć, że pański partner partaczy grając zupełnie proste bez atutu albo że przeciwnik, grając niewłaściwą kartą, daje panu parę niespodziewanych lew.

Doktor Roberts nagle spowaźniał. Pochylił się ku detektywowi.

— Aaa — powiedział — teraz widzę, do czego pan zmierza. Proszę wybaczyć. Początkowo myślałem, że gada pan bzdury. Sądzi pan, że morderstwo mogło spowodować zdecydowaną różnicę w sposobie gry sprawcy?

Poirot skinął głową.

— Pojął mnie pan właściwie. Byłaby to znakomita wskazówka, gdybyście dobrze znali swój sposób gry. Zmiana, nagły brak błyskotliwości, stracona okazja — wszystko to zostałoby natychmiast zauważone. Na nieszczęście, byliście dla siebie obcy. Ale niech pan pomyśli, doktorze, błagam pana. Czy pamięta pan jakieś potknięcia, nagłe, rażące błędy w czyjejsz grze?

— Nic z tego — odparł po chwili doktor. — Nie potrafię panu pomóc. Po prostu nie pamiętam. Wszystko, co pamiętam, powiedziałem już wcześniej: pani Lorrimer gra znakomicie, nie zrobiła błędu, który bym zauważył. Była wspaniała od początku do końca. Również Despard cały czas grał dobrze, choć dosyć konwencjonalnie. To znaczy jego licytacja jest klasyczna. Nigdy nie odstępował od reguł. Nie podejmuje dużego ryzyka. Panna Meredith... — zawahał się.

— Tak? Co z panną Meredith? — ponaglił go Poirot.

— Raz czy dwa popełniła błąd pod koniec wieczoru, ale może po prostu była zmęczona. Nie ma też dużego doświadczenia w grze. Trzęsły się jej ręce...

Przerwał.

— Kiedy to było?

— Kiedy? Nie pamiętam... Myślę, że to tylko trema. Panie Poirot, przez pana zaczynam sobie wyobrażać różne rzeczy!

— Proszę o wybaczenie. Jest jeszcze inna sprawa, w której pragnę pańskiej pomocy.

— Tak?

— To nie jest łatwe — powiedział powoli Poirot. — Widzi pan, nie chciałbym pytaniem sugerować panu odpowiedzi. Gdybym spytał: „Czy zauważył pan to i to”, wiedziałby pan od razu, do czego zmierzam. Pańska odpowiedź nie miałaby takiej wartości. Spróbuję podejść do sprawy inaczej. Jeśli jest pan tak uprzejmy, proszę opisać mi zawartość pokoju, w którym graliście.

Robertsa najwyraźniej to zaskoczyło.

— Zawartość pokoju?

— Tak jest.

— Ależ człowieku, nie wiem, od czego zacząć!

— Niech pan zacznie, od czego pan chce.

— Cóż, było tam sporo mebli...

— *Non, non, non*, proszę być ścisłym, błagam pana.

Doktor Roberts westchnął.

Zaczął żartobliwie, tonem licytatora.

— Jedna duża sofa kryta brokatem w kolorze kości słoniowej, jedna sofa kryta zielonym brokatem, cztery lub pięć dużych foteli. Osiem — dziewięć perskich dywanów, komplet dwunastu małych, złożonych, empirowych krzesełek. Sekretarzyk w stylu Williama i Mary. (Czuję się zupełnie jak licytator.) Bardzo piękna chińska gabłota. Wielki fortepian. Były jeszcze inne meble, ale obawiam się, że nie zapamiętałem. Sześć świetnych, japońskich sztychów. Dwa chińskie obrazy na zwierciadle. Pięć albo sześć bardzo pięknych tabakierek. Parę sztuk starego srebra — tace z epoki Karola I, jak sądzę. Kilka japońskich figurek z kości słoniowej. Jedno czy dwa emaliowane naczynia z Battersea...

— Brawo, brawo! — entuzjazmował się Poirot.

— Parę typowych dla starej Anglii glinianych ptaszków i, jak mi się wydaje, figurka Ralpha Wooda. Trochę wschodnich drobiazgów: precyzyjna robota ze srebra. Trochę biżuterii, nie znam się na tym. Kilka ptaszków z Chelsea. Och, i parę miniatur w gablocie, bardzo ładnych. To nie wszystko, daleko do końca, ale to wszystko, o czym pamiętam w tej chwili.

— To wspaniale — powiedział Poirot z należytym uznaniem. — Jest pan bystrym obserwatorem.

— Czy wymieniłem przedmiot, który miał pan na myśli? — zapytał ciekawie doktor.

— Jeśli wymieniłby pan przedmiot, o którym myślałem — rzekł Poirot — zaskoczyłoby mnie to niezwykle. Jak się spodziewałem, nie wymienił go pan.

— Dlaczego?

Poirot mrugnął.

— Być może dlatego, że go tam nie było?

Roberts wytrzeszczył na niego oczy.

— Mam wrażenie, że to mi coś przypomina.

— Przypomina panu Sherlocka Holmesa, prawda? Ten dziwny incydent z psem w nocy. Pies nie szczekał. I to właśnie było dziwne! Nie waham się czasem skraść cudze chwyty.

— Wie pan, panie Poirot, jestem zupełnie zdezorientowany. Nie wiem, do czego pan dąży.

— To świetnie! Powiem panu w zaufaniu, że w ten właśnie sposób odnoszę swoje małe zwycięstwa.

Doktor wciąż wydawał się nic nie pojmować. Poirot wstał i rzekł z uśmiechem:

— Mogę panu powiedzieć przynajmniej jedno: że to, co pan powiedział, będzie bardzo przydatne w moim następnym wywiadzie.

Doktor podniósł się również.

— Nie potrafię pojąć w jaki sposób, ale wierzę panu na słowo.

Uścisnęli sobie ręce.

Poirot zszedł po schodach na ulicę i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

— Cheyne Lane 111, Chelsea — powiedział kierowcy.

ROZDZIAŁ XI

Pani Lorrimer

Cheyne Lane 111 był to mały, schludny i bardzo ładny domek stojący przy spokojnej uliczce. Drzwi miał pomalowane na czarno, schody pedantycznie wyczyszczone, mosiężna kołatka i klamka lśniły w popołudniowym słońcu.

Drzwi otworzyła niemłoda pokojówka w niepokalanie białym czepku i fartuszku.

Na pytanie Poirota odpowiedziała, że pani jest w domu.

— Jakie nazwisko mam podać? — spytała idąc przed nim wąskimi schodami w górę.

— Herkules Poirot.

Wprowadziła go do typowego salonu, w kształcie litery „L”. Poirot rozejrzał się wokół, notując w pamięci szczegóły. Niezłe meble, stare, ale świeżo wypolerowane. Krzesła i sofy obciągnięte błyszczącą satyną. Kilka fotografii w srebrnych ramkach, jak za czasów jego młodości. Dużo przestrzeni i światła i piękne chryzantemy ułożone w wysokim wazonie.

Pani Lorrimer wyszła na powitanie.

Podążyła Poirotowi rękę nie wykazując szczególnego zdziwienia z powodu wizyty. Wskazała mu krzesło, sama też usiadła i zrobiła uprzejmą uwagę o pogodzie.

Nastąpiła pauza.

— Mam nadzieję, *madame* — powiedział Poirot — że wybaczy mi pani to najście.

— Czy to oficjalna wizyta? — zapytała patrząc mu prosto w oczy.

— Przyznaję, że tak.

— Zapewne zdaje pan sobie sprawę, panie Poirot, że choć nadinspektorowi Battle'owi i policji udzielę wszelkich informacji i żądanej pomocy, nie jestem w żaden sposób zobowiązana zrobić tego samego dla pana.

— Jestem świadom tego, *madame*. Jeśli pokaże mi pani drzwi, pomaszeruję do nich w całkowitej pokorze.

Pani Lorrimer uśmiechnęła się leciutko.

— Nie chcę posunąć się do ostateczności. Mogę poświęcić panu dziesięć minut. Potem muszę wyjść na przyjęcie brydżowe.

— Dziesięć minut całkowicie mi wystarczy. Chcę, żeby opisała mi pani pokój, w którym tamtego wieczoru graliście w brydża. Pokój, w którym został zabity pan Shaitana.

Pani Lorrimer uniosła brwi.

— Co za niezwykle pytanie! Nie widzę w tym sensu.

— *Madame*, gdyby podczas gry w brydża ktoś zapytał panią, dlaczego zagrała pani asem albo czemu położyła pani waleta, który jest bity przez damę, a nie króla biorącego lewą, co by pani powiedziała? Na takie pytania odpowiedź byłaby długa i nużąca, prawda?

Pani Lorrimer uśmiechnęła się.

— Sens jest taki, że w tej grze pan jest ekspertem, a ja nowicjuską. Dobrze więc. — Zastanawiała się chwilę. — To był wielki pokój. Znajdowało się w nim sporo dobrych rzeczy.

— Może pani opisać niektóre z nich?

— Było kilka wazonów na kwiaty, współczesnych, bardzo pięknych... I chyba parę chińskich czy japońskich obrazów. I wazon z malutkimi, czerwonymi tulipanami. Jakaś wczesna odmiana, jeszcze nie pora na nie.

— Coś jeszcze?

— Obawiam się, że nie pamiętam żadnych szczegółów.

— A umeblowanie? Pamięta pani kolor obić?

— Chyba coś lśniącego. To wszystko, co potrafię powiedzieć.

— Nie pamięta pani żadnych małych przedmiotów?

— Niestety nie. Było tego tak dużo. Miałam wrażenie, że to pokój kolekcjonera.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Boję się, że niewiele panu pomogłam — powiedziała w końcu pani Lorrimer.

— Jest jeszcze coś, o co chciałem zapytać. — Pokazał jej zapisy brydżowe. — To są trzy pierwsze robry. Jestem ciekaw, czy mogłaby pani za pomocą tych zapisów zrekonstruować rozgrywkę.

— Zobaczmy. — Pani Lorrimer wydawała się zainteresowana. Nachyliła się nad kartkami.

— To był pierwszy rober. Panna Meredith i ja grałyśmy przeciw mężczyznom. Pierwsze rozdanie było w cztery piki. Zrobiliśmy to i jedną lewą więcej. Następna gra to były dwa karo i doktor Roberts leżał bez jednej. Pamiętam, że było dużo odzywek

w trzeciej licytacji. Panna Meredith pasowała. Major Despard głosił kiery. Ja pasowałam. Doktor Roberts przeskoczył na trzy trefle. Panna Meredith licytowała trzy piki. Major Despard — cztery karo. Ja kontrowałam. Doktor Roberts wszedł cztery kiery. Leżeli bez jednej.

— *Epatant* — powiedział Poirot. — Co za pamięć!

— W następnej grze — ciągnęła pani Lorrimer, nie zważając na wtręty — major Despard pasował, a ja głosiłam bez atu. Doktor Roberts licytował trzy kiery. Moja partnerka nic nie powiedziała. Major Despard podniósł odzywkę swego partnera do czterech. Ja kontrowałam i leżeli bez dwóch. Potem rozdawałam ja i doszliśmy do kontraktu cztery trefle. Wzięła następny zapis.

— Ten jest trudny — zauważył Poirot. — Major Despard upraszcza zapisy.

— Na początku chyba obie strony leżały za pięćdziesiąt, potem doktor Roberts doszedł do pięciu karo, my skontrowaliśmy i położyliśmy go bez trzech. Następnie zrobiliśmy trzy trefle, a za chwilę oni grali w piki. My zrobiliśmy pięć pików, potem leżeliśmy za sto. Tamci ugrali jedno kier, my dwa bez atu i ostatecznie wygramy robra licytując cztery trefle.

Podniosła następny zapis.

— To była prawdziwa wojna. Zaczęło się nudno. Major Despard i panna Meredith zrobili jedno kier. Potem my leżeliśmy dwa razy za pięćdziesiąt, próbując zrobić cztery kiery i cztery piki. Znowu tamci zagrali w piki — nie próbowaliśmy ich zatrzymać. My leżeliśmy trzy razy, usiłując wygrać, ale bez kontry. Z kolei wygramy w bez atu. Potem zaczęła się wspaniała walka. Każda ze stron kolejno leżała. Doktor Roberts licytował za wysoko, ale choć leżał fatalnie raz czy dwa, opłaciło się to, ponieważ kilka razy odstraszył pannę Meredith od licytacji. Więc głosił dwa trefle, odpowiedziałam trzy karo, on cztery bez atu, podniosłam na pięć pików, a wtedy on skoczył nagle na siedem karo. Oczywiście zostaliśmy skontrowani. On nie powinien był tak licytować. Cudem to wygramy. Nie myślałam, że uda się nam, kiedy zobaczyłam jego wyłożone karty. Jeśliby tamci wyszli w kiery, leżelibyśmy bez trzech. Ale wyszli królem treflowym. Rozgrywka była naprawdę bardzo ekscytująca.

— *Je crois bien.** Wielki szlem, po partii, z kontrą. To wywołuje emocje! Przyznaję, że nie mam nerwów do licytowania szlemów. Zadowolam się zwykłą grą.

— Och, nie powinien pan tego robić — oświadczyła energicznie pani Lorrimer.
— Musi się grać prawidłowo.

— Ma pani na myśli podejmowanie ryzyka?

— Nie istnieje ryzyko, jeżeli licytacja jest prawidłowa. Musi pani mieć matematyczną pewność. Niestety, niewielu ludzi dobrze licytuje. Pamiętają otwarcia, ale później tracą głowę. Nie potrafią odróżnić ręki z kartą wygrywającą, od takiej, która ma kartę

* *fr.* Wierzę.

nie przegrywającą — ale nie muszę dawać panu lekcji brydża ani uczyć liczenia punktów.

— Jestem pewien, że to wyszłoby na dobre mojej grze, *madame*.

— Ma pan czwarty zapis? Aa, tak. Zacięta walka. Żadna ze stron nie była w stanie zrobić zapisu na dole.

— To się zdarza często, kiedy wieczór się przeciąga. — Zaczyna się banalnie, a potem się rozkręca.

Poirot zebrał swoje kartki i skłonił się lekko.

— *Madame*, składam pani gratulacje. Pani pamięć do kart jest wspaniała, nieznównana! Można powiedzieć, że pamięta pani każdą zagraną kartę!

— Sądzę, że tak.

— Pamięć jest cudownym darem. Kiedy się ją posiada, przeszłość nigdy nie staje się czasem minionym. Jestem pewien, *madame*, że dla pani przeszłość nigdy nie odpływa, każde zdarzenie jest wyraźne, jakby to było wczoraj. Mam rację?

Rzuciła na niego szybkie spojrzenie. Herkules Poirot nie wątpił. Ten strzał trafił w dziesiątkę. Pani Lorrimer wstała.

— Niestety, będę musiała teraz wyjść. Przykro mi, ale nie mogę się spóźnić.

— Oczywiście, oczywiście. Przepraszam, że zabrałem pani czas.

— Żałuję, że nie mogłam panu więcej pomóc.

— Ależ pomogła mi pani.

— Trudno mi w to uwierzyć — powiedziała zdecydowanie.

— A jednak. Dowiedziałem się tego, o co mi chodziło.

Nie zapytała, co to było. Wyciągnął rękę.

— Dziękuję, *madame*, za wyrozumiałość.

— Jest pan niezwykłym człowiekiem, panie Poirot.

— Jestem taki, jakim mnie Bóg stworzył.

— Jak wszyscy.

— Nie wszyscy, *madame*. Niektórzy z nas próbują Go poprawiać. Na przykład pan Shaitana.

— W jaki sposób?

— Miał bardzo dobry smak, jeśli chodziło o dzieła sztuki i starocie, i powinien się tym zadowolić. Zamiast tego kolekcjonował inne rzeczy.

— Jakie rzeczy?

— Nazwijmy to... — sensacje?

— A pan uważa, że to nie leżało *dans son caractère*?*

Poirot poważnie skinął głową.

* *fr.* W jego naturze.

— Zbyt dobrze grał rolę diabła. Nie był diabłem. *Au fond**, był głupim człowiekiem.
I tak — umarł.

— Z powodu głupoty?

— To grzech niewybaczalny, który zawsze zostaje ukarany.

Po chwili ciszy Poirot powiedział:

— Już idę. Tysiącne dzięki za pani uprzejmość, *madame*. Nie przyjdę więcej, chyba że pani mnie wezwie.

Uniosła brwi.

— Ależ panie Poirot, dlaczego miałabym pana wzywać?

— Może się zdarzyć. Jeżeli mnie pani wezwie, przyjdę. Proszę pamiętać.

Skłonił się jeszcze raz i opuścił pokój.

Na ulicy powiedział do siebie:

— Mam rację... Jestem pewien, że mam rację... To musi tak być!

* *fr.* W gruncie rzeczy.

ROZDZIAŁ XII

Anna Meredith

Pani Oliver z pewną trudnością wygramoliła się z fotela swojego małego samochodu. Nie wiadomo dlaczego projektanci nowoczesnych samochodów zakładają, że pod kierownicą znajdują się zawsze szczupłe, zgrabne nóżki sylfidy. I do tego jeszcze ta moda na niskie siedzenia! Wskutek tego kobieta w średnim wieku, mocnej budowy, aby wstać z siedzenia kierowcy, zmuszona jest do nadludzkich wysiłków. Na siedzeniu obok kierowcy spoczywały mapy, torebka, książki i duża torba jabłek. Pani Oliver była wielką amatorką jabłek. Podczas pracy nad zawiłą intrygą *Śmierci w rurze odpływowej* zjadła jednym ciągiem pięć funtów tych owoców i oprzytomniała z przerażeniem i bólem brzucha dopiero w godzinę i dziesięć minut po rozpoczęciu ważnego obiadu, wydanego na jej cześć.

Popchnąwszy stanowczo i gwałtownie kolanem stawiające opór drzwi, pani Oliver pojawiła się nieco zbyt raptownie na chodniku przed „Wendon Cottage”, rozsiewając wkoło obficie ogryzki jabłek.

Westchnęła głęboko, odsunęła z czoła kapelusz ustawiając go pod dziwnym kątem, rzuciła okiem z aprobatą na tweedowy kostium, który włożyła specjalnie na tę okazję, zmarszczyła z niezadowoleniem brwi na widok lakierków na wysokich obcasach, nie zmienionych z powodu roztargnienia, i otworzywszy bramę poszła wybrukowaną ścieżką ku frontowym drzwiom. Zadzwoiła i zastukała oryginalną kołatką w kształcie głowy ropuchy.

Kiedy nie było odpowiedzi, zastukała jeszcze raz.

Po małej chwili pani Oliver ruszyła rażno wokół domu w podróż odkrywczą.

Za domem znajdował się mały, staroświecki ogródek z marcinkami i chryzantemami, a za nim pole. Dalej była rzeka. Jak na październik, słońce mocno grzało.

Przez pole w kierunku domu szły dwie dziewczyny. Kiedy znalazły się w ogrodzie, jedna z nich stanęła jak wryta.

Pani Oliver zbliżyła się do niej.

— Jak się pani ma, panno Meredith? — powiedziała. — Przypomina mnie pani sobie, prawda?

— Och, naturalnie. — Anna Meredith wyciągnęła pośpiesznie rękę. Ze strachu rozszerzyły się jej źrenice. Opanowała się dopiero po chwili.

— To moja przyjaciółka, która mieszka ze mną, panna Dawes. Rhoda, to jest pani Oliver.

Rhoda była wysoka, ciemna i energiczna.

— To pani jest panią Oliver? Ariadną Oliver? — spytała podniecona.

— Tak — odparła pisarka i dodała zwracając się do Anny: — Teraz, moja droga, usiądźmy gdzieś, ponieważ mam pani wiele do opowiedzenia.

— Oczywiście. I napijemy się herbaty...

— Herbata może poczekać — zdecydowała pani Oliver.

Anna poprowadziła pisarkę na taras, gdzie stały leżaki i wiklinowe krzesła, wszystkie dosyć zdezelowane. Pani Oliver, nauczona doświadczeniem, starannie wybrała najsolidniej wyglądające krzesło.

— A teraz, moja droga, powiedziała wesoło — pomówmy bez ogródek o morderstwie. Musimy same coś z tym zrobić.

— My mamy coś zrobić? — zapytała Anna.

— Oczywiście — odparła pani Oliver. — Nie wiem, jak pani, ale ja nie mam najmniejszej wątpliwości co do sprawcy. To ten doktor! Jak on się nazywa? Roberts. No właśnie! Roberts. Walijskie nazwisko! Miałam walijską niańkę, która kiedyś zabrała mnie do Harrogate i wróciła do domu zupełnie o mnie zapominając. Bardzo niesolidna. Ale mniejsza z nią. Roberts to zrobił — w tym cała rzecz. Musimy połączyć nasze wysiłki i udowodnić mu winę.

Rhoda Dawes roześmiała się nagle i zaczerwieniła.

— Przepraszam. Ale pani... jest pani zupełnie inna, niż sobie wyobrażałam.

— Pewnie się pani rozczarowała — powiedziała pani Oliver pogodnie. — Przywykłam do tego. Nieważne! Musimy dowieść, że Roberts popełnił zbrodnię!

— W jaki sposób? — spytała Anna.

— Och, nie bądź taką defetystką! — zawołała Rhoda Dawes.

— Uważam, że pani Oliver jest wspaniała. Zna się na tym. Zrobi to tak jak Sven Hjerson.

Czerwiniąc się lekko na wzmiankę o swoim słynnym fińskim detektywie, pani Oliver powiedziała:

— Trzeba to zrobić i powiem ci dlaczego, moje dziecko. Nie chcesz, żeby ludzie my-

śleli, że to ty?

— Dlaczego mieliby tak myśleć? — spytała Anna, a jej twarz pokryła się rumieńcem.

— Wiesz, jacy są ludzie! — odparła pani Oliver.

— Trzy niewinne osoby będą podejrzane na równi z mordercą.

— Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego przychodzi pani właśnie do mnie?

— Ponieważ, według mojej opinii, dla pozostałych dwojga to nie ma znaczenia. Pani Lorrimer należy do kobiet, które cały dzień grają w brydża w klubach. Takie kobiety muszą być opancerzone i bardzo dobrze potrafią o siebie zadbać. A poza tym jest stara. Nie ma większego znaczenia, czy będzie się ją podejrzewać. Co innego dziewczyna. Przed nią jest całe życie.

— A major Despard?

— Phi! To mężczyzna! Nigdy nie troszczyłam się o mężczyzn. Sami potrafią zadbać o siebie. I uważam, że robią to nadzwyczaj dobrze. Ponadto major Despard lubi niebezpieczne życie. Ma je teraz na miejscu, nie musi jechać nad Irrawaddy... a może chciałam powiedzieć Limpopo? Wiesz, co mam na myśli — tę żółtą rzekę afrykańską, którą mężczyźni tak bardzo lubią. Nie, nie zawracałabym sobie głowy żadnym z tych dwojga.

— Jest pani bardzo dla mnie miła — rzekła wolno Anna.

— To morderstwo zupełnie załamało Annę. Jest ogromnie wrażliwa — powiedziała Rhoda. — Myślę, że ma pani stuprocentową rację. Zawsze lepiej coś zrobić, niż siedzieć myśląc o całej sprawie.

— Jasne, że lepiej — potwierdziła pani Oliver. — Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie spotkałam się z prawdziwym morderstwem. I nie sądzę, aby autentyczne morderstwo mnie interesowało. Jestem przyzwyczajona grać fałszywymi kośćmi... rozumiecie, co mam na myśli. Nie zamierzam jednak dać się wyłączyć z tej gry i pozostawić całą zabawę trzem panom. Zawsze twierdziłam, że gdyby kobieta stała na czele Scotland Yardu...

— Tak? — spytała Rhoda pochylając się naprzód z otwartymi ustami. — Jeżeli pani byłaby szefem Scotland Yardu, to co by pani zrobiła?

— Natychmiast aresztowałabym doktora Robertsa...

— Tak?

— Jednak nie jestem głową Scotland Yardu — powiedziała pani Oliver, wycofując się z niebezpiecznego gruntu. — Jestem osobą prywatną...

— Ależ nie tylko! — zawołała Rhoda, pochlebając jej z zażenowaniem.

— Tak więc my — ciągnęła pani Oliver — trzy prywatne osoby, same kobiety, przekonamy się, ile potrafimy zdziałać, jednocząc swoje wysiłki.

Anna Meredith skinęła głową w zamyśleniu.

— Dlaczego sądzi pani, że Roberts zabił pana Shaitanę?

— Jest odpowiednim człowiekiem — odpowiedziała pani Oliver natychmiast.

— Czy nie myśli pani jednak... — Anna zawahała się. — Może lekarz mógłby... Mam na myśli, że łatwiej byłoby mu podać truciznę.

— Wcale nie. Trucizna, wszelkie leki, wskazują wprost na lekarza. Popatrz, jak oni zostawiają pudełka niebezpiecznych leków w samochodach w całym Londynie i dopuszczają, aby je skradziono. Właśnie dlatego, że jest lekarzem, zatroszczył się, żeby nie było to nic związanego z medycyną.

— Rozumiem — powiedziała Anna z powątpiewaniem. — Ale jak pani myśli, dlaczego chciał zabić pana Shaitanę? Ma pani jakiś pomysł?

— Pomysł? Mam mnóstwo pomysłów. W tym cała trudność. Nigdy nie potrafię wymyślić jednej fabuły na raz. Zawsze mam przynajmniej pięć i wybór między nimi jest męczarnią. Potrafię wyobrazić sobie co najmniej sześć wspaniałych powodów morderstwa. Kłopot polega na tym, że nie mam najmniejszego pojęcia, który jest właściwy. Może Shaitana był lichwiarzem? Wyglądał ślisko. Roberts był w jego szponach i zabił go, ponieważ nie mógł zdobyć pieniędzy na zwrot pożyczki. Albo może Shaitana uwiódł jego siostrę lub córkę. A może Roberts był bigamistą i Shaitana o tym wiedział. Możliwe też, że Roberts poślubił kuzynkę Shaitany i dzięki niej odziedziczył całe pieniądze Shaitany. Albo... Ile już było?

— Cztery — odparła Rhoda.

— Albo — to naprawdę dobry pomysł — przypuśćmy, że Shaitana znał jakąś tajemnicę z przeszłości Roberta. Być może nie zwróciłaś uwagi, moja droga, ale Shaitana powiedział coś dosyć szczególnego podczas obiadu, tuż przed taką niezręczną ciszą.

Anna schyliła się, aby połaskotać gąsienicę. — Chyba nie pamiętam.

— Co on powiedział? — spytała Rhoda.

— Coś... co to było?... O wypadku i truciznie. Nie przypominasz sobie?

Anna zacisnęła lewą rękę na oparciu wiklinowego krzesła.

— Przypominam sobie coś w tym rodzaju — powiedziała spokojnie.

— Kochanie — wtrąciła Rhoda — powinnaś włożyć żakiet. To już nie jest lato. Idź i się ubierz.

Anna potrząsnęła głową.

— Jest mi ciepło.

Jednak kiedy mówiła to, lekko zadrżała.

— Oto moja teoria — ciągnęła pani Oliver. — Umiera jakiś pacjent i orzekają przypadkowe otrucie się; w rzeczywistości była to robota doktora. Śmiem twierdzić, że w ten sposób zamordował on wielu ludzi.

Na policzkach Anny pojawił się nagły rumieniec.

— Czy wszyscy lekarze mordują masowo swoich pacjentów? Wydaje mi się, że mia-

łoby to godny pożałowania efekt, jeśli chodzi o ich praktykę.

— Rzecz jasna, musiałyby istnieć powód — odparła niejasno pani Oliver.

— Sądzę, że pomysł jest absurdalny — rzekła szorstko Anna. — Melodramatyczny.

— Ależ Anno! — skarciła ją Rhoda i spojrzała przepaszająco na panią Oliver.
„Spróbuj zrozumieć. Spróbuj zrozumieć” — mówił jej wzrok skruszonego spaniela.

— Myślę, że to wspaniały pomysł — powiedziała poważnie. — A lekarz mógłby zdobyć coś, co nie zostawia śladów, prawda?

— Och! — zawołała Anna.

Obydwie kobiety spojrzały na nią pytająco.

— Przypomniało mi się jeszcze coś. Pan Shaitana wspominał, że lekarze mają dużo okazji w laboratorium. Musiał mieć coś na myśli.

— To nie Shaitana mówił o tym — zaprzeczyła pani Oliver — lecz major Despard.

W tym momencie usłyszała odgłos kroków na ścieżce i odwróciła głowę.

— No, no! — wykrzyknęła. — O wilku mowa!

Zza rogu domu wyszedł właśnie major Despard.

ROZDZIAŁ XIII

Drugi gość

Na widok pani Oliver major Despard trochę się zmieszał. Pod opalenizną jego twarz przybrała kolor ciemnoczerwony. Był tak zakłopotany, że zachowywał się nieco szorstko.

— Proszę wybaczyć, panno Meredith — powiedział. — Dzwoniłem do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Właśnie tędy przejeżdżałem i pomyślałem, że mógłbym wpaść do pani.

— Przykro mi, że nikt nie otworzył panu drzwi — odparła Anna. — Nie mamy służącej, a kobieta do cięższych prac przychodzi tylko rano.

Przedstawiła Despada Rhodzie.

— Napijmy się herbaty — zaproponowała wesoło Rhoda. — I lepiej wejdźmy, bo robi się chłodno.

Poszli do domu. Gdy Rhoda znikła w kuchni, pani Oliver zauważyła:

— Co za zbieg okoliczności, to nasze spotkanie.

— Ma pani rację — powiedział wolno Despard, przyglądając się uważnie, oceniająco pisarce.

— Mówiłam pannie Meredith — ciągnęła pani Oliver, którą ta sytuacja niezłe bawiła — że powinnyśmy ułożyć plan kampanii wykrycia mordercy. Jestem pewna, że zrobił to doktor. Zgadza się pan ze mną?

— Nie wiem. Nie mam praktyki w tych sprawach.

Z miny pani Oliver można było wyczytać: „prawdziwy mężczyzna!”

Cała trójka poczuła się nagle skrępowana. Literatka wyczuła to szybko, więc kiedy Rhoda przyniosła herbatę, wstała i oświadczyła, że musi wracać do miasta. Dziękuje bardzo, ale nie może wypić herbaty.

— Zostawię wizytówkę — dodała. — Jest na niej adres. Przyjdźcie do mnie, jak będziecie w mieście. Na pewno wpadniemy na jakiś pomysł i dotrzemy do sedna sprawy.

— Odprowadzę panią do furtki — zaproponowała Rhoda.

Kiedy szły ścieżką, Anna Meredith wybiegła z domu i dogoniła je.

— Przemyślałam całą sprawę — powiedziała.

Jej blada twarz wyglądała niezwykle zdecydowanie.

— Tak, kochanie?

— To niezwykle miłe z pani strony, że zadaje sobie pani tyle kłopotu. Ale ja naprawdę nie chciałabym nic robić. Uważam, że to było okropne. Chcę o wszystkim zapomnieć.

— Drogie dziecko, pytanie tylko, czy inni pozwolą ci o tym zapomnieć?

— Zdaję sobie sprawę, że policja nie zostawi sprawy odłogiem. Pewnie przyjadą i znowu będą zadawali mi pytania. Jestem na to przygotowana. Ale nie chcę myśleć o tym, kiedy nie muszę, ani nie chcę, aby mi w jakikolwiek sposób o tym przypominało. Pewnie jestem tchórzem, lecz tak właśnie uważam.

— Och, Anno! — zmitygowała ją Rhoda.

— Rozumiem co czujesz, jednak nie jestem pewna, że to mądre — powiedziała pani Oliver. — Jeśli zostawi się tę sprawę policji, prawdopodobnie nigdy prawda nie wyjdzie na jaw.

Anna Meredith wzruszyła ramionami.

— Czy to naprawdę ważne?

— Ważne? — krzyknęła Rhoda. — Jasne, że to ważne. Prawda, pani Oliver?

— Oczywiście, że tak — odparła sucho pani Oliver.

— Nie zgadzam się — upierała się Anna. — Nikt, kto mnie zna, nie pomyśli, że to zrobiłam. Nie widzę powodu do wtrącania się. Odkrycie prawdy jest sprawą policji.

— Och, Anno, zupełnie nie masz woli walki! — zawołała Rhoda.

— Cóż, tak właśnie uważam — powtórzyła Anna podając rękę gościowi. — Dziękuję pani bardzo, pani Oliver. To bardzo uprzejmie, że się pani tak przejmuje.

— Oczywiście, jeśli pani tak to czuje, nie mam nic więcej do powiedzenia — odparła pogodnie pani Oliver. — Ja w każdym razie nie będę tracić czasu. Do widzenia, moja droga. Wpadnij do mnie w Londynie, jeśli zmienisz zdanie.

Wsunęła się do samochodu, włączyła silnik i odjechała, machając dziewczętom wesoło ręką.

Rhoda nagle popędziła za autem i wskoczyła na stopień. Pani Oliver zaczęła ostro hamować.

— To co pani mówiła o odwiedzeniu pani w Londynie — powiedziała zadyszana — dotyczy tylko Anny, czy także mnie?

— Rzecz jasna, myślałam o was obu.

— Och, dziękuję. Proszę się nie zatrzymywać. Ja... może mogłabym przyjść któregoś dnia. Jest coś... Nie, proszę się nie zatrzymywać. Potrafię zeskoczyć.

Podbiegła do furtki, przy której stała Anna.

— Co, na Boga...

— Prawda, że jest słodka? — zapytała Rhoda entuzjastycznie. — Lubię ją. Miała dziwne pończochy, zauważyłaś? Jestem pewna, że to okropnie mądra kobieta. Musi być mądra, skoro napisała te wszystkie książki. Co to byłoby za frajda, gdyby ona odkryła prawdę, a nie policja!

— Po co ona tu przyjechała? — spytała Anna.

Rhoda otworzyła szeroko oczy.

— Przecież ci powiedziała, kochanie...

Anna niecierpliwie machnęła ręką.

— Musimy wracać. Zapomniałam, że zostawiłam go samego.

— Majora Desparda? Anno, on jest okropnie przystojny, prawda?

— Chyba tak.

Major Despard stał przy kominku z filiżanką w ręce.

Anna zaczęła go przeproszać, ale uciął jej krótko.

— Panno Meredith, chcę wyjaśnić, dlaczego wtrąciłem się w taki sposób.

— Och... ależ...

— Powiedziałem, że przejeżdżałem przypadkowo, ale to nie jest prawda. Przybyłem tu umyślnie.

— Jak dowiedział się pan adresu? — spytała Anna.

— Dostałem go od nadinspektora Battle'a.

Zauważył, że wzdrygnęła się lekko na dźwięk tego nazwiska.

Szybko dodał:

— Battle jest w drodze do pani. Natknąłem się na niego na dworcu Paddington. Wziąłem więc samochód i przyjechałem tu. Wiedziałem, że łatwo wyprzedzę pociąg.

— Ale dlaczego?

Despard wahał się chwilę.

— Może będę zbyt śmiały, ale miałem wrażenie, że jest pani, jak to się mówi, sama na świecie.

— Ma mnie — wtrąciła Rhoda.

Despard rzucił szybkie spojrzenie na zgrabną dziewczynę o nieco chłopięcej figurze, opierającą się o kominek i słuchającą uważnie jego słów.

— Jestem pewien, że nie mogłaby mieć bardziej oddanej przyjaciółki niż pani, panno Dawes — powiedział uprzejmie — ale przyszło mi na myśl, że w tych szczególnych okolicznościach, rada kogoś, kto ma odrobinę wiedzy o życiu, byłaby nie od rzeczy. Panna Meredith jest podejrzana o popełnienie morderstwa. To samo dotyczy mnie

i pozostałych dwóch osób, które znajdowały się wówczas w pokoju. Taka sytuacja nie jest miła i niesie z sobą trudności i niebezpieczeństwa, których ktoś tak młody i niedoświadczony jak pani może nie dostrzec. Moim zdaniem, powinna się pani oddać w ręce bardzo dobrego prawnika. A może już to pani zrobiła?

Anna potrząsnęła głową.

— Nigdy o tym nie myślałam.

— Tak właśnie podejrzewałem. Ma pani kogoś dobrego z tej branży, najlepiej w Londynie?

Anna znowu zaprzeczyła.

— Nigdy nie potrzebowałam prawnika.

— Jest pan Bury — wtrąciła Rhoda — ale ma ze sto lat i zupełnie zramolał.

— Jeżeli można pani doradzać, poleciłbym pani pana Myherne, mojego adwokata. Firma nazywa się Jacobs, Peel & Jacobs. To fachowcy pierwszej klasy i znają wszystkie kruczki.

Anna zbladła.

— Czy to naprawdę konieczne? — zapytała cicho.

— Jestem o tym przekonany. Inaczej może pani łatwo wpaść w jakąś prawną pułapkę.

— Czy to będzie dużo kosztowało?

— To nie ma najmniejszego znaczenia — wmieszała się Rhoda. — Zastosujemy się do pańskiej rady, majorze. Jestem pewna, że ma pan rację. Anna potrzebuje ochrony.

— Koszty będą, jak myślę, umiarkowane i naprawdę sędzę, że tak powinna pani zrobić — dodał poważnie Despard.

— Dobrze. Zrobię to, jeśli pan tak uważa.

— Doskonale.

— To strasznie miłe z pana strony — rzekła Rhoda. — Naprawdę okropnie miłe.

— Dziękuję — dodała Anna. Zawahała się i spytała: — Mówił pan, że nadinspektor Battle wybiera się tutaj?

— Tak. Niech się pani tym nie denerwuje. Każdego z nas to czeka.

— Wiem. Właściwie spodziewałam się, że przyjedzie.

— Biedactwo — rzuciła impulsywnie Rhoda — ta historia ją wykańcza. Taki wstyd, taka niesprawiedliwość...

— Zgadzam się — odparł Despard. — To paskudna sprawa, nie powinno się w to wplątywać młodej dziewczyny. Jeżeli ktoś chciał dźgnąć nożem Shaitanę, powinien inaczej wybrać czas i miejsce.

— Jak pan myśli, kto to zrobił? — spytała szczerze Rhoda. — Doktor Roberts czy pani Lorrimer?

Na wargi majora wpłynął słaby uśmiech.

— Skąd pani wie, że nie ja? — spytał.

— O nie! Anna i ja wiemy, że to nie pan.

Despard z sympatią spojrział na dziewczyny.

Miłe dzieciaki. Wzruszająco pełne ufności i nadziei. Panna Meredith to bojaźliwe stworzenie. Myherne na pewno jej pomoże. Tamta druga za to potrafi walczyć. Pomyślał, że na miejscu przyjaciółki nie załamałaby się. Przyjemne dziewczęta. Chciałby wiedzieć o nich coś więcej, pomyślał.

Głośno rzekł:

— Proszę niczego nie zakładać z góry, panno Dawes. Nie przywiązuję takiej wartości do ludzkiego życia jak inni. Weźmy na przykład całą tę histeryczną wrzawę na temat śmiertelnych wypadków drogowych. Człowiek jest zawsze zagrożony — przez ruch drogowy, bakterie, tysiąc różnych rzeczy. W każdej chwili może zginąć. Uważam, że jeżeli ktoś za motto ma „przede wszystkim bezpieczeństwo”, to ma tyle z życia, że równie dobrze może od razu położyć się do trumny.

— Zgadzam się z panem! — zawołała Rhoda. — Uważam, że powinno się stawiać czoła niebezpieczeństwu, jeśli się ma taką szansę. Jednak na ogół życie jest strasznie nudne.

— Są też ciekawe momenty.

— Tak, dla pana. Pan jedzie sobie daleko, walczy z tygrysami, poluje na różne zwierzęta, pchły piaskowe wbijają się panu w palce, tną owady i wszystko jest ogromnie nieprzyjemne, ale i pasjonujące.

— Cóż, panna Meredith również miała dreszcz emocji. Myślę, że nieczęsto zdarza się być w pokoju, podczas gdy ktoś popełnia morderstwo.

— Och, nie! — krzyknęła Anna.

— Przepraszam — powiedział szybko.

— Pewnie, że to było okropne — ciągnęła wzdychając Rhoda — ale także ekscytujące! Anna chyba tego nie docenia. Wie pan, myślę, że pani Oliver jest w głębi duszy zachwycona tym wszystkim.

— Pani...? Aaa, wasza tęga przyjaciółka, która pisze książki o tym Finie, z nazwiskiem nie do wymówienia. Próbuje śledztwa na własną rękę?

— Tak jest!

— Życzymy jej szczęścia. Byłoby zabawne, gdyby prześcignęła Battle'a i spółkę.

— Jaki jest ten nadinspektor Battle? — zapytała Rhoda ciekawie.

— To niezwykle przebiegły człowiek — odparł poważnie Despard. — Nadzwyczaj zdolny.

— Anna mówiła, że wyglądał dosyć głupio.

— To, jak się domyślam, jest celowy efekt. Nie możemy jednak dać się nabrać. Battle nie jest durniem.

Wstał.

— No, muszę iść. Chciałbym jeszcze jedno powiedzieć.

Anna wstała również.

— Tak? — spytała wyciągając rękę.

Despard ujął jej rękę i chwilę milczał. Patrzył prosto w szeroko otwarte, piękne, szare oczy. W końcu rzekł, starannie dobierając słowa:

— Chcę powiedzieć, że to zupełnie ludzka sprawa, że może nie chce pani ujawniać pewnych stron pani znajomości z Shaitana. Jeśli tak jest — proszę się nie gniewać — ma pani wszelkie prawa, aby odmówić odpowiedzi na pytania nadinspektora Battle'a, dopóki nie przybędzie pani adwokat.

Anna wyrwała rękę. Jej oczy pociemniały z gniewu.

— Nie istnieje nic, absolutnie nic... Ledwie znałam tego wstrętnego człowieka.

— Przepraszam — powiedział Despard. — Pomyślałem, że powinienem o tym wspomnieć.

— To prawda — wtrąciła Rhoda. — Anna zaledwie go znała. Nie lubiła go zbyt, ale wydawał takie znakomite przyjęcia.

— I to — zauważył major Despard bezlitośnie — wydaje się jedynym usprawiedliwieniem egzystencji zmarłego pana Shaitany.

— Nadinspektor Battle może mnie pytać, o co chce. Nie mam niczego do ukrycia.

— Proszę mi wybaczyć — powtórzył łagodnie.

Spojrzała na niego. Gniew znikł. Uśmiechnęła się bardzo słodko.

— A więc w porządku. Wiem, że mówił pan życzliwie.

Podali sobie ręce.

— Widzi pani, jedziemy na tym samym wózku. Powinniśmy być przyjaciółmi...

Anna odprowadziła go do furtki. Kiedy wróciła, Rhoda wyglądała oknem, gwizdząc. Odwróciła się, kiedy przyjaciółka weszła do pokoju.

— Szalenie przystojny mężczyzna.

— Jest miły, prawda?

— Znacznie więcej niż miły... Uwielbiam go. Dlaczego nie byłam na tym przeklętym obiedzie zamiast ciebie? Miałabym teraz emocje... czułabym oplatającą mnie sieć... cień szafotu...

— Mówisz głupstwa, Rhodo — przerwała jej ostro Anna. Potem jej głos złagodniał.

— To bardzo sympatyczne z jego strony przyjść do obcej dziewczyny, którą spotkał tylko raz.

— Zakochał się w tobie. To się rzuca w oczy. Mężczyźni nie bywają bezinteresownie uprzejmi. Nie zrobiliby trzech kroków, gdybyś była zezowata i miała pryszczę.

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak, głuptyś. Pani Oliver jest znacznie bardziej bezinteresowna.

— Nie lubię jej — rzuciła gwałtownie Anna. — Mam wrażenie, że... Ciekawa jestem, po co naprawdę tu przyszła?

— Zwykła nieufność do osób tej samej płci. Uważam, że to major Despard miał interes w przyjsciu tutaj.

— Jestem pewna, że nie — zawołała Anna gorąco.

I zaczerwieniła się, słysząc śmiech Rhody.

ROZDZIAŁ XIV

Trzeci gość

Nadinspektor Battle przyjechał do Wallingford około szóstej. Przed przesłuchaniem Anny Meredith miał zamiar posłuchać ile się da miejscowych plotek.

Zebranie takich informacji nie było trudną rzeczą. Nadinspektor nawiązał kontakt z kilkoma mieszkańcami wioski, czyniąc niejasne aluzje do swego zawodu i miejsca pracy.

Przynajmniej dwie osoby przysięgłyby, że rozmawiały z budowniczym z Londynu, który przyjechał zająć się dobudowaniem nowego skrzydła do domu, od innej można by było dowiedzieć się, że to jeden z tych weekendowiczów, szukających umeblowanego domku, jeszcze inne twierdziłyby stanowczo, że Battle był reprezentantem firmy budującej korty tenisowe o twardej nawierzchni.

Nadinspektor nie dowiedział się niczego na niekorzyść interesującej go osoby.

— „Wendon Cottage”? Tak, ma pan rację... przy Marlbury Road. Na pewno pan założył. Tak, dwie młode panie. Panna Dawes i panna Meredith. Bardzo miłe panienki. Takie spokojne. Mieszkają od lat? Nie, tak długo nie. Tylko ponad dwa lata. Przybyły tu jakoś we wrześniu. Kupiły dom od pana Pickersgilla. Nie mieszkał tu po śmierci żony.

Informator nadinspektora nigdy nie słyszał, jakoby przyjechały z Northumberland. Wydawało mu się, że raczej z Londynu. Lubiano je w sąsiedztwie, choć niektórzy starsi ludzie uważali, że dwie młode panienki nie powinny mieszkać same. Ale były bardzo spokojne. Nie z tych, co to robią przyjęcia koktajlowe w weekend. Panna Rhoda była energiczna, a panna Meredith — spokojna. Tak, panna Dawes płaciła rachunki. To ona miała pieniądze.

Poszukiwania nadinspektora doprowadziły go wreszcie do pani Astwell, która „robiła” u panienek z „Wendon Cottage”.

Pani Astwell była rozmowną damą.

— Ależ nie, sir. Nie przypuszczam, żeby chciały sprzedać. Nie tak prędko. Dopiero dwa lata, jak się wprowadziły. Robię u nich od początku. Od ósmej do dwunastej — to moje godziny. Bardzo miłe, wesołe panienki, zawsze gotowe do zabawy i żartów. Wcale nie zadzierają nosa.

No, nie wiem, czy to jest ta sama panna Dawes, którą pan znał, sir, to znaczy, czy to ta sama rodzina. Mnie wydaje się, że pochodzi z Devonshire. Przysyłają jej od czasu do czasu śmietankę, a ona mówi, że to przypomina jej dom, zatem musi być stamtąd.

Jak pan powiada, sir, to smutne, że wiele młodych pań musi w dzisiejszych czasach zarabiać na życie. Te panienki nie są jak to się mówi bogate, ale żyją przyjemnie. Oczywiście to panna Dawes ma pieniądze. Panna Anna jest, jak by to powiedzieć, jej towarzyszką. Domek należy do panny Dawes.

Naprawdę nie wiem, skąd pochodzi panienka Anna. Słyszałam, że wspominała Isle of Wight, wiem też, że nie lubi północy kraju i że była z panną Rhodą w Devonshire, bo słyszałam jak żartowały o wzgórzach i rozmawiały o łagodnych plażach i zatoczkach.

Z ust pani Astwell płynął strumień wymowy. Co jakiś czas nadinspektor Battle robił w pamięci notatkę, którą zapisał później w notesiku.

O pół do dziewiątej wieczorem stanął przed drzwiami „Wendon Cottage”.

Otworzyła mu wysoka, ciemnowłosa dziewczyna, ubrana w pomarańczową, kretonową sukienkę.

— Czy tu mieszka panna Meredith? — spytał nadinspektor. Miał bardzo sztywny, żołnierski wygląd.

— Tak.

— Chciałbym się z nią zobaczyć, jeśli można. Nadinspektor Battle.

Kobieta obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

— Proszę wejść — powiedziała cofając się.

Anna Meredith siedziała w wygodnym fotelu przy kominku, popijając kawę. Nosila haftowaną jedwabną piżamę.

— Nadinspektor Battle — rzekła Rhoda, wprowadzając gościa.

Anna wstała i podeszła z wyciągniętą ręką.

— Trochę późno na wizytę — usprawiedliwił się Battle — ale chciałem zastać panią, a był taki ładny dzień.

Anna uśmiechnęła się.

— Napije się pan kawy? Rhoda, przynieś jeszcze jedną filiżankę.

— To bardzo miło z pani strony, panno Meredith.

— Robimy naprawdę dobrą kawę — powiedziała Anna.

Wskazała fotel i nadinspektor usiadł. Rhoda przyniosła filiżankę, Anna nalała kawy. Nadinspektor napawał się ogniem trzaskającym w kominku i pięknymi kwiatami

w wazonach.

Była przyjemna, domowa atmosfera. Anna wyglądała na opanowaną i spokojną. Rhoda pożerała go wzrokiem.

— Czekaliśmy na pana — rzekła Anna.

Zabrzmiało to, jakby robiła mu wyrzuty, że ją zaniedbał.

— Proszę wybaczyć, panno Meredith. Miałem masę rutynowej roboty.

— Udało się panu osiągnąć jakieś wyniki?

— Nie bardzo. Jednak to wszystko trzeba zrobić. Przemaglowałem doktora Roberta, że tak powiem. Podobnie panią Lorrimer. A teraz przyjechałem zrobić to samo z panią.

— Jestem gotowa — uśmiechnęła się Anna.

— A co z majorem Despardem? — zapytała Rhoda.

— O, nie przeoczmy go. Obiecuję pani.

Odstawił filiżankę i popatrzył na Annę, która wyprostowała się w swoim fotelu.

— Jestem zupełnie gotowa. Co chce pan wiedzieć?

— Cóż, z grubsza wszystko o pani.

— Jestem całkiem szacowną osobą — powiedziała śmiejąc się Anna.

— Prowadzi nienaganne życie — dodała Rhoda. — Mogę za to ręczyć.

— To świetnie — powiedział Battle dobrotliwie. — Zatem zna pani pannę Meredith od dawna?

— Chodziłyśmy razem do szkoły — odparła Rhoda. — Wydaje się, że od tamtego czasu minęły wieki, prawda Anno?

— Zapewne było to tak dawno, że panie ledwie pamiętają — rzekł Battle z uśmiechem. — A teraz, panno Meredith, będę zadawał niestety pytania jak z formularzy paszportowych.

— Urodziłam się... — zaczęła Anna.

— Z rodziców biednych, ale uczciwych — wtrąciła Rhoda.

Nadinspektor podniósł rękę z lekką dezaprobatą.

— No, no, młoda damo — powiedział.

— Rhoda, kochanie — rzekła Anna — to są poważne sprawy.

— Przepraszam.

— Wiec, panno Meredith, urodziła się pani... gdzie?

— W Quetta, w Indiach.

— Ach, tak. Rodzina wojskowa?

— Tak. Moim ojcem był major John Meredith. Matka zmarła, gdy miałam jedenaście lat. Ojciec przeszedł na emeryturę, kiedy miałam piętnaście lat, i osiedliliśmy się w Cheltenham. Umarł, gdy miałam osiemnaście lat i zostawił mnie praktycznie bez pieniędzy.

Battle skinął współczująco głową.

— Przypuszczam, że to był szok dla pani.

— Raczej tak. Zawsze wiedziałam, że nie jesteśmy zamożni, ale stwierdzić, że nie ma się prawie nic — to co innego.

— I co pani zrobiła?

— Zaczęłam pracować. Nie jestem ani szczególnie dobrze wykształcona, ani zdolna. Nie umiałam pisać na maszynie ani stenografować. Przyjaciółka z Cheltenham znalazła mi zajęcie u swoich przyjaciół — opieka nad dwoma małymi chłopcami w czasie wakacji i pomoc w domu.

— Proszę o nazwisko.

— To była pani Eldon z „The Larches”, Ventnor. Byłam tam przez dwa lata, potem Eldonowie wyjechali za granicę. Wtedy poszłam do pani Deering.

— Do mojej ciotki — dodała Rhoda.

— Tak, Rhoda załatwiła mi pracę. Byłam bardzo szczęśliwa. Rhoda czasem przyjeżdżała i było wspaniale.

— Kim pani była, osobą do towarzystwa?

— Tak, coś w tym rodzaju.

— Raczej młodszym ogrodnikiem — dorzuciła Rhoda. — Ciocia Emilia jest zwariowana na punkcie ogrodnictwa. Anna spędzała większość swego czasu na plewieniu albo sadzeniu cebulek.

— Dlaczego przestała tam pani pracować?

— Zdrowie pani Deering pogorszyło się znacznie i musiała wziąć zawodową pielęgniarkę.

— Ma raka — powiedziała Rhoda. — Biedactwo, dostaje morfinę i podobne rzeczy.

— Była dla mnie bardzo miła. Żałowałam, że muszę odejść — ciągnęła Anna.

— A ja akurat szukałam domku — rzekła Rhoda — i chciałam, żeby ktoś ze mną zamieszkał. Tatuś ożenił się ponownie, a jego żona wcale mi się nie podoba. Poprosiłam Annę, żeby przyjechała i zamieszkała ze mną, i od tego czasu jesteśmy tutaj razem.

— Przeszłość bez skazy — powiedział Battle. — Ustalmy jeszcze daty. Była pani u pani Eldon dwa lata. Przy okazji, jaki jest jej obecny adres?

— Mieszka w Palestynie. Jej mąż ma tam jakieś państwowe stanowisko, nie bardzo wiem jakie.

— Nie szkodzi, potrafię to szybko znaleźć. A potem poszła pani do pani Deering?

— Byłam z nią trzy lata — powiedziała Anna szybko. — Jej adres jest „Marsh Dene”, Little Hembury, Devon.

— Rozumiem. Więc ma pani obecnie dwadzieścia pięć lat. Teraz jeszcze jedna rzecz: nazwiska i adresy kilku osób z Cheltenham, które znały panią i pani ojca.

Anna podyktowała mu dane.

— Czy na tę wycieczkę do Szwajcarii, gdzie poznała pani Shaitanę, pojechała pani sama czy z panną Dawes?

— Pojechaliśmy razem. Przyłączyliśmy się do paru innych osób. Było nas ośmiorgo.

— Proszę mi opowiedzieć o spotkaniu z panem Shaitana.

Anna zmarszczyła brwi.

— Naprawdę nie ma nic do opowiadania. Był tam. Znałyśmy go tak, jak zna się ludzi w hotelu. Dostał pierwszą nagrodę na balu kostiumowym. Wystąpił jako Mefistofeles.

Nadinspektor Battle westchnął.

— Tak, lubił robić takie wrażenie.

— Był naprawdę cudowny — powiedziała Rhoda.

— Prawie nie musiał się charakteryzować.

Nadinspektor przyglądał się chwilę obu dziewczynom.

— Która z pań znała go lepiej?

Anna zawahała się; odpowiedziała za nią Rhoda.

— Początkowo obie tak samo, to znaczy bardzo niewiele. Widzi pan, nasza paczka to byli sami narciarze. Jeździliśmy na nartach, dopóki było jasno, a wieczorami tańczyliśmy. Potem Shaitana upodobał sobie raczej Annę. Rozumie pan, specjalnie wysiłał się na komplementy i tak dalej. Dokuczaliśmy jej z tego powodu.

— Myślę, że robił to, żeby mnie zdenerwować — rzekła Anna — dlatego, że go nie lubiłam. Pewnie bawiło go wprowadzanie mnie w zakłopotanie.

— Mówiliśmy Annie, że ma okazję złapać bogatego męża. Okropnie się na nas wściekała.

— Może podać mi pani nazwiska pozostałych osób z tego towarzystwa?

— Nie można pana nazwać ufnym człowiekiem — zauważyła Rhoda. — Sądzi pan, że każde usłyszane słowo jest kłamstwem?

Nadinspektor Battle mrugnął.

— W każdym razie zamierzam się upewnić, że tak nie jest.

— Jest pan podejrzliwy — stwierdziła Rhoda.

Nabazgrała parę nazwisk na kartce i podała mu. Battle wstał.

— Cóż, dziękuję bardzo, panno Meredith — powiedział. — Jak powiada panna Dawes, prowadzi pani chyba niezwykle nienaganne życie. Nie sądzę, aby musiała się pani niepokoić. Dziwne jest zachowanie pana Shaitany w stosunku do pani. Proszę mi wybaczyć pytanie, ale czy nie proponował pani małżeństwa lub czy nie niepokoił pani... ee... zalotami innego rodzaju?

— Nie próbował jej uwieść — rzekła Rhoda uczynnie — jeżeli to ma pan na myśli.

Anna zaczerwieniła się po uszy.

— Nic takiego nie miało miejsca — odparła. — Zawsze był bardzo grzeczny i... i ofi-

cialny. Właśnie te wyszukane maniery powodowały moje skrępowanie.

— I to, co mówił, aluzje?

— Tak... a zresztą... nie. Nigdy nie robił aluzji.

— Przepraszam. Podrywacze czasami robią aluzje. A więc dobranoc, panno Meredith. Dziękuję bardzo. Znakomita kawa. Dobranoc, panno Dawes.

— No, już po wszystkim i nie było tak bardzo strasznie — powiedziała Rhoda, kiedy Anna wróciła, zamknawszy drzwi za Battle'em. — Miły, ojcowski człowiek i najwyraźniej wcale ciebie nie podejrzewa. Było nawet znacznie lepiej, niż się spodziewałam.

Anna z westchnieniem osunęła się na fotel.

— Rzeczywiście poszło zupełnie łatwo — powiedziała. — Niepotrzebnie tak się denrowowałam. Myślałam, że spróbuje mnie zastraszyć, jak prawnicy na scenie.

— Wygląda rozsądnie — rzekła Rhoda. — Dobrze wie, że nie jesteś typem morderczyni.

Zawahała się chwilę i powiedziała:

— Słuchaj, Anno, nie wspominałaś o pobycie w Combeacre. Zapomniałaś?

— To się chyba nie liczy — odparła Anna — Byłam tam tylko parę tygodni. I nikt o mnie nie będzie tam pytał. Mogę napisać do niego, jeśli uważasz, że to ważne, ale jestem pewna, że nie. Zostawmy to.

— Dobrze.

Rhoda podniosła się i włączyła radio. Z odbiornika popłynął ochryply głos:

— Przed chwilą państwo słyszeli *Czemu mnie nabierasz, dziecko?* w wykonaniu Black Nubians.

ROZDZIAŁ XV

Major Despard

Major Despard wyszedł z Albany, skręcił gwałtownie w Regent Street i wskoczył do autobusu.

Była to spokojna pora dnia i na górze było zajętych bardzo niewiele miejsc. Despard podszedł ku przodowi i usiadł na pierwszym siedzeniu.

Wskoczył do autobusu, kiedy ten był już w ruchu. Na następnym przystanku autobus zatrzymał się, wziął pasażerów i pojechał w górę Regent Street.

Jeszcze jeden pasażer wspiął się po schodach, poszedł do przodu i ulokował się na pierwszym siedzeniu po drugiej stronie przejścia.

Despard nie zwrócił uwagi na przybysza, lecz po paru chwilach tamten go zagadnął:

— Dobry widok na Londyn z góry autobusu, nieprawdaż?

Major obrócił się. Przez moment nie przypominał sobie tego mężczyzny, lecz potem jego twarz rozjaśniła się.

— Proszę wybaczyć, panie Poirot, nie poznałem pana. Istotnie, stąd jest ładny widok. Jednak lepiej było w dawnych czasach, bez tych wszelkich szklanych klatek.

Poirot westchnął.

— *Tout de même*, to niemiłe, kiedy pada, a w środku jest pełno. A w tym kraju często pada.

— Deszcz jeszcze nikomu nie zaszkodził.

— Jest pan w błędzie — odparł Poirot. Prowadzi często do *fluxion de poitrine*.*

Despard uśmiechnął się.

— Widzę, że jest pan zwolennikiem solidnego opatulania.

* *fr.* Zapalenie płuc.

Poirot rzeczywiście był dobrze zabezpieczony przeciw zdradliwej jesiennej pogodzie. Nosił palto i szalik.

— To dziwne, że się tu spotkaliśmy — zauważył Despard.

Nie dostrzegł uśmiechu, skrywanego przez szalik. Nie było nic dziwnego w tym spotkaniu. Dowiedziawszy się, kiedy major najprawdopodobniej wyjdzie z domu, Poirot czekał na niego. Nie ryzykując skoku do autobusu, pobiegł za nim do następnego przystanku i tam wsiadł.

— Istotnie. Nie widzieliśmy się od tamtego wieczoru u pana Shaitany.

— Włączył się pan do tej sprawy? — zapytał Despard.

Poirot potarł delikatnie ucho.

— Rozmyślam — odparł. — Dużo rozmyślam. Biegać tu i tam, prowadzić śledztwo — co to to nie. To nie licuje z moim wiekiem, moim temperamentem, moją osobą.

— Rozmyśla pan? Mogłoby być gorzej. W dzisiejszych czasach jest za wiele pośpiechu. Gdyby ludzie siedzieli cicho i pomyśleli, zanim się wezmą do rzeczy, byłoby mniej zamieszania.

— Czy to pana sposób na życie, majorze?

— Zazwyczaj tak — odparł tamten. — Oceń położenie, oblicz trasę, zważ wszystkie pro i kontra, podejmij decyzję — i trzymaj się jej.

Jego usta zacisnęły się stanowczo.

— I potem nic nie zawróci pana z drogi?

— Tego nie powiedziałem. Zwykle nie jestem uparty jak osioł. Jeśli popełni się błąd, należy się przyznać.

— Wyobrażam sobie, że nieczęsto popełnia pan błędy.

— Zdarza się to nam wszystkim.

— Niektórym z nas — powiedział Poirot z pewnym chłodem, spowodowanym być może przez użyty zaimbek — zdarza się to rzadziej niż innym.

Despard popatrzył na niego uśmiechając się lekko.

— Nigdy nie poniósł pan porażki?

— Ostatni raz dwadzieścia osiem lat temu — odparł Poirot z godnością. — I nawet wtedy były okoliczności... ale mniejsza z tym.

— To chyba nieźle — powiedział Despard. — A co ze śmiercią Shaitany? Nie liczy się, jak sądzę, ponieważ to nie jest pańska oficjalna sprawa.

— Rzeczywiście, to nie moja sprawa. Mimo wszystko jednak, uraża moją *amour propre**. Uważam za impertynencję, rozumie pan, popełnienie morderstwa tuż pod moim nosem, przez kogoś, kto kpi sobie ze mnie uważając, że nie wykryję, kto tego dokonał!

— Nie tylko pod pańskim nosem — zauważył sucho Despard — pod nosem wydziału śledczego również.

* fr. Miłość własną.

— Zrobił prawdopodobnie fatalny błąd — powiedział poważnie Poirot. — Nasz zany, solidny nadinspektor Battle może wygląda tępo, ale bynajmniej nie jest zakutą pałą...

— Zgadzam się — odparł Despard. — To tylko poza. To bystry i zdolny oficer.

— I myślę, że bardzo energicznie działa w tej sprawie.

— Och tak, wystarczająco. Widzi pan tego sympatycznego faceta o żołnierskim wyglądzie na jednym z tylnych siedzeń?

Poirot spojrział przez ramię.

— Nie ma tu nikogo oprócz nas.

— Zatem jest w środku. Nie traci mnie z oczu. Niezwykle sprawny człowiek. Od czasu do czasu zmienia też swój wygląd. To artysta pod tym względem.

— Ale nie oszuka pana. Ma pan bystry wzrok.

— Nigdy nie zapominam twarzy, nawet czarnych — a to znacznie więcej, niż potrafi większość ludzi.

— Pan jest właśnie osobą, której mi potrzeba! — zawołał Poirot. — Co za traf to nasze dzisiejsze spotkanie! Potrzebuję kogoś spostrzegawczego i z dobrą pamięcią. *Malheureusement**, te dwie cechy rzadko występują razem. Zadałem doktorowi Robertsonowi pytanie, bez rezultatu, podobnie pani Lorrimer. Teraz spróbuję z panem. Proszę, by pan wrócił myślą do pokoju, w którym graliście w karty u Shaitany, i powiedział mi, co pan zapamiętał.

— Niezupełnie rozumiem — rzekł Despard zdziwiony.

— Proszę opisać pokój: umeblowanie, przedmioty znajdujące się w nim.

— Nie wiem, czy się do czegoś przydam — powiedział wolno Despard. — Uważam, że pokój był paskudny. Nie wyglądał jak pokój mężczyzny. Wszędzie brokat, jedwab i inne głupstwa. Pokój, który pasuje do faceta pokroju Shaitany.

— A przechodząc do szczegółów...

Despard potrząsnął głową.

— Obawiam się, że nie zauważyłem... Miał parę dobrych dywanów. Dwa bucharskie i trzy czy cztery perskie, w tym Hamadam i Tabriz. Niezła głowa antylopy... nie, to było w hallu. Przypuszczam, że z Rowland Ward.

— Nie sądzi pan, że zmarły sam polował?

— Nie. Założę się, że nigdy nie ustrzeliłby niczego poza siedzącym zwierzęciem. Przykro mi, że sprawiłem zawód, ale naprawdę nie potrafię pomóc. Wszędzie leżały jakieś świecidełka. Na stołach było od nich gęsto. Jedyna rzecz, jaką zauważyłem, to bożek. Chyba z Wyspy Wielkanocnej. Polerowane drewno. Niewiele takich widziałem. Było też trochę malajskich drobiazgów. Nie, boję się, że nie potrafię panu pomóc.

— Nie szkodzi — powiedział Poirot, ale widać było, że jest lekko strapiiony. — Czy

* fr. Niestety.

wie pan, że pani Lorrimer ma zdumiewającą pamięć do kart? Zdołała powtórzyć mi li-
cytację i rozgrywkę prawie każdego rozdania. Zaskoczyła mnie tym.

Despard wzruszył ramionami.

— Niektóre kobiety są właśnie takie. Pewnie dlatego, że cały dzień grają.

— Pan nie potrafiłby tego, co?

Tamten potrząsnął głową.

— Pamiętam tylko kilka rozdań. Jedno, w którym mogłem zrobić grę w kara, a Ro-
berts blefował i przelicytował mnie. Leżał, a ja go nie kontrowałem! Pamiętam też jed-
no bez atu. Trudna gra, każda karta źle zagrana. Leżeliśmy bez kilku lew, dobrze, że
nie więcej.

— Gra pan dużo w brydża?

— Rzadko, ale lubię tę grę.

— Woli pan brydża od pokera?

— Tak. W pokerze jest za wiele z hazardu.

Poirot powiedział w zamyśleniu:

— Myślę, że pan Shaitana w nic nie grał. Mam na myśli karciane gry.

— Jest tylko jedna gra, która interesowała Shaitanę — powiedział ponuro Despard.

— Mianowicie?

— Plotki.

Poirot chwilę milczał.

— Jest pan pewien czy tylko się panu tak wydaje?

Despard poczerwieniał.

— Chce pan dać mi do zrozumienia, że nie powinno wypowiadać się takich sądów
bez podania dowodów? To prawda. Tak się składa, że wiem. Z drugiej strony, nie mogę
podać źródła. To informacja, którą otrzymałem prywatnie.

— Krótko mówiąc, chodzi o kobietę?

— Tak. Shaitana, jak każdy łajdak, wolał mieć do czynienia z kobietami.

— Uważa pan, że był szantażystą? To ciekawe.

Despard potrząsnął głową.

— Nie, nie, pan mnie źle zrozumiał. Shaitana może i był szantażystą, ale nie zwy-
czajnym. Nie chodziło mu o pieniądze. Był szantażystą duchowym, jeżeli coś takiego
może istnieć.

— I co z tego miał?

— Emocje. Tylko tak potrafię to wytłumaczyć. Uwielbiał, jak ludzie bali się go.
Przypuszczam, że dzięki temu czuł się człowiekiem, a nie pluskwą. A poza tym, to
bardzo skuteczna postawa w stosunku do kobiet. Dawał im do zrozumienia, że wie
o wszystkim, i natychmiast zaczynały mu opowiadać rzeczy, o których być może nie
miał pojęcia. To go radowało. Potem puszył się jak paw, przybierając pozę Mefistofelesa:

„Jam jest wielki Shaitana! Wiem wszystko!” Krótko mówiąc, był świnią!

— A więc sądzi pan, że straszył w ten sposób pannę Meredith.

— Pannę Meredith? — spytał ze zdziwieniem Despard. — Nie myślałem o niej. Ona nie obawiała się takiego Shaitany.

— *Pardon*. Miał pan zatem na myśli panią Lorrimer.

— Nie, nie, i jeszcze raz nie. Pan mnie mylnie zrozumiał. Mówiłem ogólnie. Nie byłoby łatwo przstraszyć panią Lorrimer. I trudno sobie wyobrazić, żeby ta kobieta miała jakiś brzydki sekret. Nikogo konkretnego nie miałem na myśli.

— Opisywał pan tylko jego metodę?

— Właśnie.

— Nie ma wątpliwości — powiedział Poirot z namysłem — że ludzie jego pokroju często mają wyjątkową zdolność rozumienia kobiet. Wiedzą, jak je podejść. Potrafią wydobyć z nich tajemnice...

Przerwał.

— To absurd — wtrącił niecierpliwie Despard. — Ten człowiek to hochsztapler, ale nie był niebezpieczny. A jednak kobiety bały się go. I to bardzo.

Poderwał się nagle.

— No proszę, przeoczyłem przystanek. Za bardzo mnie wciągnęła nasza dyskusja. Do widzenia, panie Poirot. Niech pan popatrzy, jak mój wierny cień wyskoczy za mną z autobusu.

Szybko poszedł do tyłu i zbiegł schodami. Zadzwęczał dzwonek konduktora. I natychmiast zabrzmiał drugi sygnał.

Spoglądając z górnego poziomu autobusu na ulicę, Poirot dostrzegł Desparda. Nie bawił się w wyławianie śledzącej go postaci. Interesowało go coś innego.

— Nikogo konkretnego — mruknął. — Cóż, to ciekawe.

ROZDZIAŁ XVI

Świadectwo Elsie Batt

Sierżant O'Connor nosił nadane przez złośliwych kolegów przezwisko Modlitwa Pokojówki.

Był niewątpliwie niezwykle przystojnym mężczyzną. Wysoki, prosty, barczysty, swój nieodparty urok dla płci pięknej zawdzięczał nie tyle regularnym rysom, co łobuzerskim i śmiałym iskierkom w oczach. Niewątpliwie sierżant O'Connor osiągał rezultaty, i to szybko.

Zaledwie cztery dni po morderstwie Shaitany siedział na rewii *Willy Nilly* (miejsca za trzy i pół szylinga), ramię w ramię z panną Elsie Batt, była pokojówką pani Craddock z 117 North Audley Street.

Starannie wytyczywszy linię postępowania, sierżant O'Connor rozpoczął wielką ofensywę.

— To mi przypomina — opowiadał — sposób, jaki stosował mój dawny szef. Craddock mu było. Stary osioł.

— Craddock — powiedziała Elsie. — Byłam kiedyś u pewnych Craddocków.

— To zabawne. Ciekawe, czy to ci sami?

— Mieszkali na North Audley Street — odparła Elsie.

— Moi zamierzali przenieść się do Londynu, kiedy od nich odszedłem — rzucił O'Connor spiesznie. — Tak, zdaje mi się, że to była North Audley Street. Pani Craddock lubiła facetów.

Elsie pogardliwie potrząsnęła głową.

— Wyprowadzała mnie z równowagi. Wciąż czepiała się i gderała. Nic nie było dobrze zrobione.

— Jej mąż też obrywał trochę, co?

— Zawsze skarżyła się, że ją zaniedbuje, że jej nie rozumie. I ciągle opowiadała, jaka jest chora, jęczała i stękała. Wcale nie była chora, jeśli mam być szczerą.

O'Connor klepnął się w kolano.

— Mam. Nie było tam czegoś między nią a jakimś doktorem? Posunęli się trochę za daleko.

— Ma pan na myśli doktora Roberta? To miły dżentelmen.

— Wy, dziewczęta, jesteście wszystkie jednakowe — powiedział sierżant O'Connor. — Jeżeli mężczyzna jest łobuzem, natychmiast zaczynacie kruszyć o niego kopie. Znam takich jak on.

— Wcale nie i w ogóle myli się pan. Czy to jego wina, że pani Craddock wciąż po niego posyłała? Co lekarz może zrobić? Mówię panu, że ona była dla niego tylko pacjentką. To wszystko jej robota. Nie dawała mu spokoju.

— W porządku, Elsie. Czy mogę panią tak nazywać? Wydaje mi się, że znamy się całe życie.

— Ale się nie znamy całe życie. Elsie coś podobnego! — prychnęła i odrzuciła głowę do tyłu.

— Dobrze już, dobrze, panno Batt. — Popatrzył na nią. — Więc, jak powiedziałem, wszystko było w porządku, ale mimo to mąż rozgniewał się, prawda?

— Jednego dnia był zły jak pies — przyznała Elsie. — Ale myślę, że już był chory. Zmarł wkrótce, jak pan wie.

— Przypominam sobie. Jakaś dziwna choroba, prawda?

— Tak, coś japońskiego, dostał to z nowego pędzla do golenia. To okropne, czy oni nie mogą być ostrożniejsi? Od tego czasu nie biorę nic japońskiego do ręki.

— Nie ma jak brytyjskie towary, to moje motto — rzekł sierżant O'Connor sentencjonalnie. — Mówiła pani, że on i doktor pokłócili się?

Elsie skinęła głową, z radością wspominając dawne skandale.

— Strasznie się pożarli — powiedziała. — Przynajmniej pan rozrabiał. Doktor Roberts był spokojny jak zawsze. Powiedział tylko: „Nonsens” i „Co panu przyszło do głowy?”

— To było w domu?

— Tak. Posłała po niego. A potem ona i pan sprzeczekali się i w środku tego przyszedł doktor i pan zrobił mu awanturę.

— A co powiedział dokładnie?

— Oczywiście, nie mówili tego przy mnie. Wszystko działo się w sypialni pani. Pomyślałam, że coś się zaraz stanie, więc wzięłam śmietniczkę i zaczęłam sprzątać schody. Nie chciałam nic z tego stracić.

Sierżant O'Connor szczerze ją poparł. Pomyślał, jak szczęśliwie złożyło się, że zbliżył się do Elsie nieoficjalnie. Przesłuchiwana przez sierżanta O'Connora protestowała-

by cnotliwie przeciwko posądzaniu jej o podsłuchiwanie.

— Jak mówiłam — ciągnęła Elsie — doktor Roberts był bardzo spokojny, wrzeszczał tylko pan.

— A co mówił? — spytał O'Connor, po raz drugi zbliżając się do istotnego punktu.

— Sklął go jak trzeba — odparła Elsie ze smakiem.

— To znaczy?

Czy ta dziewczyna nigdy nie przytoczy dosłownie tego, co mówili?

— No cóż, nie zrozumiałam wielu rzeczy — przyznała Elsie. — Było mnóstwo długich słów, jak „przekroczenie etyki zawodowej”, „wykorzystanie przewagi” i takie tam, i usłyszałam, jak on mówi, że robi, żeby wykreślili doktora z... jak to jest?... rejestru lekarzy. Coś w tym rodzaju.

— Tak jest — potwierdził sierżant. — Skarga do Izby Lekarskiej.

— Rzeczywiście, powiedział coś takiego. I pani dostała hysterii i krzyczała: „Nigdy nie troszczyłeś się o mnie. Zanieczyściłeś mnie. Zostawiałeś mnie samą” i dodała, że doktor Roberts był dla niej aniołem dobroci.

I potem doktor poszedł z panem do garderoby, zamknął drzwi do sypialni i powiedział: „Drogi panie, nie widzi pan, że pańska żona jest historyczką? Nie wie, co mówi. Powiem panu prawdę: to bardzo trudny i ciężki przypadek i rzuciłbym to dawno, gdybym sądził, że to jest to... to... jakieś trudne słowo... ach, tak, lojalne i zgodne z moim obowiązkiem”. Tak właśnie powiedział. I jeszcze coś o nieprzekraczaniu granic między lekarzem a pacjentem. Uspokoił trochę pana i potem jeszcze powiedział: „Spóźni się pan do biura. Lepiej niech pan wyjdzie. Proszę spokojnie przemyśleć sprawę. Sam pan dojdzie do wniosku, że w całej tej historii nic nie ma. Ja tylko umyję ręce i idę do następnego chorego. A teraz niech pan to przeanalizuje, mój drogi. Zapewniam pana, że cała sprawa powstała w rozstrojonej wyobraźni pańskiej żony”. A pan powiedział: „Nie wiem, co myśleć”. Potem wyszedł. Ja oczywiście czyściłam z całych sił schody, ale on nawet mnie nie zauważył. Potem przyszło mi do głowy, że wyglądał na chorego. Doktor gwizdał wesoło i mył ręce w garderobie, gdzie była zimna i ciepła woda. I zaraz wyszedł i zagadał do mnie bardzo miło i pogodnie i zszedł schodami wesoły, w dobrym nastroju, jak zwykle. Więc widzi pan, jestem zupełnie pewna, że nie zrobił nic złego. To wszystko ona.

— I potem Craddock zachorował na wąglik?

— Tak, myślę, że zakaził się wcześniej. Pani pielęgnowała go z poświęceniem, ale umarł. Na pogrzebie były piękne wieńce.

— A potem? Doktor Roberts znowu przychodził?

— Nieprawda, panie wścibski! Musi pan mieć do niego urazę. Powiem panu, że nic między nimi nie było. Inaczej ożeniłby się z nią po śmierci pana, nie? A nie ożenił się. Nie był durniem. Dobrze ją ocenił. Dzwoniła po niego dalej, ale jakoś nigdy nie przy-

szedł. A potem sprzedała dom, my wszyscy dostaliśmy wymówienia i wyjechała do Egiptu.

— I przez cały ten czas nie widziała pani doktora Roberta?

— Nie. Za to ona go spotkała, bo poszła do niego zrobić sobie to — jak to się nazywa? — szczepienie na tyfus. Wróciła z obolałym ramieniem. Pewnie jej wtedy wytłumaczył, że nic z tego nie będzie. Więcej go nie wzywała i wyjechała bardzo wesoła, z kupą ślicznych, nowych kiecek. Wszystkie w jasnych kolorach, choć było to w środku zimy, ale mówiła, że tam jest słonecznie i gorąco.

— To prawda — powiedział sierżant O'Connor. — Słyszałem nawet, że czasem jest za gorąco. Pewnie pani wie, że ona tam zmarła.

— Nie, naprawdę nie wiedziałam. Niemożliwe! Musiało z nią być gorzej, niż sądziłam. — Westchnęła i dorzuciła: — Ciekawa jestem, co zrobili z tą masą ślicznych sukienek. Tam są sami czarni, więc pewnie nie mieli ochoty ich nosić.

— Pani wyglądałaby w nich bombowo — zauważył sierżant O'Connor.

— To bezczelność!

— Cóż, nie będzie pani musiała znosić dłużej mojej bezczelności — rzekł sierżant.

— Wyjeżdżam w interesach firmy.

— Na długo?

— Może nawet za granicę.

Twarz Elsie wydłużyła się.

Choć nie znała głośnego poematu Byrona *Nie kochaj nigdy pięknej gazeli*, w tej chwili podzielała jego uczucia. Pomyślała sobie: „Dlaczego z tymi atrakcyjnymi nigdy nic nie wychodzi? Dobrze, że chociaż jest Fred.”

I dobrze, że tak pomyślała, gdyż okazało się, że wpływ sierżanta O'Connora na życie Elsie nie był długotrwały. Wygrał Fred.

ROZDZIAŁ XVII

Świadectwo Rhody Dawes

Rhoda Dawes wyszła ze sklepu i stała pogrążona w zadumie na chodniku. Na jej twarzy malowało się niezdecydowanie. Była to twarz pełna ekspresji, na której odbijało się każde przelotne uczucie.

W tej chwili z miny Rhody można było wyczytać: „Tak czy nie? Chciałabym... Ale może lepiej nie...”

— Taksówkę, proszę pani? — zapytał z nadzieją w głosie portier.

Rhoda potrząsnęła głową.

Wpadła na nią tęga kobieta z licznymi paczkami w objęciach i wyrazem twarzy wyraźnie zdradzającym, iż robi zakupy świąteczne, lecz Rhoda wciąż stała jak wryta, usiłując podjąć decyzję.

Przez głowę przelatywały jej chaotycznie strzępki myśli.

„Ostatecznie, dlaczego nie? Zaprosiła mnie... ale może każdemu tak mówi...? Nie sądziła, że wezmę to poważnie... Cóż, jednak Anna pozbyła się mnie. Powiedziała zupełnie jasno, że do prawnika pójdzie tylko z majorem Despardem... Dlaczego nie? Troje to rzeczywiście trochę za dużo... To w końcu nie mój interes... Wcale nie zależało mi na zobaczeniu majora Despada... Chociaż jest miły... Myślę, że musiał się zakochać w Annie. Mężczyźni nigdy nie zadają sobie tyle trudu, jeżeli nie... To znaczy, to nigdy nie jest tylko uprzejmość...”

Posłaniec zderzył się z Rhoda i tonem pełnym wyrzutu powiedział: — Przepraszam panią.

„O Boże — pomyślała Rhoda — nie mogę sterczeć tu cały dzień tylko dlatego, że jestem taką idiotką i nie potrafię się zdecydować... Myślę, że ta spódnica i płaszcz wyglądają świetnie. Ciekawe, czy brązowy byłby bardziej praktyczny niż zielony? Nie, chyba

nie. A więc jazda, idę czy nie? Jest pół do czwartej, zupełnie dobra pora... nie będzie wyglądało, że przyszłam na lunch. W każdym razie mogę pójść i zobaczyć.”

Ruszyła ulicą, skręciła w prawo, potem w lewo, w górę Harley Street, i wreszcie stanęła przed blokiem mieszkalnym, opisywanym zwykle przez panią Oliver jako „otoczony lecznicami”.

„Nie zje mnie przecież” — pomyślała Rhoda i weszła śmiało do budynku.

Mieszkanie pani Oliver znajdowało się na najwyższym piętrze. Portier w uniformie zawiózł ją windą i zaholował na elegancką, nową wycieraczkę przed jaskrawo zielonymi drzwiami.

To okropne, pomyślała Rhoda, gorsze niż dentysta. Muszę jednak się odważyć. Zaróżowiona z zakłopotania nacisnęła dzwonek.

Drzwi otworzyła starsza pokojówka.

— Czy mogłabym... czy jest pani Oliver? — zapytała.

Pokojówka cofnęła się, by Rhoda mogła wejść i zaprowadziła ją do bardzo zaniedbanego salonu.

— Kogo mam zapowiedzieć? — spytała.

— Och... eee... panna Dawes... panna Rhoda Dawes. Służąca wyszła. Wróciła po jakichś stu latach, jak sądziła Rhoda, choć naprawdę upłynęła tylko minuta i czterdzieści pięć sekund.

Poprowadziła Rhodę korytarzem, który skręcał, i tuż za rogiem były otwarte drzwi. Stremowana dziewczyna weszła do czegoś, co wydało się jej afrykańską dżunglą!

Papugi i ptaki nieznanie ornitologii roily się wśród czegoś, co miało chyba być dziewczym lasem. W tej orgii flory i fauny Rhoda dostrzegła poobijany stół kuchenny z maszyną do pisania, ogromne ilości zapisanych kartek papieru na podłodze i panią Oliver, z włosami w dzikim nieładzie, podnoszącą się z rozklekotanego krzesła.

— Jak miło cię widzieć, moja droga — powiedziała pani Oliver, wyciągając rękę ubrudzoną kalką, a drugą ręką próbując przygłodzić włosy, co było niewykonalne.

Potrąciła łokciem papierową torbę, która spadła ze stołu i po podłodze żwawo potoczyły się jabłka.

— Mniejsza z tym, kochanie, nie zawracaj sobie głowy, ktoś je kiedyś pozбира.

Rhoda bez tchu podniosła się z pięcioma jabłkami w rękach.

— Och, dziękuję. Nie, nie wkładaj ich z powrotem do torby. Chyba zrobiła się w niej dziura. Połóż je na kominku. Dobrze. A teraz usiądź i pogadajmy.

Rhoda przycupnęła na drugim zmaltretowanym krześle i utkwiła oczy w gospodyni.

— Strasznie panią przepraszam. Przeszkodziłam w czymś? — spytała przejęta.

— I tak, i nie — odparła pani Oliver. — Jak widzisz, pracuję. Ale ten mój okropny Fin zaplątał się beznadziejnie. Przeprowadził bardzo mądrą dedukcję na temat dania

z fasolki szparagowej i właśnie odkrył śmiertelną truciznę w farszu do gęsi podanej na świętego Marcina, kiedy nagle przypomniałam sobie, że w listopadzie nie ma już fasolki szparagowej!

Przejęta wejrzeniem w świat tworzenia powieści detektywistycznej, Rhoda wyszepiała:

— Mogła być konserwowa.

— Mogła, oczywiście — zgodziła się autorka niepewnie. — To jednak zepsuje chyba puentę. Zawsze zapłaczę się w ogrodnictwie albo podobnych sprawach. A potem czytelnicy piszą, że stale mam kwiaty nieodpowiednie do pory roku. Jakby to miało znaczenie... W każdym razie w londyńskich kwiaciarniach są wszystkie jednocześnie.

— Jasne, że to nie ma znaczenia — przyznała Rhoda lojalnie. — Och, proszę pani, to musi być cudowne pisać!

Pani Oliver potarła czoło palcem ubrudzonym kalką i zapytała:

— Dlaczego?

— Och — powiedziała Rhoda, odrobinę zaskoczona. — Bo po prostu to musi być wspaniałe tak usiąść i napisać całą książkę.

— To nie dzieje się dokładnie w ten sposób — rzekła pani Oliver. — Trzeba myśleć, naprawdę. A myślenie zawsze jest nudne. I musi się wszystko zaplanować. A potem grzęźnie się w różnych szczegółach i wydaje się, że się nigdy nie wyjdzie z tego bałaganu — ale w końcu się udaje! Pisanie nie jest szczególnie zabawne. To ciężka praca, jak każda inna.

— Nie wygląda na pracę — zauważyła Rhoda.

— Nie dla ciebie, ponieważ nie musisz tego robić! Mnie to bardzo przypomina pracę. Niekiedy posuwam się naprzód tylko dzięki temu, że ciągle powtarzam sobie sumę, jaką dostanę za druk w odcinkach. To zwiększa zapał. Tak samo książeczka czekowa, kiedy widzę, o ile przekroczyłam konto.

— Nie wyobrażałam sobie, że pani naprawdę sama pisze na maszynie swoje książki. Myślałam, że ma pani sekretarkę.

— Miałam sekretarkę i próbowałam jej dyktować, ale była tak kompetentna, że to mnie deprymowało. Czułam, że wie znacznie więcej o języku i gramatyce, i kropkach, i średnikach niż ja i to wywoływało u mnie coś w rodzaju kompleksu niższości. Więc wzięłam zupełnie niefachową sekretarkę, lecz to oczywiście również nie zdało egzaminu.

— To musi być cudowne umieć wymyślać rzeczy — powiedziała Rhoda.

— Nie mam z tym najmniejszych trudności — odparła pani Oliver radośnie. — Męczące jest dopiero zapisywanie tego, co się wymyśliło. Wciąż wydaje mi się, że skończyłam, a kiedy policzę, okazuje się, że napisałam dopiero trzydzieści tysięcy słów zamiast sześćdziesięciu i muszę dodać następne morderstwo i znowu uprowadzić boha-

terkę. To straszne nudziarstwo.

Rhoda nie odpowiedziała. Wpatrywała się w panią Oliver z głębokim szacunkiem, jaki żywi młodość dla sławnych osobistości, lekko zabarwionym rozczarowaniem.

— Podoba ci się ta tapeta? — zapytała pani Oliver, machnąwszy niedbale ręką. — Ogromnie lubię ptaki. A to ma być tropikalna roślinność. Dzięki temu nawet gdy jest mroźno, wydaje mi się, iż dzień jest gorący. Nie potrafię nic robić, jeżeli temperatura nie jest odpowiednio wysoka. Ale Sven Hjerson co dzień rano rozbija lód na wannie, aby się wykapać.

— Uważam, że to wszystko jest zachwycające — powiedziała Rhoda. — I strasznie mi miło, że pani znalazła dla mnie czas.

— Co pani powie na tosty i kawę? — zaproponowała pani Oliver. — Bardzo czarną kawę i bardzo gorące tosty. Lubię je o każdej porze dnia.

Otworzyła drzwi i poleciła służącej przynieść posiłek.

— Co sprowadziło cię do miasta, zakupy? — spytała Rhodę.

— Tak, zrobiłam trochę zakupów.

— Panna Meredith także przyjechała?

— Tak, poszła z majorem Despardem do adwokata.

— Do adwokata?

Brwi pani Oliver uniosły się pytająco.

— Widzi pani, major Despard przekonał ją, że powinna to zrobić. Był strasznie miły, naprawdę.

— Ja też byłam miła — powiedziała pani Oliver — ale niezbyt mi się powiodło, prawda? Wydaje mi się, że twoją przyjaciółkę rozgniewało moje przyjsie.

— Och, nie... ona naprawdę nie... — Rhoda kręciła się na krześle strasznie zakłopotana. — To właśnie jeden z powodów mojej dzisiejszej wizyty. Chciałam pani wszystko wyjaśnić. Pani źle ją odebrała. Anna wydała się niewdzięczna, ale tak wcale nie było, naprawdę. Mam na myśli pani przyjsie. Chodzi o coś, co pani powiedziała.

— Co takiego powiedziałam?

— Skąd pani mogła wiedzieć? Miała pani po prostu pecha.

— A co powiedziałam?

— Przypuszczam, że pani nawet nie pamięta. Chodzi o słowa, których pani użyła: wypadek i trucizna.

— Mówiłam coś takiego?

— Wiedziałam, że pani nie będzie pamiętała. Widzi pani, Anna przeżyła kiedyś coś okropnego. Była w domu, w którym kobieta przez pomyłkę zażyła truciznę — zdaje się, że farbę do kapeluszy. I umarła. Był to straszny szok dla Anny. Do tej pory nie może o tym spokojnie myśleć ani mówić. Pani przypomniała jej o tym wydarzeniu i natychmiast cała zeszywniała. Widziałam, że pani to zauważyła. Przy niej nie mogłam nic

powiedzieć. Ale chciałam wyjaśnić, że to nie to, o czym pani myślała. Ona nie jest niewdzięczna.

Pani Oliver popatrzyła na ożywioną twarz Rhody i powiedziała z namysłem:

— Rozumiem.

— Anna jest ogromnie wrażliwa — ciągnęła dziewczyna — i nie potrafi stawić czoła faktom. Jeśli coś ją martwi, woli o tym nie mówić, choć takie postępowanie nie jest dobre — przynajmniej ja tak myślę. Kłopoty nie znikną tylko dlatego, że staramy się o nich zapomnieć. Ja wolałabym wszystko z siebie wyrzucić, nawet gdyby miało to być bolesne.

— Ty, moje dziecko, jesteś typem wojownika, a Anna — nie.

Rhoda zarumieniła się.

— Anna jest kochana.

— Nie przeczę. Powiedziałam tylko, że nie ma twojej odwagi.

Pani Oliver westchnęła i niespodziewanie zmieniła temat.

— Wierzysz w wartość prawdy, moje dziecko?

— Oczywiście, że wierzę — odparła Rhoda, patrząc na nią ze zdziwieniem.

— Tak się tylko mówi... zastanawiałaś się nad tym, że prawda czasem rani i niszczy iluzje?

— Mimo wszystko, wolę prawdę.

— Ja również. Ale nie wiem, czy dobrze robimy.

Rhoda powiedziała poważnie:

— Proszę nie mówić Annie o tym, co pani opowiedziałam. Nie byłaby zadowolona.

— Nie puszczę pary z ust. Dawno się to zdarzyło?

— Jakies pięć lat temu. To dziwne, zauważyła pani, że niektórym ludziom zdarzają się wciąż te same rzeczy? Miałam ciotkę, która nie mogła wsiąść na statek, żeby nie zdarzyła się jakaś katastrofa. A Anna już drugi raz jest świadkiem nagłej śmierci. Z tym, że ta druga jest, oczywiście, znacznie gorsza. Morderstwo to straszna rzecz, prawda?

— Naturalnie.

W tej chwili pojawiła się kawa i gorące tosty z masłem.

Rhoda jadła i piła z dziecięcym apetytem. Posiłek ze sławną osobą wydawał jej się niezwykle podniecający.

Kiedy skończyły, dziewczyna zaczęła zbierać się do wyjścia.

— Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam za bardzo — rzekła. — Czy zechce pani... to znaczy, czy sprawiłoby pani wielki kłopot... gdybym przysłała jedną z pani książek z prośbą o podpisanie?

Autorka roześmiała się.

— Mogę zrobić coś lepszego. — Otworzyła szafę na końcu pokoju. — Którą chciałaś dostać? Ja najbardziej lubię *Sprawę drugiej złotej rybki*. Nie jest taką straszną szmi-

rają jak reszta.

Rhoda, trochę zaszokowana krytyczną oceną płaodów własnego pióra, z entuzjazmem przyjęła propozycję. Pani Oliver otwarła książkę, napisała dedykację i wręczyła ją dziewczynie.

— Dziękuję bardzo. Ogromnie się cieszę. Na pewno nie ma mi pani za złe wizyty?

— Cieszę się, że przyszedłaś.

— Miłe dziecko z ciebie — dodała po chwili. — Do widzenia. Uważaj na siebie, kochanie,

— Zaraz, dlaczego to powiedziałam? — mruknęła do siebie, kiedy za gościem zamknęły się drzwi.

Potrząsnęła głową, zmierzwiła włosy i wróciła do mistrzowskich dedukcji Svena Hjersona z farszu do gęsi.

ROZDZIAŁ XVIII

Zaproszenie na herbatę

Pani Lorrimer ukazała się w drzwiach domu na Harley Street.

Przez moment stała na szczycie schodów, potem zeszła powoli na dół.

Na jej twarzy gościł dziwny wyraz, coś pomiędzy ponurą determinacją a niezdecydowaniem. Zmarszczyła lekko brwi, jakby koncentrując się na pochłaniającym ją problemie.

Właśnie wtedy dostrzegła Annę Meredith, stojącą na przeciwległym chodniku i wpatrującą się w wielki blok mieszkalny tuż za rogiem.

Pani Lorrimer wahała się chwilę, potem przeszła przez ulicę.

— Jak się pani ma, panno Meredith?

Anna drgnęła.

— Och, dzień dobry — powiedziała odwracając się.

— Wciąż w Londynie?

— Nie. Przyjechałam tylko na jeden dzień spotkać się z prawnikiem.

Wzrokiem ciągle błędziła po wielkim bloku mieszkalnym.

— Czy coś się stało? — spytała pani Lorrimer.

Anna drgnęła, jakby przyłapaną na czymś niestosownym.

— Stało? Ależ nie, co miałoby się stać?

— Wygląda pani na zmartwioną.

— Ja się nie... a zresztą tak, ale to nic ważnego, zupełne głupstwo. — Uśmiechnęła się lekko. Zdawało mi się, że zobaczyłam moją przyjaciółkę, dziewczynę, z którą mieszkam. Wchodziła tutaj i zastanawiałam się, czy poszła odwiedzić panią Oliver.

— Tu mieszka pani Oliver? Nie wiedziałam.

— Tak. Przyszła któregoś dnia, dała nam adres i zaprosiła nas, abyśmy ją odwiedzi-

ły. Zastanawiałam się, czy to była Rhoda, czy nie.

— Chce pani pójść się przekonać?

— Nie, raczej nie.

— Zapraszam panią na herbatę — zaproponowała pani Lorrimer. — W pobliżu jest lokal, który znam.

— To bardzo miło z pani strony — powiedziała z wahaniem Anna.

W małej cukierni, mieszczącej się w bocznej uliczce, podano im herbatę i maślane bułeczki.

Nie rozmawiały wiele. Wydawało się, że każda cieszy się z milczenia drugiej.

Nagle Anna spytała:

— Czy pani Oliver odwiedziła panią?

Pani Lorrimer potrząsnęła głową.

— Nikt mnie nie odwiedzał z wyjątkiem pana Poirota.

— Nie miałam na myśli... — zaczęła Anna.

— Naprawdę? A mnie się wydaje, że właśnie o tym pani myślała.

Dziewczyna rzuciła jej szybkie, wystraszone spojrzenie. W twarzy starszej kobiety dostrzegła coś, co ją uspokoiło.

— On mnie nie odwiedził — powiedziała wolno.

Przez chwilę nad ich stolikiem zaległa cisza.

— A czy był u pani nadinspektor Battle? — przerwała milczenie Anna.

— Och, tak, naturalnie — odparta pani Lorrimer.

— O co panią pytał?

Pani Lorrimer westchnęła ze znużeniem.

— O to, co zawsze. Rutynowe przesłuchanie. Od początku do końca był bardzo sympatyczny.

— Przypuszczam, że przesłuchiwał każdego.

— Myślę, że tak.

— Jak pani myśli, czy oni kiedykolwiek odkryją, kto to zrobił? — spytała po krótkiej pauzie Anna.

Siedziała z oczyma utkwionymi w talerzu, więc nie zauważyła dziwnego wyrazu na twarzy starszej kobiety.

— Nie wiem... — odpowiedziała spokojnie pani Lorrimer.

— To niezbyt miłe, prawda? — mruknęła Anna.

Na twarzy pani Lorrimer znów zagościł ów dziwny wyraz jakby współczucia.

— Ile ma pani lat? — spytała.

— Ja... ja? — zająknęła się dziewczyna. — Dwadzieścia pięć.

— A ja sześćdziesiąt trzy. Przed panią jest jeszcze całe życie...

Anna zadrżała.

— Mogę wpaść pod autobus w drodze do domu.

— Tak, to prawda. A mnie może się to nie zdarzyć.

Powiedziała to w osobliwy sposób. Anna spojrzała na nią zdziwiona.

— Życie to trudna sprawa — rzekła pani Lorrimer. — Przekona się pani, będąc w moim wieku. Wymaga nieskończonej odwagi i ogromnej wytrzymałości. I na koniec człowiek pyta sam siebie, czy warto było się tak męczyć.

— Och, nie! — zawołała Anna.

Pani Lorrimer zaśmiała się, znowu opanowana.

— Narzekanie na życie jest w złym guście.

Wezwała kelnerkę i uregulowała rachunek. Kiedy były już przy drzwiach, zobaczyły przejeżdżającą wolno taksówkę i pani Lorrimer przywołała ją.

— Może panią podwieźć? — spytała. — Jadę na południe.

Twarz Anny rozjaśniła się.

— Nie, dziękuję. Widzę moją przyjaciółkę na rogu ulicy. Bardzo pani dziękuję. Do widzenia.

— Do widzenia. Życzę pani powodzenia.

Rhoda ucieszyła się na widok koleżanki, ale prawie natychmiast radość wyparło poczucie winy.

— Rhoda, byłaś u pani Oliver? — dopytywała się Anna.

— Cóż, szczerze mówiąc, tak.

— A ja cię przyłapałam.

— Nie wiem, co to znaczy „przyłapałam”. Chodźmy do autobusu. Wyruszyłaś na wyprawę ze swoim przyjacielem. Myślałam, że przynajmniej postawi ci herbatę.

Anna milczała. Przypomniała jej się wymiana zdań: „Może moglibyśmy razem z pani przyjaciółką wybrać się na herbatę?” I jej własna odpowiedź, pośpieszna, bez namysłu: „Ogromne dzięki, ale mamy pójść na podwieczorek ze znajomymi”.

Kłamstwo, takie głupie kłamstwo. Zamiast powiedzieć pierwszą rzecz, jaka przyjdzie do głowy, trzeba było chwilę się zastanowić. Przecież mogła rzec: „Dzięki, ale koleżanka już się umówiła”. Tak trzeba było zrobić, jeśli się nie chciało (a ona nie chciała) wziąć także Rhody.

To dziwne, jak bardzo nie życzyła sobie obecności przyjaciółki, jak bardzo chciała zatrzymać Desparda dla siebie. Czuła się zazdrosna o Rhodę. Ona była tak promienna, chętna do rozmowy, pełna zapału i życia.

Tego wieczoru u nich w domu major Despard zachowywał się tak, jakby polubił Rhodę... Ale przecież to ją, Annę Meredith, przyszedł zobaczyć. Tak to już z Rhodą było. Sama jej obecność sprawiała, że nie zauważało się nikogo innego. Nie, zdecydowanie nie życzyła sobie obecności Rhody.

Postąpiła jednak bardzo niemądrze. Gdyby nie straciła głowy, mogłaby teraz popijać

herbatę z majorem Despardem.

Czuła się wyraźnie zirytowana. Rhoda była nieznośna. I po co poszła zobaczyć się z panią Oliver?

To ostatnie pytanie powiedziała na głos.

— Przecież nas zaprosiła — tłumaczyła się Rhoda.

— Zawsze tak się mówi.

— A właśnie że naprawdę chciała, żebyśmy przyszły. Była bardzo miła. Dała mi jedną ze swoich książek. Popatrz.

Rhoda zamachała swoją zdobyczą.

— O czym rozmawialiście? Nie o mnie? — spytała podejrzliwie Anna.

— Co za próżność!

— To o czym? Może o... o morderstwie?

— O jej pracy. Pisze właśnie książkę, w której trucizna jest w farszu do gęsi. Była ogromnie ludzka i powiedziała, że pisanie to ciężka praca i że ma kłopoty z intrygą, i piłyśmy czarną kawę, i jadłyśmy gorące tosty z masłem — zakończyła Rhoda radośnie.

— Och, Anno, przecież ty nie piłaś jeszcze herbaty!

— Już piłam. Z panią Lorrimer.

— Kto to jest pani Lorrimer? Czy to nie ta... ta, która tam była?

Anna przytaknęła.

— Gdzie ją spotkałaś? Poszłaś do niej?

— Nie. Wpadłam na nią na Harley Street.

— Jaka ona jest?

— Nie wiem — powiedziała Anna wolno. — Była dosyć dziwna. Zupełnie inna niż poprzednio.

— Wciąż myślisz, że ona to zrobiła?

Przez chwilę Anna nie odpowiadała.

— Nie mam pojęcia — rzekła w końcu. — Nie mówmy o tym, Rhodo! Wiesz, jak nie znoszę takich rozmów.

— Dobrze, kochanie. Jaki był ten adwokat? Bardzo suchy i legalista?

— Raczej czujny jak Żyd.

— Brzmi nieźle — powiedziała Rhoda. — Jak tam major Despard?

— Był bardzo miły.

— Zakochał się w tobie, Anno. Jestem tego pewna.

— Nie mów głupstw, Rhodo.

— Sama zobaczysz — odparła Rhoda i zaczęła cicho nucić jakąś melodię.

„Jasne, że zakochał się w niej — myślała. — Anna jest taka śliczna. Chociaż troszkę mdła... Nigdy nie wybierze się z nim na wędrowkę. Na widok węża narobiłaby krzy-

ku... Mężczyźni zawsze czują sympatię do nieodpowiednich kobiet.”

Głośno powiedziała:

— Tym autobusem dojedziemy do Paddington. Złapiemy pociąg o czwartej czterdzieści osiem.

ROZDZIAŁ XIX

Konsultacja

W pokoju Poirota zadzwonił telefon i pełen szacunku głos powiedział:

— Mówi sierżant O'Connor. Nadinspektor Battle przesyła pozdrowienia i zapytuje, czy mógłby pan przyjść do Scotland Yardu o jedenastej trzydzieści.

Poirot odpowiedział twierdząco i sierżant O'Connor odłożył słuchawkę.

Była równo jedenasta trzydzieści. Poirot wysiadł z taksówki przed bramą Scotland Yardu i natychmiast dopadła go pani Oliver.

— Pan Poirot! Cudownie, że pana spotykam! Czy może mi pan przyjść z pomocą?

— *Enchanté, madame**. Co mam zrobić?

— Proszę zapłacić za mnie za taksówkę. Nie wiem, jak to się stało, ale wzięłam torebkę, w której trzymam pieniądze na wyjazdy zagraniczne, a ten człowiek nie chce wziąć franków, lirów ani marek!

Poirot rycersko wręczył jej trochę drobnych i weszli razem do budynku.

Gdy wprowadzono ich do gabinetu nadinspektora Battle'a, ten siedział za stołem i wyglądał jeszcze sztywniej niż zwykle.

— Zupełnie jak nowoczesna rzeźba — szepnęła pani Oliver do Poirota.

Battle wstał, uścisnęli sobie ręce i usiedli.

— Pomyślałem, że czas na małe spotkanie — powiedział oficer policji.

— Chcielibyście zapewne dowiedzieć się, jak mi idzie, a ja jestem ciekaw, czego wy dokonaliście. Czekamy tylko na pułkownika Race'a i zaraz...

W tej chwili drzwi otwarły się i wszedł pułkownik.

— Przepraszam za spóźnienie, Battle. Jak się pani ma, pani Oliver? Hallo, panie Poirot. Bardzo mi przykro, że was tu trzymałem, ale wyjeżdżam jutro i musiałem do-

* *fr.* Z przyjemnością.

patrzeć mnóstwa spraw.

— Dokąd pan się udaje? — zapytała pani Oliver.

— Mała myśliwska wyprawa do Beludżystanu.

— Chyba nie jest tam najspokojniej — rzekł Poirot uśmiechając się ironicznie.

— Musi pan być ostrożny.

— Będę uważał — odparł Race. Jego głos był poważny, ale oczy błysnęły.

— Ma pan coś dla nas? — spytał Battle.

— Tak, informacje dotyczące Desparda. Proszę...

Podsunał mu plik papierów.

— Jest tu masa danych. Większość zupełnie nieistotna, o ile się orientuję. Nie ma nic przeciw niemu. Dzielny facet. Czyste akta. Ma posłuch u podwładnych. Tubyłcy wszędzie lubią go i ufają mu. W Afryce nadano mu imię „Człowiek, który trzyma usta zamknięte i sądzi sprawiedliwie.” Biali zgodnie twierdzą, że Despard jest *Pukka Sahib*. Świetnie strzela. Zimna krew. Przewidujący. Zasługuje na zaufanie.

Battle, niewzruszony tą pochwałą, zapytał:

— Czy wiążą się z nim jakieś nagłe zgony?

— Położyłem specjalny nacisk na tę sprawę. Jest coś, co go może obciążać. Jego towarzysz został rozszarpany przez lwa.

Battle westchnął.

— Nie o to mi chodzi.

— Wytrwały z pana zawodnik, Battle. Udało mi się znaleźć tylko jedno zdarzenie, które mogłoby pasować do pańskiego rejestru. Wyprawa w głąb Ameryki Południowej. Despardowi towarzyszył słynny botanik, profesor Luxmore z żoną. Profesor zmarł na febrę i został pochowany gdzieś w Amazonii.

— Na febrę, co?

— Tak, ale będę grać z panem fair. Jeden z tragarzy (który został, nawiasem mówiąc, zwolniony za kradzież), opowiedział inną historię. Profesor podobno nie zmarł na febrę, tylko został zastrzelony. Nie potraktowano tego poważnie.

— Może należałoby to zrobić?

Race potrząsnął głową.

— Przedstawiłem panu fakty. Prosił pan o nie, ma pan prawo je znać, ale założę się, że zamordowanie Shaitany to nie jego robota. Despard jest czysty, Battle.

— Niezdolny do morderstwa?

Pułkownik Race zawahał się.

— Niezdolny do tego, co ja nazwałbym morderstwem.

— Ale byłby w stanie zabić człowieka, gdyby miał wystarczający powód, aby to zrobić?

— Gdyby zabił, powód na pewno byłby wystarczający!

Battle potrząsnął głową.

— Człowiek nie ma prawa sądzić innego człowieka i nie może brać prawa w swoje ręce.

— To się zdarza, Battle, to się zdarza.

— To się nie może zdarzać. Co pan na to, panie Poirot?

— Zgadzam się z panem. Nigdy nie aprobowałem morderstwa.

— Cóż za zabawny sposób przedstawienia sprawy — zauważyła pani Oliver — zupełnie jakby to było polowanie na lisa albo strzelanie do kaczek. Nie uważacie, że niektórzy ludzie powinni zostać zamordowani?

— Bardzo możliwe.

— No właśnie!

— Pani mnie nie rozumie. Ofiara mniej mnie interesuje niż wpływ, jaki wywiera morderstwo na charakter zabójcy.

— A co z wojną?

— Nawet na wojnie nie przysługuje nikomu prawo do prywatnego osądu, a to właśnie jest tak niebezpieczne. Kiedy człowiek jest przekonany, że wie, komu powinno się pozwolić żyć, a komu nie — wówczas staje się najbardziej niebezpiecznym mordercą: takim, który zabija nie dla korzyści, lecz dla idei. Uzurpuje sobie działalność *le bon Dieu*.*

Pułkownik Race podniósł się.

— Przepraszam, że nie mogę z wami zostać. Mam za wiele pracy. Chciałbym zobaczyć, jak to się wszystko skończy. Nie byłbym jednak zdziwiony, gdybyście nigdy do niczego nie doszli. Nawet jeśli odkryjecie, kto to zrobił, rzecz może okazać się niemożliwa do udowodnienia. Dałem panu fakty, o które pan prosił, ale sądzę, że Despard nie jest człowiekiem, którego pan szuka. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek popełnił morderstwo. Shaitana mógł słyszeć plotki o śmierci profesora Luxmore'a, ale nic ponadto. Despard jest czysty i sądzę, że nie jest mordercą. A znam się na ludziach.

— Jaka jest pani Luxmore? — zapytał Battle.

— Mieszka w Londynie, gdzieś w South Kensington, wobec tego może się pan sam przekonać. Adres znajdzie pan w tych dokumentach. Ale powtarzam, Despard nie jest winien.

Pułkownik Race opuścił pokój sprężystym krokiem myśliwego.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Battle pokiwał głową w zamyśleniu.

— Przypuszczalnie ma rację — powiedział. — Pułkownik Race zna się na ludziach. Jednak nie można z góry przesądzać.

Przejrzał stos dokumentów na stole, robiąc od czasu do czasu notatkę na leżącym obok bloczku.

* *fr.* Dobrego Boga.

— A więc, nadinspektorze Battle — zagadnęła go pani Oliver — czy nie zamierza pan powiedzieć nam, co pan zdołał?

Nadinspektor uśmiechnął się leniwie, szerokim uśmiechem, który rozjaśnił jego kamienną twarz.

— To jest niezgodne z przepisami, pani Oliver. Mam nadzieję, że pani zdaje sobie sprawę z tego.

— Nonsens — odparła pani Oliver. — Nie przypuszczam ani na chwilę, że powie nam pan coś, czego nie chce pan ujawnić.

Battle potrząsnął głową.

— Nie — powiedział zdecydowanie. — Karty na stół. To moja zasada w tej sprawie. Zamierzam grać fair.

Pani Oliver przysunęła się z krzesłem.

— Proszę więc nam powiedzieć — szepnęła błagalnie.

— Jeżeli chodzi o morderstwo Shaitany, nie posunąłem się ani o krok. Przejrzeliśmy jego papiery, ale nie znaleźliśmy nawet cienia wskazówki. A teraz czwórka podejrzanych. Kazałem ich śledzić, ale na razie brak widocznych rezultatów. Właściwie tego oczekiwałem. Jak pan Poirot powiedział, jest jedna nadzieja: przeszłość. Musimy dowiedzieć się, jakie zbrodnie ci ludzie popełnili (jeżeli w ogóle je popełnili. Ostatecznie Shaitana mógł pleść głupstwa, aby zrobić wrażenie na panu Poirotcie). Może to nam wskaże, kto zamordował Shaitanę.

— No i znalazł pan coś?

— Uzyskałem poufną wiadomość o jednej osobie.

— O kim?

— O doktorze Robertsie.

Pani Oliver patrzyła z nadzieją na nadinspektora.

— Jak pan Poirot wie, sprawdziłem, co się dało. Ustaliłem bezsprzecznie, że nikt z jego bliskiej rodziny nie zmarł nagłą śmiercią. Inne możliwości też odpadają, właściwie jest tylko jedna możliwość, do tego znikoma. Parę lat temu Roberts musiał pozwolić sobie co najmniej na niedyskrecję w stosunku do pacjentki. Najprawdopodobniej do niczego nie doszło, ale kobieta była egzaltowaną histeryczką, taką co to lubi robić sceny, i albo mąż zwierzył co się dzieje, albo żona „wyznała”. W każdym razie doktor mógł mieć grube nieprzyjemności. Rozwścieczony mąż zagroził złożeniem skargi do Izby Lekarskiej, co prawdopodobnie oznaczałoby zrujnowanie jego kariery zawodowej.

— I co? — dopytywała się pani Oliver bez tchu.

— Najwyraźniej Roberts zdołał uspokoić rozjuszonego dżentelmena... który wkrótce potem zmarł na wąglik.

— Wąglik? Ale to choroba bydła?

Nadinspektor uśmiechnął się szeroko.

— Zupełnie słusznie, pani Oliver. To nie jest niewykrywalna trucizna Indian południowoamerykańskich! Może przypomina pani sobie, że w tym czasie wybuchła panika, ponieważ sprowadzono zakażone pędzle do golenia. Pędzel do golenia Craddocka okazał się przyczyną infekcji.

— Leczył go doktor Roberts?

— O, nie. Za sprytny na to. Założę się, że Craddock nie życzyłby go sobie w żadnym razie. Jedyne dowód, jaki posiadamy (a to beznadziejnie mało!) to fakt, że wśród pacjentów doktora w tym czasie był przypadek wąglika.

— Chce pan powiedzieć, że doktor zainfekował pędzel?

— Zgadła pani. Proszę jednak pamiętać, że to tylko podejrzenie. Nic, na czym można by się oprzeć. Czyste domniemanie. Ale tak mogło być.

— Nie ożenił się później z panią Craddock?

— Nie. Przypuszczam, że uczuciowo była zaangażowana tylko kobieta. Podobno zamierzała narozrabiać, lecz nagle szczęśliwym trafem zdecydowała się spędzić zimę w Egipcie. Tam zmarła na jakieś rzadkie zakażenie krwi. Ma długą nazwę, ale nie sądzę; żeby wam to coś powiedziało. Niezwykle rzadkie w Anglii, dość częste wśród tubylców w Egipcie.

— Więc doktor nie mógł jej zgładzić?

— Nie wiem — rzekł Battle wolno. — Rozmawiałem z moim przyjacielem bakteriologiem; strasznie trudno wydobyć z tych ludzi prostą odpowiedź. Nigdy nie potrafią powiedzieć tak lub nie. Wciąż „mogłoby się zdarzyć w pewnych warunkach”, „wiele zależy od stanu zdrowia”, „znane są takie przypadki”, „dużo zależy od indywidualnej wrażliwości” — wszystkie te głupstwa. Kiedy jednak przycisnąłem go do muru, okazało się, że zarazki mogły być wprowadzone do krwi przed opuszczeniem Anglii. Objawy występują dopiero po pewnym czasie.

— Czy pani Craddock była szczepiona przeciw tyfusowi przed wyjazdem do Egiptu? — zapytał Poirot. — Większość ludzi się szczepi.

— Jeden zero dla pana.

— I doktor Roberts dokonał zabiegu?

— Tak jest. I znowu — nie możemy niczego dowieść. Miała dwa zwykłe szczepienia przeciw tyfusowi. A może jedno z nich nie było szczepieniem? Nie wiemy. Nigdy nie będziemy wiedzieć. Nigdy nie wyjdziemy poza hipotezy. Wszystko, co potrafimy powiedzieć, to że takie rozwiązanie jest możliwe.

Poirot z namysłem skinął głową.

— To zgadza się z pewnymi uwagami, które robił pan Shaitana. Podziwiał mordercę, któremu się udało, człowieka, którego zbrodnia nigdy nie wyjdzie na jaw.

— Zatem skąd Shaitana o niej wiedział? — spytała pani Oliver.

Poirot wzruszył ramionami.

— Tego się nigdy nie dowiemy. W swoim czasie był w Egipcie. Wiemy o tym, ponieważ spotkał tam panią Lorrimer. Może słyszał uwagi miejscowych lekarzy na temat przypadku pani Craddock, zaskoczenie tym, że doszło do infekcji. Innym razem mógł usłyszeć plotki o doktorze i pani Craddock. Być może zabawiał się robieniem zawołanych uwag i dostrzegł pełne lęku zrozumienie w oczach doktora. Kto wie? Niektórzy ludzie mają niesamowity dar zgadywania sekretów. Shaitana był taką osobą. To wszystko nas nie interesuje. Możemy powiedzieć tylko, że odgadł. Ale czy odgadł dobrze?

— Cóż, myślę, że tak — odparł Battle. — Mam wrażenie, że nasz wesoły, jowialny doktor nie ma zbyt wielu skrępowań. Znałem kilku podobnych do niego... zaskakujące, jak pewne typy są do siebie podobne. Według mnie Roberts jest zabójcą. Zabił Craddocka. Mógł zabić jego żonę, jeśli stała się uciążliwa i groziła skandalem. Czy jednak zabił Shaitanę? Raczej wątpię. W przypadku Craddocków uciekł się do metod lekarskich. Zgony zdawały się być wynikiem naturalnych przyczyn. Moim zdaniem, gdyby miał zabić Shaitanę, użyłby bakterii, nie noża.

— Nigdy nie myślałam, że to on — powiedziała pani Oliver. — Ani przez chwilę. Był zbyt oczywisty.

— *Exit Roberts* — mruknął Poirot. — A co z innymi?

Battle niecierpliwie machnął ręką.

— Miałem sporo niepowodzeń. Pani Lorrimer od dwudziestu lat jest wdową. Przez większość czasu mieszkała w Londynie, niekiedy na zimę wyjeżdżała za granicę. Na Riwierę, do Egiptu. Nie można powiązać z nią żadnej tajemniczej śmierci. Prowadzi całkowicie normalne, przyzwoite życie kobiety światowej. Wydaje się, że wszyscy ją szanują i mają o niej jak najlepsze mniemanie. Najgorsze, co o niej można powiedzieć, to że nie znosi głupców! Muszę przyznać, że poniosłem klęskę na całej linii. A jednak Shaitana coś tu znalazł.

Westchnął z przygnębieniem.

— Następna jest panna Meredith. Zwykle dzieje. Córka oficera. Zostawił ją bez pieniędzy. Musiała zarabiać na życie, ale nie była odpowiednio przygotowana, nie miała żadnego zawodu. Sprawdziłem jej młodość w Cheltenham. Wszystko niewinne. Każdy bardzo jej współczuł. Najpierw pracowała u pewnych ludzi na Isle of Wight. Była czymś w rodzaju niańki, guwernantki i pomocy domowej. Jej pracodawcy wyjechali do Palestyny, ale rozmawiałem z siostrą pani domu, która mówi, że pani Eldon bardzo lubiła dziewczynę. Na pewno nie zdarzyła się wówczas żadna tajemnicza śmierć ani nic takiego.

Kiedy pani Eldon wyjechała za granicę, panna Meredith wzięła posadę osoby do towarzystwa w Devonshire, u ciotki koleżanki szkolnej. Ta koleżanka to dziewczyna, z którą obecnie mieszka — panna Rhoda Dawes. Była tam ponad dwa lata, do chwili kiedy ciotka ciężko zachorowała i musiała przyjąć zawodową pielęgniarkę. Rak,

o ile się nie mylę. Żyje jeszcze, ale jest bardzo słaba. Przypuszczam, że dostaje morfinę. Rozmawiałem z nią. Przypomniała sobie Annę, powiedziała, że miło ją wspomina. Rozmawiałem też z jej sąsiadką, która lepiej pamiętała zdarzenia z ostatnich paru lat. Nikt w tej miejscowości nie umarł, z wyjątkiem jednego czy dwóch starych wieśniaków, z którymi — o ile się mogłem dowiedzieć — panna Meredith nigdy nie miała kontaktu.

Potem pojechała do Szwajcarii. Sądziłem, że tam trafię na ślad fatalnego wypadku, ale nic się nie zdarzyło. I nic się nie stało w Wallingford.

— Więc Anna Meredith jest niewinna? — spytał Poirot.

Battle zawahał się.

— Nie powiedziałbym tego. Była za bardzo przestraszona, zanadto czujna, żeby dało się to wytłumaczyć tylko śmiercią Shaitany. Za bardzo miała się na baczności. Przysięgłbym że coś w tym jest. Ale to, co mamy, wskazuje, że prowadziła nieskazitelne życie.

Pani Oliver głęboko odetchnęła. Bawiła się znakomicie.

— A jednak wiem — powiedziała — że Anna Meredith mieszkała w domu, w którym kobieta przez pomyłkę zażyła truciznę i zmarła.

Efekt tych słów całkowicie zadowolił słynną pisarkę. Nadinspektor Battle wpatrywał się w nią w osłupieniu.

— Naprawdę, pani Oliver? Skąd pani wie?

— Węszyłam trochę i powiodło mi się. Pojechałam do dziewcząt i opowiedziałam im bzdurną historię o tym, że podejrzewam doktora Robertsa. Rhoda była życzliwa... i pod wrażeniem mojej sławy. Małej Meredith nie podobała się moja wizyta i okazała to zupełnie jasno. Była podejrzliwa. Dlaczego, jeśli nie miała nic do ukrycia? Zaprosiłam obie, aby odwiedziły mnie w Londynie. Rhoda przyjechała i wszystko wypaplała. Jak to Anna była niegrzeczna dla mnie tamtego dnia, ponieważ powiedziałam coś, co przypominało jej przykre zdarzenie i zaczęła je opisywać.

— Czy powiedziała, kiedy i gdzie to się stało?

— Pięć lat temu w Devonshire.

Nadinspektor Battle zamamrotał coś pod nosem i nagryzmolił na swoim bloczku. Ta wiadomość najwyraźniej nim wstrząsnęła.

Pani Oliver siedziała, radując się swoim triumfem. Był to dla niej rozkoszny moment.

— *Chapeau bas** — rzekł Battle. — Tym razem zaimponowała nam pani. To niezmiernie cenna informacja. Wykazuje, jak łatwo można coś przegapić. — Zmarszczył brwi. — Nie mogła tam być długo. Najwyżej parę miesięcy. Najpewniej zdarzyło się to gdzieś między Isle of Wight a przejściem do ciotki panny Dawes. Tak musiało być.

* fr. Czapki z głów.

Oczywiście siostra pani Eldon pamięta tylko, że dziewczyna wyjechała do Devonshire, nie przypomina sobie gdzie i do kogo.

— Niech mi pan powie — rzekł Poirot — czy pani Eldon była bałaganiarą?

Battle skierował na niego ciekawe spojrzenie.

— Dziwne, że pan o tym mówi. Nie wiem, jak pan zdołał się tego dowiedzieć. Siostra jest dość pedantyczną osobą. Pamiętam, że mówiła, że pani Eldon „jest okropnie nieporządna i niestaranna”. Ale skąd pan wie?

— Ponieważ potrzebowała kogoś do pomocy — wtrąciła pani Oliver.

Poirot potrząsnął głową.

— Nie, nie dlatego. To bez znaczenia. Po prostu byłem ciekaw. Proszę mówić dalej, nadinspektorze.

— W ten sposób — ciągnął Battle — przyjąłem z góry, że dziewczyna poszła do ciotki panny Dawes prosto z Isle of Wight. Ona jest cwana. Nieźle mnie nabrała. Kłamię cały czas.

— Kłamstwo nie zawsze oznacza winę — powiedział Poirot.

— Wiem o tym. Istnieje wrodzona skłonność do kłamstwa. Prawdę powiedziawszy, ją właśnie o to podejrzewam. Zawsze mówi to, co lepiej brzmi. Mimo wszystko zatajanie faktów takich jak ten jest poważnym ryzykiem.

— Nie wiedziała, że ma pan zamiar grzebać się w dawnych zbrodniach — zauważyła pani Oliver.

— Tym bardziej nie powinna przemilczać tej drobnej informacji. Z pewnością śmierć tę uznano za nieszczęśliwy wypadek, więc nie musiała się obawiać — chyba że była winna.

— Tak jest, chyba że była winna śmierci w Devonshire — zgodził się Poirot.

Battle obrócił się do niego.

— Wiem. Nawet jeżeli ta śmierć okaże się morderstwem, nie wynika z tego, że zabiła Shaitanę. Wszystkie morderstwa są jednak zbrodniami, a ja chcę być w stanie udowodnić zabójstwo osobie za nie odpowiedzialnej.

— Według pana Shaitany jest to niemożliwe — zauważył Poirot.

— W przypadku Roberta — zgadzam się. Trzeba zobaczyć, czy tak jest w wypadku panny Meredith. Pojadę jutro do Devonu.

— Wie pan, dokąd się udać? — zapytała pani Oliver.

— Nie chciałam wyciągać z Rhody szczegółów.

— Mądrze pani postąpiła. Nie będę miał trudności ze zdobyciem tych informacji. Musiało być przeprowadzone śledztwo, więc wszystko znajdę w aktach koronera. Rutynowa policyjna praca. Będę to miał przed jutrem.

— A co z majorem Despardem? — spytała pani Oliver. — Znalazł pan coś?

— Czekałem na raport Race'a. Oczywiście kazałem go śledzić. Zdobyliśmy tylko jed-

na dość interesującą rzecz: odwiedził pannę Meredith w Wallingford. Pamiętacie, jak mówił, że po raz pierwszy spotkał ją u Shaitany.

— To bardzo ładna dziewczyna — mruknął Poirot.

Battle roześmiał się.

— Tak, przypuszczam, że o to właśnie chodzi. Nawiasem mówiąc, Despard nie ryzykuje. Już poradził się adwokata. Wygląda na to, że spodziewa się kłopotów.

— Jest człowiekiem dalekowzrocznym — powiedział Poirot. — Przygotowuje się na każdą ewentualność.

— A zatem nie wbija w nikogo noża w pośpiechu — rzekł Battle z westchnieniem.

— Chyba że nie ma wyjścia — zauważył Poirot.

— Niech pan pamięta, że potrafi działać szybko.

Battle spojrzał znacząco na detektywa.

— No, panie Poirot, jakie pan ma karty? — spytał. — Jeszcze nie wyłożył ich pan na stół. Poirot uśmiechnął się.

— Niewiele w nich mam. Myśli pan, że ukrywam przed panem fakty? To nie jest tak. Nie zgromadziłem nowych faktów. Rozmawiałem z doktorem Robertsem, z panią Lorrimer, z majorem Despardem (muszę jeszcze pomówić z panną Meredith) i czego się dowiedziałem? Tego, że doktor Roberts jest bystrym obserwatorem, że pani Lorrimer ma niezwykłą umiejętność koncentracji, ale w konsekwencji jest zupełnie ślepa na otoczenie. Lubi jednak kwiaty. Despard dostrzega tylko rzeczy, które mu się podobają: dywany, trofea sportowe. Nie posiada ani tego, co ja nazywam zewnętrznym widzeniem (zauważanie otaczających szczegółów — takiego człowieka nazywamy spostrzegawczym), ani wewnętrznego widzenia (koncentracji, umiejętności skupiania się na jednym obiekcie). Ma celowo ograniczoną zdolność postrzegania. Widzi tylko to, co wiąże się i harmonizuje ze skłonnością jego umysłu.

— Więc to nazywa pan faktami? — zapytał Battle z zaciekawieniem.

— To są fakty. Być może drobiazgi.

— A co z panną Meredith?

— Zostawiłem ją na koniec. Ale ją również zapytam o to, co zapamiętała z pokoju Shaitany.

— Dziwna metoda dochodzenia do prawdy — powiedział Battle z namysłem.

— Czysto psychologiczna. Przypuśćmy, że wyprowadzi pana w pole?

Poirot potrząsnął głową z uśmiechem.

— To niemożliwe. Wszyscy, nieważne czy mówią prawdę, czy kłamią, nieuchronnie odkrywają swoją psychikę.

— Niewątpliwie coś w tym jest — powiedział Battle z namysłem. — Sam jednak nie potrafiłbym pracować w ten sposób.

— Czuję, że zrobiłem bardzo mało w porównaniu z panem, panią Oliver i pułkow-

nikiem Race'em — odparł z uśmiechem Poirot. — Karty, które wyłożyłem, są bardzo słabe.

Battle mrugnął do niego.

— Jeśli o to idzie, panie Poirot, dwójka atutowa jest słabą kartą, ale potrafi pobić każdego z trzech asów. Niemniej zamierzam prosić pana o coś.

— O co?

— O przesłuchanie wdowy po profesorze Luxmorze.

— A dlaczego sam pan tego nie robi?

— Ponieważ, jak już powiedziałem, wyjeżdżam do Devonshire.

— Dlaczego sam pan tego nie robi? — powtórzył Poirot.

— Nie da się pan zbyć, co? Dobrze, powiem prawdę. Myślę, że wydobydzie pan więcej niż ja.

— Ponieważ moje metody są mniej bezpośrednie?

— Może pan tak to określić — powiedział Battle uśmiechając się szeroko.

— Słyszałem, jak inspektor Japp mówił, że ma pan pokrętny umysł.

— Podobnie jak zmarły pan Shaitana?

— Sądzi pan, że on byłby w stanie coś od niej wydobyć?

— Sądzę, że to zrobił.

— Dlaczego pan tak myśli? — zapytał ostro Battle.

— Naprowadziła mnie na to przypadkowa uwaga majora Desparda.

— Zdradził się? To wydaje się do niego niepodobne.

— Drogi przyjacielu, nie można się nie zdradzić — chyba, że nigdy nie otwiera się ust! Rozmowa jest najpewniejszym sposobem odkrywania własnych kart.

— Nawet jeśli się kłamie? — zapytała pani Oliver.

— Tak, *madame*, ponieważ od razu się widzi, jakiego rodzaju kłamstwo pani mówi.

— Zaczynam czuć się niepewnie — powiedziała pani Oliver wstając.

Nadinspektor Battle odprowadził ją do drzwi i uścisnął serdecznie rękę.

— Była pani naprawdę dobra — rzekł. — Jest pani znacznie lepszym detektywem niż ten pan długi, kościsty Lapończyk.

— Fin — poprawiła go pani Oliver. — Oczywiście, że on jest idiotyczny. Ale ludzie go lubią. Do widzenia.

— Ja też muszę iść — powiedział Poirot.

Battle nabazgrał adres na kawałku papieru i wetknął Poirotowi w rękę.

— Oto adres. Proszę iść i ją wypompować.

Poirot uśmiechnął się.

— A czego mam się dowiedzieć?

— Prawdy o śmierci profesora Luxmore'a.

- *Mon cher** Battle! Czy ktokolwiek zna prawdę o czymkolwiek?
- Ja zamierzam poznać prawdę o tej historii w Devonshire.
- Ciekawe — mruknął Poirot.

* *fr.* Mój drogi.

ROZDZIAŁ XX

Świadectwo pani Luxmore

Pokojówka, która otworzyła drzwi mieszkania pani Luxmore w South Kensington; spojrzała na Herkulesa Poirota z głęboką dezaprobatą. Nie była skłonna wpuścić go do domu.

Poirot, niewzruszony wręczył jej wizytówkę.

— Proszę to podać pani Luxmore. Myślę, że zechce mnie przyjąć.

Była to jedna z jego bardziej okazałych wizytówek. W jednym z rogów były wydrukowane słowa „Prywatny detektyw”. Zamówił te wizytówki specjalnie po to, by łatwiej uzyskać dostęp do tak zwanej płci pięknej. Prawie każda kobieta, winna czy niewinna, pragnęła zobaczyć prywatnego detektywa i dowiedzieć się, czego chce.

Pozostawiony haniebnie na wycieraczce Poirot z głębokim niesmakiem przyglądał się zaniedbanej kołatce.

— Przydałoby się trochę płynu do czyszczenia i szmatka! — mruknął do siebie.

Dziewczyna wróciła i wpuściła Poirota do środka. Teraz zachowywała się inaczej, była wyraźnie pod wrażeniem.

Zaprowadziła go do pokoju na parterze, dosyć ciemnego, pachnącego zwiędłymi kwiatami i nie opróżnionymi popielniczkami. Znajdowała się tam wielka ilość jedwabnych poduszek w jaskrawych kolorach, pilnie wymagających prania... Ściany były szmaragdowozielone, a sufit w kolorze miedzi.

Koło kominka stała wysoka, dosyć przystojna kobieta. Podeszła do gościa.

— Pan Herkules Poirot? — spytała głębokim, niskim głosem.

Poirot skłonił się. Znacznie zmienił się jego sposób bycia. Swym zachowaniem podkreślał obce pochodzenie. Jego gesty były wręcz barokowe. Bardzo nieznacznie przypominało to sposób bycia zmarłego pana Shaitany.

— W jakiej sprawie chciał się pan ze mną widzieć?
Poirot znowu skłonił się.
— Czy mógłbym usiąść? To zajmie niewiele czasu... Wskazała mu niecierpliwym gestem krzesło, a sama siadła na brzegu sofy.
— Tak? A więc?
— Chodzi o to, *madame*, że prowadzę dochodzenie... prywatne dochodzenie, rozumie pani?
Powolne przystępowanie do rzeczy zwiększyło jej niecierpliwość.
— Tak?
— Badam śmierć pani męża, profesora Luxmore'a.
— Ale dlaczego? Co pan ma na myśli? Co to ma wspólnego z panem? — pytała przerażona.
— Powstaje, rozumie pani, książka — mówił Poirot uważnie ją obserwując. — Biografia pani znakomitego męża. Pisarz, oczywiście, pragnie zebrać wszystkie fakty. Na przykład, dotyczące śmierci pani męża...
— Mój mąż zmarł na febrę nad Amazonką — przerwała mu.
Poirot odchylił się na krześle. Bardzo, bardzo wolno pokręcił głową.
— *Madame, madame...* — rzekł z wymówką.
— Ależ ja wiem! Byłam przy tym.
— Z całą pewnością. Była tam pani. Tak, moje informacje to potwierdzają.
— Jakie informacje? — wykrzyknęła.
— Informacje dostarczone mi przez zmarłego pana Shaitanę — rzekł Poirot przyglądając jej się uważnie.
Skurczyła się, jakby uderzona batem.
— Przez Shaitanę? — wyjąkała.
— Człowieka, który posiadał ogromne zasoby wiedzy. Niezwykłego człowieka. Znał wiele sekretów.
— Sądzę, że tak — powiedziała przesuwając językiem po suchych wargach.
Poirot pochylił się i delikatnie dotknął jej kolana.
— Wiedział, na przykład, że pani mąż nie zmarł na febrę.
Pani Luxmore utkwiała w Poirocie zrozpaczone spojrzenie.
Detektyw oparł się wygodnie i obserwował ją.
Opanowała się z wysiłkiem.
— Nie wiem... nie wiem, co pan ma na myśli.
Jej słowa nie zabrzmiały przekonująco.
— *Madame* — powiedział Poirot — powiem otwarcie. Wyłożę — uśmiechnął się — moje karty na stół. Mąż pani nie umarł na febrę. Zginął od kuli!
— Och! — krzyknęła, zakryła twarz rękami i kołysała się tam i z powrotem. Była

w rozpaczy, jednak — Poirot był tego zupełnie pewien — w głębi delectowała się własnymi emocjami.

— Chciałbym — powiedział rzeczowym tonem — żeby pani opowiedziała mi całą historię.

Odsłoniła twarz.

— To nie było wcale tak, jak pan myśli — szepnęła.

Poirot jeszcze raz pochylił się i dotknął jej kolana.

— Pani mnie źle zrozumiała — rzekł. — Wiem bardzo dobrze, że nie pani go zastrzeliła. To był major Despard. Ale pani była przyczyną.

— Nie wiem. Nic nie wiem. Wydaje mi się, że ma pan racje. Wszystko to jest takie straszne! Los mnie prześladowuje.

— Jakie to prawdziwe! — wykrzyknął Poirot. — Ileż razy sam byłem świadkiem! Istnieją takie kobiety. Dokądkolwiek się udadzą, tragedia idzie ich śladem. Nie ma w tym ich winy. Takie rzeczy zdarzają się wbrew nim.

Pani Luxmore odetchnęła głęboko.

— Widzę, że pan mnie rozumie. Wszystko stało się tak naturalnie.

— Podróżowaliście razem w głąb kraju?

— Tak. Mój mąż pisał książkę o rzadkich roślinach. Major Despard został nam przedstawiony jako człowiek, który zna ten rejon i może zorganizować wyprawę. Mąż bardzo go polubił. Wyruszyliśmy.

Pani Luxmore zamilkła. Po dłuższej chwili Poirot mruknął jakby do siebie:

— Tak, można to sobie wyobrazić. Wijąca się rzeka, tropikalna noc, brzęczenie owadów, silny, postawny mężczyzna... i piękna kobieta...

Pani Luxmore westchnęła.

— Oczywiście mój mąż był znacznie starszy ode mnie. Wyszłam za niego jako dziecko, zanim zrozumiałam, co robię...

Poirot potrząsnął smutno głową.

— Wiem, wiem. Ileż razy tak się zdarza!

— Żadne z nas się nie przyznało — ciągnęła pani Luxmore. — John Despard nigdy nie powiedział ani słowa. Był człowiekiem honoru.

— Ale kobieta zawsze wie.

— Jak pan dobrze rozumie... Tak, kobieta wie zawsze... Ale nigdy mu tego nie okazałam. Do samego końca byliśmy dla siebie majorem Despardem i panią Luxmore... Oboje zdecydowaliśmy się grać tę grę...

Zamilkła pogrążona w podziw dla tej szlachetnej postawy.

— To prawda — mruknął Poirot. — Musi się grać dalej. Jak to ślicznie powiedział jeden z waszych poetów: „Nie mógłbym cię kochać tak mocno, najdroższa, gdybym nie kochał bardziej krykieta”.

— Honoru — poprawiła pani Luxmore z lekką dezaprobatą.
— Oczywiście, oczywiście, honoru. „Gdybym bardziej nie kochał honoru”.
— Te słowa mogły być dla nas napisane — powiedziała cicho pani Luxmore. — Bez względu na to, ile to nas kosztowało, oboje zdecydowaliśmy się nigdy nie wymówić fatalnego słowa. I wtedy...
— I wtedy... — ponaglił Poirot.
— Nastąpiła ta straszliwa noc. — Pani Luxmore zadrżała.
— Tak?
— Przypuszczam, że musieli się pokłócić... to znaczy John i Timothy. Wyszłam z mojego namiotu...
— I co?
Żrenice pani Luxmore rozszerzyły się. Przed jej oczyma jeszcze raz rozgrywała się ta scena.
— Wyszłam z mojego namiotu — powtórzyła. — John i Timothy byli... Och!
— Zadrżała. — Nie potrafię przypomnieć sobie wszystkiego dokładnie. Wpadłam między nich... Powiedziałam: „Nie, nie, to nieprawda!” Timothy nie chciał słuchać. Groził Johnowi. John musiał strzelić w obronie własnej. Ach! — Wydała okrzyk i zasłoniła twarz rękami. — On był martwy, martwy jak kamień. Dostał kulę w serce.
— Straszny moment dla pani, *madame*.
— John był godny podziwu. Postanowił się przyznać. Nie chciałam o tym słyszeć. Spieraliśmy się całą noc. Błagałam go, by dla mnie ustąpił. W końcu zrozumiał. Naturalnie nie chciał, abym cierpiała. Taki straszny rozgłos. Niech pan pomyśli tylko o nagłówkach! „Dwaj mężczyźni i kobieta w dżungli. Pierwotne namiętności.”
Przedstawiłam to wszystko Johnowi. W końcu ustąpił. Chłopcy powiedzieli, że nic nie widzieli ani nie słyszeli. Timothy miał atak febry i zmarł. Pochowaliśmy go na brzegu Amazonki.
Z jej piersi wyrwało się głębokie, udręczone westchnienie.
— A potem... powrót do cywilizacji... i rozstanie na zawsze.
— Czy to było konieczne, *madame*?
— Tak, tak. Martwy Timothy dzielił nas tak samo jak żywy — a nawet bardziej. Pożegnaliśmy się na zawsze. Czasami zdarza mi się spotkać Johna Desparda. Śmiejemy się, rozmawiamy uprzejmie, nikt nie zgadłby, że między nami coś było. Ale widzę w jego oczach, a on widzi w moich, że nigdy nie zapomnimy...
Poirot zamilkł. Oddał hołd przedstawieniu nie przerywając ciszy.
W końcu pani Luxmore wyjęła kosmetyczkę i upudrowała nos. Urok prysł.
— Co za tragedia — powiedział Poirot, ale już zwykłym tonem.
— Musi pan zrozumieć — rzekła bardzo poważnie pani Luxmore — że prawda nigdy nie może zostać ujawniona.

— To byłoby bolesne...

— To byłoby nie do zniesienia. Pański przyjaciel, ten pisarz, na pewno nie chciałby zniszczyć życia całkowicie niewinnej kobiety.

— Albo powiesić całkowicie niewinnego mężczyzny?

— Pan widzi to w ten sposób? Jestem rada. On był niewinny. *Crime passionnel** [przyp.: fr. Zbrodnia z namiętności.] nie jest naprawdę zbrodnią. Tak czy inaczej działał w samoobronie. Musiał strzelić. Więc rozumie pan, panie Poirot, że świat musi nadal sądzić, że Timothy zmarł na febrę?

— Pisarze są czasem dziwnie gruboskórni — mruknął Poirot.

— Pański przyjaciel nienawidzi kobiet? Chce sprawić, żebyśmy cierpiały? Nie może pan na to pozwolić! Nie zniosę tego! Jeśli będzie konieczne, wezmę winę na siebie. Powiem, że to ja zastrzeliłam Timothy'ego.

Podniosła się i teraz stała prosto, z głową odrzuconą do tyłu.

Poirot wstał również.

— *Madame* — powiedział, biorąc jej rękę — pani poświęcenie nie jest niezbędne. Zrobię co w mojej mocy, aby fakty nigdy nie zostały ujawnione.

Słodki, kobiecy uśmiech rozjaśnił twarz pani Luxmore. Uniosła lekko rękę, tak że Poirot, chcąc nie chcąc, został zmuszony do ucałowania jej.

— Nieszczęśliwa kobieta dziękuje panu, panie Poirot.

Ostatnie słowa prześladowanej królowej do ulubionego dworzanina. Najwyraźniej odprawa. Poirot potulnie wyszedł.

Znalazłszy się na ulicy zaczerpnął głęboko świeżego powietrza.

ROZDZIAŁ XXI

Major Despard

— *Quelle femme* — mruknął Herkules Poirot. — *Ce pauvre Despard! Ce qu'il a dû souffrir! Quel voyage épouvantable!**

Nagle zaczął się śmiać.

Szedł teraz przez Brompton Road. Przystanął, wyjął zegarek i zastanowił się.

— Jednak tak, mam czas. W każdym razie nic mu nie będzie, jak zaczeka. Muszę teraz zająć się inną drobną sprawą. Co takiego zwykł śpiewać mój przyjaciel z angielskiej policji — ile to? — czterdzieści lat temu? *Kawałeczek cukru dla ptaszka*.

Nucąc dawno zapomnianą melodię, Herkules Poirot wszedł do okazale wyglądającego sklepu z konfekcją damską i kosmetykami. Udał się do stoiska z pończochami.

Wybrawszy sympatyczną i niezbyt wyniośle zachowującą się panienkę, wyjawiał swoje życzenia.

— Jedwabne pończochy? Och, tak, mamy tu bardzo dobry gatunek. Czysty jedwab.

Poirot odsunął je. Jeszcze raz elokwentnie wyjaśnił, o co mu chodzi.

— Francuskie jedwabne pończochy? Z powodu opłat celnych są bardzo kosztowne. Na ladzie pojawił się stos opakowań.

— Bardzo ładne, *mademoiselle*, ale miałem na myśli coś delikatniejszego.

— Te mają grubość sto. Mamy, oczywiście, ekstra cienkie, ale obawiam się, że to wypada około trzydziestu pięciu szylingów za parę. I naturalnie są nietrwałe — jak pajęczyna.

— *C'est ça. C'est ça, exactement.***

Tym razem nieobecność młodej damy trwała dłużej. Wreszcie wróciła. — Przykro

* *fr.* Co za kobieta! Biedny Despard. Ileż musiał wycierpieć! Co za okropna podróż!

** *fr.* Właśnie, o to chodzi.

mi, ale aktualnie one są po trzydzieści siedem szylingów i sześć pensów za parę. Ale są piękne, prawda?

Z przejrzyściego opakowania wysunęła uważnie, najdelikatniejszą, najbardziej przezroczystą parę pończoch.

— *Enfin*, to jest właśnie to!

— Śliczne, nieprawdaż? Ile par, sir?

— Chcę... zaraz, dziewiętnaście par. W różnych odcieniach, bardzo proszę.

Młoda dama omal nie padła za kontuarem, ale długa wprawa w okazywaniu wyższości utrzymała ją w pozycji stojącej.

— Przy dwóch tuzinach byłby rabat — powiedziała słabo.

— Nie, chcę dziewiętnaście par. I bardzo proszę, w różnych kolorach.

Dziewczyna posłusznie wybrała, zapakowała i wypisała rachunek.

Kiedy Poirot wyszedł, jej koleżanka zauważyła:

— Ciekawe, kim jest ta szczęśliwa dziewczyna. On musi być okropnie stary. Ona chyba nieźle go naciąga. Pończochy po trzydzieści siedem szylingów i sześć pensów, coś podobnego!

Poirot, nieświadom niskiej oceny jego charakteru wystawionej przez młode panie z firmy Harvey i Robinson, kroczył ku swojemu mieszkaniu.

Po około półtorej godziny usłyszał dzwonek do drzwi. W chwilę później major Despard wszedł do pokoju. Najwyraźniej opanowywał się z trudnością.

— Co za diabeł posłał pana do pani Luxmore? — zapytał.

Poirot uśmiechnął się.

— Pragnąłem usłyszeć prawdziwą historię śmierci profesora Luxmore'a.

— Prawdziwą historię? Wyobrażał pan sobie, że ta kobieta jest w stanie powiedzieć prawdę o czymkolwiek? — dopytywał się gniewnie Despard.

— *Eh bien*, bywam czasami ciekaw — przyznał Poirot.

— Mogę sobie wyobrazić. Ta kobieta jest pomyłona.

— Wcale nie — sprzeciwił się Poirot. — Jest romantyczna, to wszystko.

— Romantyczna, niech to diabli. Jest skończoną kłamczuchą. Czasami myślę, że wierzy we własne kłamstwa.

— To zupełnie możliwe.

— Przerazająca kobieta. Miałem z nią tam piekło.

— W to również mogę uwierzyć.

Despard usiadł nagle.

— Niech pan słucha, Poirot, zamierzam opowiedzieć panu prawdę.

— Ma pan na myśli, że zamierza pan przedstawić mi swoją wersję?

— Moja wersja będzie prawdziwa.

Poirot nic nie rzekł.

— W pełni zdaję sobie sprawę — ciągnął sucho Despard — że nie mogę przypisywać sobie żadnych zasług, występując z tym dopiero teraz. Mówię prawdę, ponieważ w tej sytuacji nic więcej nie mogę zrobić. Niech mi pan wierzy lub nie, to pańska sprawa. Nie mam żadnego dowodu, że moja historia jest prawdziwa.

Milczał chwilę, a potem zaczął opowiadać.

— Przygotowałem wyprawę dla Luxmore'ów. On był przyjemnym, starszym facetem, zwariowanym na punkcie różnych much i roślin. Ona — no, jaka jest, niewątpliwie mógł pan zauważyć. Podróż była koszmarem. Nie obchodziła mnie ta kobieta, szczerze mówiąc, raczej jej nie lubiłem. Należy do tych uczuciowych i sentymentalnych, przez które skręcam się z zakłopotania. Przez pierwsze dwa tygodnie wszystko szło dobrze. Potem wszyscy dostaliśmy febrę. U niej i u mnie choroba miała lekki przebieg, ale stary Luxmore rozłożył się na dobre. Pewnej nocy — teraz proszę słuchać uważnie — siedziałem przed namiotem. Nagle zobaczyłem profesora idącego chwiejnie w stronę krzaków nad rzeką. Był nieprzytomny i nie wiedział, co robi. Za moment wpadłby do rzeki, a w tym właśnie miejscu nie miał szans ująć z życiem. Nie było czasu biec za nim. Mogłem zrobić tylko jedno. Jak zwykle, miałem strzelbę pod ręką, a strzelam bardzo celnie. Byłem pewien, że trafię go w nogę. I właśnie kiedy się złożyłem, ta idiotyczna baba rzuciła się skądś na mnie wyjąc: „Nie strzelaj, na miłość boską, nie strzelaj”. Złapała mnie za ramię i szarpnęła w chwili, gdy naciskałem spust. Kula trafiła go w plecy i zabiła na miejscu!

Mówię panu, że był to straszny moment. A ta cholerna idiotka zamiast zrozumieć, że jest odpowiedzialna za śmierć męża, niezachwianie wierzyła, że z zimną krwią próbowałem zastrzelić staruszka... z miłości do niej, pomyśleć tylko! Mieliśmy straszną scenę. Ona upierała się, że powinniśmy powiedzieć, że profesor umarł na febrę. Współczułem jej, zwłaszcza kiedy zrozumiałem, że nie zdaje sobie sprawy, co robiła. A musiałaby uprzytomnić to sobie, gdybym ujawnił prawdę. Do tego wstrząsnęła mną nielicho jej całkowita pewność, że jestem w niej zakochany po uszy. To byłaby ładna historia, gdyby ją rozgłosiła! Ostatecznie zgodziłem się na to, czego chciała, częściowo dla świętego spokoju, przyznaję. W końcu nie miało to większego znaczenia, febra czy wypadek. I nie chciałem narobić kobiecie masy nieprzyjemności, mimo że na to zasługiwała. Następnego dnia powiedziałem, że profesor zmarł na febrę i pochowaliśmy go. Tragarze, naturalnie, znali prawdę, ale wszyscy mnie uwielbiali i wiedziałem, że jeśli zajdzie potrzeba, potwierdzą pod przysięgą wszystko, cokolwiek powiem. Odtąd wszystkimi siłami starałem się unikać tej kobiety.

Przerwał, potem powiedział spokojnie:

— Oto moja historia, panie Poirot.

Poirot rzekł wolno:

— I to był ten wypadek, o którym wspominał pan Shaitana w czasie obiadu?

Despard przytaknął.

— Musiał usłyszeć o nim od pani Luxmore. Dostyc łątwo wydobyć z niej całą historię. Takie rzeczy go bawiły.

— To mogło być niebezpieczne dla pana być w rękach takiego człowieka jak Shaitana.

Despard wzruszył ramionami.

— Nie obawiałem się Shaitany.

Poirot nie odpowiedział.

— Znowu musi pan przyjąć to na słowo — dorzucił spokojnie Despard. — To prawda, że miałem powód, by życzyć sobie śmierci Shaitany. Cóż, prawda wyszła na jaw. Niech pan z tym robi, co pan chce.

Poirot wyciągnął rękę.

— Wierzę panu, majorze Despard. Nie mam wątpliwości, że zdarzenia w Ameryce Południowej przebiegały dokładnie tak, jak pan to opisuje.

Twarz Despada rozjaśniła się.

— Dzięki — powiedział lakonicznie.

I uściskał gorąco dłoń Poirota.

ROZDZIAŁ XXII

Wizyta w Combeacre

Nadinspektor Battle znajdował się na posterunku policyjnym w Combeacre.

Inspektor Harper, czerwony na twarzy, odpowiadał na jego pytania. Miał powolny, miły głos i mówił z lokalnym akcentem.

— Tak to było, sir. Wydawało się jasne jak słońce. Doktor był przekonany. Wszyscy byli przekonani. Dlaczego nie?

— Proszę podać mi fakty dotyczące tych dwóch butelek. Chciałbym mieć jasność w tej sprawie.

— W szafce stała butelka syropu figowego. Brała go chyba regularnie. A obok — farba do kapeluszy, którą jej towarzyszka, młoda dama, odświeżała dla niej ogrodowy kapelusz. Zostało jeszcze sporo farby, a butelka pękła i sama pani Benson powiedziała: „Wlej ją do starej butelki po syropie figowym”. Wszystko się zgadza. Służące słyszały, jak to mówiła. Panna Meredith, służąca i pokojówka — wszystkie były zgodne. Farbę wlano do starej butelki po syropie figowym i postawiono na górnej półce w łazience, razem z innymi rupieciami.

— Bez nowej etykiety?

— Bez. Oczywiście to nieostrożność; koroner też tak powiedział.

— Proszę dalej.

— Tego właśnie wieczoru pani Benson weszła do łazienki, wzięła butelkę syropu figowego, nalała sobie sporą dawkę i wypła ją. Od razu zorientowała się, co się stało, i posłała natychmiast po lekarza. Ten wyszedł akurat do chorego i upłynęło trochę czasu, zanim się zjawił. Zrobili co się dało, ale zmarła.

— Sama uważała to za wypadek?

— O tak, wszyscy tak myśleli. Bez wątplenia pomieszały się flaszki. Myśleliśmy, że to

służąca przestawiła je podczas odkurzania, ale dziewczyna przysięgała, że nie.

Nadinspektor Battle milczał. Taka łatwa sprawa. Wystarczyło, przestawić butelki. Trudno wysledzić źródło takiej pomyłki. Być może posłużono się rękawiczkami, a w każdym razie ostatnie odciski palców należały do samej pani Benson. Tak, takie łatwe, takie proste. Ale mimo wszystko — morderstwo! Zbrodnia doskonała.

Ale dlaczego? Wciąż go to intrygowało — dlaczego?

— Ta młoda dama — towarzyszka, panna Meredith — otrzymała jakieś pieniądze po śmierci pani Benson? — zapytał.

Inspektor Harper potrząsnął głową.

— Nie. Była tam tylko około sześciu tygodni. Myślę, że nie było jej łatwo. Z reguły panienki nie zostawały tam długo.

Battle był zaintrygowany. Młode panienki nie zostawały długo. Najwyraźniej trudna kobieta. Lecz jeżeli Anna Meredith była nieszczęśliwa, mogła odejść, jak jej poprzedniczki. Nie musiała zabijać, byłaby to bezsensowna mściwość. Potrząsnął głową.

— Kto dostał pieniądze pani Benson?

— Nie potrafię powiedzieć, sir, chyba siostrzeńcy i siostrzenice. Nie było tego wiele, zwłaszcza jak zostały podzielone. Słyszałem, że większość jej dochodów to dożywotnia pensja.

Zatem nic z tego. A jednak pani Benson umarła. I Anna Meredith zataiła, że była w Combeacre.

Battle był niezadowolony.

Przeprowadził staranne śledztwo. Doktor był całkowicie pewny tego, co powiedział. Żadnego powodu, aby wierzyć, że nie był to wypadek. Towarzyszka pani Benson — doktor nie pamiętał jej nazwiska — to miła dziewczyna, ale dosyć nieporadna. Była bardzo przestraszona i zmartwiona. Battle rozmawiał jeszcze z pastorem. Pamiętał on ostatnią towarzyszkę pani Benson: miłą, skromną dziewczynę. Zawsze przychodzili razem do kościoła. Niewiasta była nie tyle trudna, co troszkę surowa dla młodych ludzi. Była nieugiętą chrześcijanką.

Battle rozmawiał z jeszcze kilkoma osobami, ale nie dowiedział się niczego ważnego. Annę Meredith ledwie pamiętano. Przypominano sobie, że mieszkała z nimi parę miesięcy — to było wszystko. Nie miała osobowości, która mogłaby zostawić trwale wrażenie. Przyjemna mała — tak ją wszyscy określali.

Pani Benson ukazywała się nieco wyraźniej. Przekonana o swojej słuszności herod-baba, wymagająca ciężkiej pracy i zmieniająca często służbę. Nieprzyjemna kobieta, ale to wszystko.

Niemniej nadinspektor Battle opuścił Combeacre pod głębokim wrażeniem, że z jakichś nieznanых mu powodów Anna Meredith zamordowała z premedytacją swoją chlebodawczynię.

ROZDZIAŁ XXIII

Co zdradziły jedwabne pończochy

Kiedy pociąg nadinspektora Battle'a pędził przez Anglię na wschód, Anna Meredith i Rhoda Dawes znajdowały się w bawialni Herkulesa Poirota.

Anna nie miała ochoty przyjąć zaproszenia, które nadeszło ranną pocztą, ale rada przyjaciółki przeważyła.

— Anno, jesteś tchórzem, tak, tchórzem. Nie zachowuj się jak struś, chowając głowę w piasek. Zdarzyło się morderstwo i jesteś jedną z podejrzanych — prawdopodobnie najmniej podejrzaną.

— To byłoby najgorsze — powiedziała Anna, z błyskiem humoru. — Sprawcą okazuje się zawsze najmniej podejrzana osoba.

— Tak jednak jest — ciągnęła Rhoda nie poruszona wtrętem.

— Nie kręć nosem, jakby morderstwo miało brzydki zapach i nic wspólnego z tobą.

— Nie ma nic wspólnego ze mną — upierała się Anna. — Mam na myśli, że chętnie odpowiem na wszelkie pytania, jakie zechce mi zadać policja, ale ten człowiek, ten Herkules Poirot, nie jest z policji.

— A co on pomyśli, jeśli spróbujesz się wykręcić? Pomyśli, że trzęsiesz się ze strachu, bo jesteś winna.

— Na pewno nie trzęsę się ze strachu — odparła Anna zimno.

— Kochanie, wiem o tym. Nie potrafiłabyś zamordować nikogo, nawet gdybyś usiłowała. Ale okropni, podejrzliwi obcokrajowcy tego nie wiedzą. Uważam, że powinnyśmy pójść grzecznie z wizytą. W przeciwnym razie przyjedzie tu i spróbuje wypompuwać służbę.

— Nie mamy służby.

— Mamy matkę Astwell. Ona przy każdym potrafi strzepić język. Chodź, Anno,

idziemy. To naprawdę będzie zabawne.

— Nie rozumiem, czemu on chce mnie zobaczyć.

— Oczywiście, żeby zaimponować policji — powiedziała Rhoda niecierpliwie. — Sądzę, że amatorzy zawsze tak robią. Dochodzą do wniosku, że Scotland Yard to wszystko durnie i bezmózgowce.

— Myślisz, że ten Poirot jest bystry?

— Nie wygląda na Sherlocka. Przypuszczam, że w swoim czasie był zupełnie dobry. Naturalnie teraz jest ple-ple. Musi mieć co najmniej sześćdziesiątkę. Och, Anno, spotkajmy się ze staruszką. Może opowiedzieć nam sensacje o pozostałych.

— Dobrze się tym bawisz, Rhodo.

— Przypuszczam, że dlatego, ponieważ mnie to nie dotyczy — rzekła Rhoda. — Byłaś głupia, że nie popatrzyłaś we właściwym momencie. Gdybyś to zrobiła, mogłabyś żyć jak księżniczka do końca życia z szantażu.

Tak więc stało się, że około trzeciej tego samego dnia Anna Meredith i Rhoda Dawes siedziały sztywno w fotelach w schludnym pokoju Poirota i popijały likier z czarnej porzeczki (który nie smakował im zbyt, ale były zbyt dobrze wychowane, aby odmówić) ze staroświeckich lampek.

— To ogromnie miło, że przyjęły panie moje zaproszenie — powiedział Poirot.

— Chętnie pomogę panu w miarę moich możliwości — mruknęła Anna niewyraźnie.

— To w pewnej mierze sprawa pamięci.

— Pamięci?

— Tak, pytałem już panią Lorrimer, doktora Robertsa i majora Desparda. Niestety, żadne z nich nie dało mi odpowiedzi, którą miałem nadzieję uzyskać.

Anna w dalszym ciągu patrzyła na niego pytająco.

— Chciałem, *mademoiselle*, aby wróciła pani myślą do wieczoru w salonie pana Shaitany.

Po twarzy Anny przemknął cień znużenia. Czy nigdy nie uwolni się od tego koszmaru?

Poirot zauważył to.

— *C'est pénible, nest ce pas?** To zupełnie naturalne. Pani, taka młoda, po raz pierwszy zetknęła się z horrorem. Prawdopodobnie pani nigdy nie była świadkiem nagłej śmierci.

Rhoda niespokojnie poruszyła się w fotelu.

— A więc? — spytała Anna.

— Proszę cofnąć się myślą do tamtej chwili. Chcę, aby powiedziała mi pani, co zapamiętała z pokoju Shaitany.

* *fr.* To przykre, prawda?

Anna popatrzyła na niego podejrzliwie.

— Czy dobrze pana rozumiem?

— Ależ tak. Krzesła, stoły, ozdoby, tapeta, zasłony, przybory kominkowe. Pani to wszystko widziała. Nie potrafi pani tego opisać?

— Spróbuję. — Anna zmarszczyła brwi. — To trudne. Naprawdę nie sądzę, że sobie przypomnę. Nie potrafię powiedzieć nic o tapecie. Wydaje mi się, że ściany były pomalowane na jakiś nie rzucający się w oczy kolor. Na podłodze leżały dywany. Stał też fortepian. — Potrząsnęła głową. — Nie pamiętam nic więcej.

— Ale pani nawet nie próbuje, *mademoiselle*. Musi pani pamiętać niektóre przedmioty, ozdoby, jakieś antyki.

— Po drugiej stronie, przy oknie, stała gablotka z egipską biżuterią — rzekła powoli Anna.

— Ach tak, po przeciwnej stronie od stołu, na którym leżał sztylecik.

Anna popatrzyła na niego.

— Nie wiem, na którym stole leżał.

„*Pas si bête*,* skomentował Poirot do siebie. — Ale z drugiej strony, nie przechytryz Herkulesa Poirota! Gdyby znała mnie lepiej, zrozumiałaby, że ja nigdy nie założyłbym tak oczywistej pułapki jak ta!”

Głośno powiedział:

— Gablotka z egipską biżuterią, powiada pani?

— Tak, niektóre okazy były śliczne — odparła z entuzjazmem Anna. — Błękitna i czerwona emalia. Parę ładnych pierścionków. I skarabeusze. Ale za tym nie przepadam.

— To był wielki kolekcjoner — mruknął Poirot.

— Tak, chyba tak — zgodziła się Anna. — Pokój był zapchany przedmiotami. Trudno byłoby to wszystko obejrzeć.

— Więc nic więcej nie zwróciło pani uwagi?

Anna uśmiechnęła się lekko.

— Tylko waza chryzantem, które pilnie wymagały zmiany wody.

— Ach tak, służba nie zawsze jest dokładna.

Poirot milczał przez chwilę.

— Obawiam się, że nie zauważyłam tego, co miałam dostrzec.

Poirot uśmiechnął się miło.

— Nic nie szkodzi, *mon enfant*** Szansa i tak była znikoma. Proszę mi powiedzieć, czy widziała pani ostatnio zacnego majora Desparda?

Twarz dziewczyny delikatnie się zarumieniła.

* *fr.* Nieglupia.

** *fr.* Moje dziecko.

— Powiedział, że wkrótce znowu nas odwiedzi.

— W każdym razie on tego nie zrobił! — wtrąciła porywczo Rhoda. — Anna i ja jesteśmy całkiem pewne.

Poirot mrugnął do nich.

— Jak to dobrze przekonać dwie tak czarujące młode damy o swej niewinności.

„Boże — pomyślała Rhoda. — Znowu górę bierze jego francuski charakter, a to wprawia mnie w zakłopotanie.”

Wstała i zaczęła oglądać wiszące na ścianie akwaforty.

— Są bardzo ładne — powiedziała.

— Nie są złe — zgodził się Poirot.

Zawahał się, patrząc na Annę.

— *Mademoiselle* — powiedział wreszcie. — Zastanawiam się, czy mogę prosić panią o zrobienie mi wielkiej łaski. Och, nic związanego z morderstwem. To prywatna prośba.

Anna lekko się zdziwiła. Poirot ciągnął, nieco zakłopotany.

— Rozumie pani, nadchodzi Boże Narodzenie. Kupiłem prezenty dla wielu siostrzenic, bratanic i ich dzieci. Jest mi trochę trudno wybrać właśnie to, co w dzisiejszych czasach lubią młode damy. Moje gusty, niestety, są nieco staroświeckie.

— Tak? — spytała Anna uprzejmie.

— Jedwabne pończochy... czy jedwabne pończochy są pożądanym prezentem?

— Tak, ogromnie. To zawsze miło dostać pończochy.

— Pani mnie uspokaja. Proszę o przysługę. Nabyłem pończochy w kilku różnych kolorach. Tutaj jest piętnaście lub szesnaście par. Byłaby pani tak miła przejrzeć je i odłożyć pół tuzina tych, które wydają się pani najbardziej atrakcyjne?

— Chętnie — powiedziała Anna wstając z uśmiechem.

Poirot skierował ją do stołu w niszy, stołu, na którym leżały porozrzucane pończochy, kilka par futrzanych rękawiczek, kalendarzyki i bombonierki. Ten bałagan — o czym dziewczyna nie wiedziała — pozostawał w dziwnej sprzeczności z systematycznością Poirota i jego znanym zamiłowaniem do porządku.

— Wysyłam paczki à l'avance* — wyjaśnił Poirot. — Proszę, *mademoiselle*, oto pończochy. Błagam panią o wybranie sześciu par.

Odwrócił się, odciągając Rhodę, która szła za nim.

— Dla pani, *mademoiselle*, mam małą duchową uczkę, która — jak przypuszczam — nie byłaby uczką dla panny Meredith.

— Co to jest? — zawołała Rhoda.

Ściszył głos.

— Nóż, *mademoiselle*, którym kiedyś dwanaście osób zasztyletowało człowieka.

* *fr.* Wcześniej.

Został mi dany na pamiątkę przez Campagnie Internationale des Wagons Lits.

— Straszne! — krzyknęła Anna.

— Proszę mi pokazać! — zawołała Rhoda.

Poirot zaprowadził ją do drugiego pokoju.

Wrócili po trzech minutach. Anna podeszła do nich i powiedziała:

— Myślę, że te są najładniejsze, panie Poirot. Te dwie pary mają odpowiedni odcień na wieczór, a te jaśniejsze przydadzą się w lecie, kiedy wieczorem jest jasno.

— *Mille remerciements* mademoiselle.*

Zaproponował im jeszcze trochę likieru, ale dziewczyny odmówiły.

W końcu odprowadził je do drzwi, cały czas wesoło rozprawiając.

Kiedy wyszły, wrócił do pokoju i podszedł prosto do stołu. Pończochy leżały w nieładzie. Poirot przeliczył wybrane pary, potem sprawdził pozostałe.

Kupił dziewiętnaście par. Teraz było ich tylko siedemnaście.

Pokiwał powoli głową.

* *fr.* Bardzo dziękuję.

ROZDZIAŁ XXIV

Eliminacja trzech morderców?

Po przybyciu do Londynu nadinspektor Battle udał się prosto do Poirota. Anna i Rhoda wyszły jakąś godzinę wcześniej.

Battle pokrótce przedstawił rezultat swoich poszukiwań w Devonshire.

— Byliście na tropie, nie ma wątpliwości — zakończył. Do tego czynił aluzję Shaitana, gdy wspominał o wypadku w domu. Nie mam jednak motywu. Czemu zabiła tę kobietę?

— Myślę, że potrafię panu pomóc, przyjacielu.

— Niech pan mówi, Poirot.

— Dziś po południu przeprowadziłem mały eksperyment. Nakłoniłem *mademoiselle* i jej przyjaciółkę do przyjsścia. Zadałem jak zwykle pytanie, co było w pokoju Shaitany.

Battle popatrzył na niego z zaciekawieniem.

— Bardzo pan lubi to pytanie.

— Tak, jest bardzo użyteczne. Dużo mi mówi. Panna Meredith była podejrzliwa, bardzo podejrzliwa. Ta młoda dama nie jest łatwowierna. Więc poczciwy Herkules Poirot stosuje jeden ze swoich najlepszych trików. Zakłada niezręczną, amatorską pułapkę. *Mademoiselle* wspomina o gablotce z biżuterią. Pytam, czy to nie ta naprzeciw stolika ze sztyletem. *Mademoiselle* nie daje się złapać. Sprytnie unika pułapki. Jest zadowolona z siebie i jej czujność słabnie. Myśli, że zaprosiłem ją, by wydobyć z niej przyznanie się, że wiedziała gdzie był nóż. Poprawia się jej samopoczucie, sądzi, że mnie pokonała. Swobodnie opowiada o biżuterii. Nic więcej nie zapamiętała z tego pokoju — z wyjątkiem wazonu chryzantem, w którym należało zmienić wodę.

— No i? — ponaglił Battle.

— Cóż, to jest znaczące. Przypuśćmy, że nie wiemy nic o tej dziewczynie. Jej słowa dają nam klucz do charakteru. Zauważyła kwiaty. Może je lubi? Nie, ponieważ nie wspomniała o wielkiej wazie wczesnych tulipanów, która natychmiast przyciągnęłaby uwagę miłośnika kwiatów. Nie, to mówi płatna osoba do towarzystwa — dziewczyna, której obowiązkiem było zmienianie wody w wazonach. Jednocześnie dziewczyna kocha biżuterię. Czy nie jest to co najmniej sugestywne?

— Ach — powiedział Battle — zacznym rozumieć, do czego pan zmierza.

— Właśnie. Jak kiedyś panu powiedziałem, wykładam karty na stół. Kiedy pani Oliver zaskoczyła nas swoim odkryciem, moja myśl skierowała się natychmiast ku pewnej ważnej sprawie. Morderstwo nie mogło być popełnione dla zysku, ponieważ panna Meredith później nadal musiała zarabiać na życie. Zatem z jakiego powodu? Zastanowiłem się nad charakterem *mademoiselle*, choć znałem ją powierzchownie. Dość nieśmiała młoda dziewczyna, biedna ale dobrze ubrana, lubiąca ładne rzeczy... Usposobienie raczej złodzieja niż mordercy. Dlatego natychmiast zapytałem, czy pani Eldon lubiła porządek. Pan odpowiedział, że nie, że była niedbała. Stworzyłem zatem pewną hipotezę. Przypuśćmy, że Anna Meredith była dziewczyną o słabym charakterze, taką, która kradnie drobiazgi z dużych magazynów. Była biedna, a jednak lubiła ładne rzeczy. Parę razy przywłaszczyła więc sobie coś należącego do jej chlebowczyni. Może broszkę, parę szylingów reszty, sznurek paciorków. Pani Eldon, nieporządna, niedbała, mogła złożyć te zguby na karb własnego roztrzępania. A teraz wyobraźmy sobie inny typ pracodawczyni — osobę, która zauważyła i oskarżyła Annę Meredith o kradzież. To mogłoby stanowić motyw morderstwa. Jak powiedziałem owego wieczoru, panna Meredith mogłaby popełnić morderstwo jedynie ze strachu. Wie, że chlebowczyni jest w stanie udowodnić jej kradzież. Uratować ją może zatem tylko śmierć tej kobiety. Zamienia więc butelki i pani Benson umiera, jak na ironię przekonana, że sama popełniła omyłkę i nie podejrzewa ani przez chwilę, że dziewczyna mogła maczać w tym palce.

— Możliwe — powiedział nadinspektor Battle. — To wprawdzie tylko hipoteza, ale do przyjęcia.

— Trochę więcej niż do przyjęcia, przyjacielu, to bardzo prawdopodobna hipoteza. Dziś po południu zastawiłem małą pułapkę z ładną przynętą. Prawdziwą pułapkę! Jeżeli to co podejrzewam jest prawdą, Anna Meredith nigdy nie będzie w stanie oprzeć się pokusie przywłaszczenia kosztownej pary pończoch! Najpierw więc dokładnie ją powiadomiłem, że nie wiem, ile dokładnie par pończoch kupiłem, poprosiłem o pomoc w wyborze i wyszedłem z pokoju zostawiając ją samą. Teraz mam siedemnaście par zamiast dziewiętnastu, a dwie pary wyszły w torebce Anny Meredith.

— Fiu! — gwizdnął nadinspektor — że też podjęła takie ryzyko!

— *Pas du tout*. O co, jak sądzi, ją podejrzewam? O morderstwo. Czy zatem ryzyku-

je kradnąc jedwabne pończochy? Nie szukam złodzieja. A poza tym złodziej zawsze jest przekonany, że mu się uda.

Battle skinął głową.

— To prawda. Niewiarygodna głupota. Póty dzban wodę nosi... Między nami mówiąc, myślę, że dotarliśmy do prawdy. Anna Meredith została przyłapana na kradzieży i zamieniła butelki na półce. Wiemy, że to było morderstwo, ale niech mnie diabli, jeśli potrafimy je kiedykolwiek udowodnić. Uwieńczona powodzeniem zbrodnia numer dwa. Robertowi się upiekło. Annie Meredith się upiekło. A co z Shaitaną? Czy Anna Meredith zabiła Shaitanę?

Milczał chwilę, potem potrząsnął głową.

— To nie pasuje — zauważył. — Ona niechętnie podjęłaby ryzyko. Zamienić butelki — tak. Wiedziała, że nikt nie potrafiłby jej tego przyłatać. Było to absolutnie bezpieczne, choć oczywiście, mogło się nie udać. Pani Benson mogła się zorientować, zanim wypić, albo mogła nie umrzeć. Panna Meredith popełniła... nazwijmy to morderstwem z nadzieją na sukces. Shaitana to zupełnie inna para kaloszy. To było rozmyślnie, bezcelne, celowe morderstwo.

— Zgadzam się z panem. Te zbrodnie się różnią.

Battle potarł nos.

— To zdaje się ją eliminować, jeśli chodzi o Shaitanę. Roberts i dziewczyna, oboje skreśleni z naszej listy. A co z Despardem? Miał szczęście z tą Luxmore?

Poirot zrelacjonował swoje przygody z poprzedniego dnia.

Battle wyszczerzył zęby.

— Znam ten typ. Nie można odróżnić tego, co pamiętają, od tego, co wymyślają.

Poirot opisał wizytę Despada i historię, jaką ten opowiedział.

— Wierzy mu pan? — zapytał szorstko Battle.

— Wierzę.

Battle westchnął.

— Ja również. To nie jest typ, który strzela do człowieka, ponieważ chce mu zabrać żonę. Po cóż są rozwody? Ponadto Despard nie ma zawodu, który by na tym ucierpiał. Jestem zdania, że nasz nieodżałowany pan Shaitana tym razem trafił kulą w płot. Morderca numer trzy nie jest wcale mordercą.

Popatrzył na Poirota.

— Zostaje zatem...?

— Pani Lorrimer — odparł Poirot.

Zadzwonił telefon. Poirot podniósł słuchawkę i chwilę rozmawiał.

Gdy skończył, jego twarz była bardzo poważna.

— Dzwoniła pani Lorrimer — powiedział. — Chce, abym zaraz do niej przyszedł.

Detektyw i nadinspektor spojrzeli na siebie. Battle powoli potrząsnął głową.

— Czyżbym był w błędzie? — zapytał. — A może pan spodziewał się czegoś takiego?

— Nie wykluczałem tego — odparł Herkules Poirot. — To wszystko.

— Niech pan lepiej idzie — powiedział Battle. — Może wreszcie dowie się pan prawdy.

ROZDZIAŁ XXV

Mówi pani Lorrimer

Nie był to pogodny dzień i pokój pani Lorrimer wyglądał posępnie i smutno. Ona sama była blada i wydawała się znacznie starsza niż podczas ostatniej wizyty Poirota.

Przywitała go jednak ze zwykłą pewnością siebie.

— To bardzo miło, że przyszedł pan tak szybko. Wiem, że jest pan zajęтым człowiekiem.

— Do usług, *madame* — powiedział Poirot z lekkim skinieniem głowy.

Pani Lorrimer nacisnęła dzwonek przy kominku.

— Zaraz przyniosą nam herbatę. Nie wiem, jakie jest pana zdanie, ale ja uważam, że nie należy przechodzić do zwierzeń bez skromnego przygotowania terenu.

— Zatem będą zwierzenia, *madame*?

Pani Lorrimer nie odpowiedziała, ponieważ w tej chwili zjawiała się pokojówka. Kiedy otrzymała polecenie i wyszła, pani Lorrimer rzekła sucho:

— W czasie ostatniej wizyty przyrzekł pan przyjść na moje wezwanie. Myślę, że domyślał się pan, co mogłoby skłonić mnie do posłania po pana.

Na razie Poirot nie dowiedział się nic więcej. Przyniesiono herbatę. Pani Lorrimer i jej gość pili ją powoli, rozmawiając na tematy dnia.

— Słyszałem, że pani i panna Meredith poszły któregoś dnia razem na podwieczorek — zauważył detektyw.

— Rzeczywiście. Widział pan ją ostatnio?

— Dziś po południu.

— Była w Londynie czy pan pojechał do Wallingford?

— Ona i jej przyjaciółka były tak miłe i złożyły mi wizytę.

— Ach, przyjaciółka. Nie znam jej.

— To morderstwo spowodowało *rapprochement** — powiedział uśmiechając się lekko Poirot. — Pani i panna Meredith udają się razem na herbatę. Major Despard również podtrzymuje znajomość z panną Meredith. Doktor Roberts jest może jedynym, który trzyma się z daleka.

— Widziałam go kiedyś na brydżu — rzekła pani Lorrimer. — Zdawał się być w zwykłym, pogodnym nastroju.

— Oddany brydżowi jak zwykle?

— Tak, wciąż skandalicznie licytuje i bardzo często mu się nie udaje. — Milczała przez chwilę, potem spytała: — Widział pan ostatnio nadinspektora Battle'a?

— Dziś po południu. Był u mnie, kiedy pani zadzwoniła.

Oślaniając ręką twarz od ognia, pani Lorrimer spytała:

— Jak mu idzie?

— Zacny Battle nie jest zbyt szybki — odparł poważnie Poirot. — Posuwa się powoli, ale pewnie w końcu dojdzie, *madame*.

— Ciekawe. — Jej usta wykrzywił ironiczny uśmieszek. — Poświęcił mi dużo uwagi. Myślę, że przebadał moje życie aż do wczesnej młodości. Wypytywał przyjaciół, rozmawiał ze służbą — z tymi, których zatrudniam teraz, i tymi, którzy pracowali u mnie w poprzednich latach. Nie wiem, co miał nadzieje znaleźć, ale nie znalazł nic. Mógł równie dobrze nic nie sprawdzać. Powiedziałam mu prawdę. Znałam pana Shaitanę bardzo słabo. Spotkałam go w Luksorze, jak mówiłam, i byliśmy tylko znajomymi. Nadinspektor Battle nie jest w stanie uciec od tych faktów.

— Być może nie — powiedział Poirot.

— A pan? Nie próbował się pan czegoś dowiedzieć?

— O pani, *madame*?

— To właśnie mam na myśli.

— Nic by to nie dało.

— Co pan ma na myśli, panie Poirot?

— Będę zupełnie szczery, *madame*. Na początku stwierdziłem, że z czterech osób, które znajdowały się w pokoju pana Shaitany, pani ma najlepszy rozum, najwięcej zimnej krwi, najbardziej logiczny umysł. Gdybym miał się założyć, kto z was czworga ma największą szansę zaplanować i popełnić morderstwo, postawiłbym na panią, *madame*.

Pani Lorrimer uniosła brwi.

— Zapewne powinnam się czuć pochlebiona? — zapytała sucho.

Poirot ciągnął, nie zwracając uwagi na ten przerywnik.

— Aby zbrodnia się powiodła, zwykle trzeba z góry obmyślić każdy szczegół. Należy wszystko wziąć pod uwagę. Dobrze wybrać czas i miejsce. Doktor Roberts mógłby sfu-

* *fr.* Zbliżenie.

szerować przez pośpiech i nadmierną pewność siebie; major Despard byłby prawdopodobnie zbyt ostrożny, żeby popełnić morderstwo; panna Meredith mogłaby stracić głowę. Pani, *madame*, nie zrobiłaby żadnej z tych rzeczy. Pani byłaby chłodna, pani myśl — jasna, ma pani wystarczająco zdecydowany charakter, nie traci głowy. I mogłaby pani być na tyle opętana pragnieniem pozbycia się kogoś, aby w pewnym stopniu zlekceważyć rozważę.

Pani Lorrimer siedziała milcząc, a na jej wargach błąkał się dziwny uśmiech. Wreszcie powiedziała:

— A więc to pan myśli o mnie. Że jestem kobietą, która może popełnić zbrodnię doskonałą?

— Nie czuje się pani dotknięta tym pomysłem?

— Uważam, że to interesujące. Więc to panu przyszedł do głowy pomysł, że jestem jedyną osobą, która mogłaby zamordować Shaitanę i nie wpaść?

Poirot powiedział wolno:

— Jest pewna trudność, *madame*.

— Naprawdę? Jaka?

— Mogła pani zauważyć, że przed chwilą powiedziałem mniej więcej: „Aby zbrodnia została uwieńczona powodzeniem, zwykle trzeba z góry obmyślić każdy szczegół.” „Zwykle” jest słowem, na które chciałbym zwrócić pani uwagę. Istnieje też inny rodzaj udanego morderstwa. Gdy się komuś powie niespodzianie: „Rzuć kamieniem, a zobaczymy czy zdołasz trafić w drzewo”, i osoba ta natychmiast, bez namysłu rzuca — zaskakująco często trafia w drzewo. Jednak, kiedy próbuje powtórzyć rzut, nie jest to łatwe — ponieważ zaczyna myśleć. „Tyle, nie tyle, odrobinę w prawo, trochę w lewo”. W pierwszym wypadku działanie było prawie nieświadome, ciało było posłuszne umysłowi, tak jak to jest u zwierząt. *Eh bien, madame*, jest taki rodzaj zbrodni, zbrodni popełnionej spontanicznie, inspiracja, błysk geniuszu, nie ma czasu na wahanie czy myślenie. I tak, *madame*, zginął pan Shaitana. Nagła, okropna konieczność, błysk natchnienia, szybkie wykonanie.

Potrząsnął głową.

— A to, *madame*, nie jest wcale pani rodzaj zbrodni. Gdyby pani zabiła Shaitanę, byłoby to morderstwo z premedytacją.

— Rozumiem. — Jej ręka poruszała się lekko, osłaniając twarz przed ciepłym płynącym z kominka. — To nie była zbrodnia z premedytacją, więc nie mogłam go zabić — co, panie Poirot?

Poirot skłonił się.

— Tak jest, *madame*.

— A jednak... — pochyliła się ku niemu — zabiłam Shaitanę, panie Poirot...

ROZDZIAŁ XXVI

Prawda

Oboje bardzo długo milczeli. W pokoju pociemniało. Zamigotał ogień. Pani Lorrimer i Herkules Poirot nie patrzyli na siebie, tylko na ogień w kominku. Czas się zatrzymał. Wreszcie Herkules Poirot westchnął i poruszył się.

— A więc to tak... Dlaczego zabiła go pani, *madame*?

— Myślę, że pan wie, panie Poirot.

— Ponieważ wiedział coś o pani, coś, co zdarzyło się dawno?

— Tak.

— To była... inna śmierć, *madame*?

Skinęła głową.

— Dlaczego pani mi powiedziała? — zapytał cicho Poirot. — Co spowodowało, że posłała pani po mnie akurat dzisiaj?

— Powiedział pan kiedyś, że mogę to zrobić.

— Tak... to znaczy miałem nadzieję... Wiedziałem, *madame*, że istnieje tylko jeden sposób poznania prawdy, jeśli chodzi o panią — pani wolna wola. Jeśli nie zechce pani mówić, nigdy się pani nie zdradzi. Ale była szansa, że zechce pani mówić.

Pani Lorrimer skinęła głową.

— Mądrze pan to przewidział... znużenie... samotność...

Jej głos zamarł.

Poirot popatrzył na nią ciekawie.

— Więc to dlatego? Tak, rozumiem...

— Jestem sama, zupełnie sama — powiedziała pani Lorrimer. — Nikt nie wie, co to znaczy, o ile nie żyje tak jak ja, ze świadomością tego, co zrobił.

— Czy to będzie impertynencja, *madame*, jeśli wyrażę pani moje współczucie?

— rzekł cicho detektyw.

Pochyliła lekko głowę.

— Dziękuję, panie Poirot.

Znowu nastąpiło milczenie, które przerwał Poirot.

— Mam rozumieć, *madame*, że pani wzięła słowa wypowiedziane przez pana Shaitanę podczas obiadu za groźbę skierowaną do pani?

— Natychmiast pojęłam, że mówił tak, aby zrozumiała go winna osoba. Czyli ja. Wzmianka, że kobiecą bronią jest trucizna, była przeznaczona dla mnie. On wiedział. Kiedyś już to podejrzewałam. Sprowadził rozmowę na temat pewnego głośnego procesu i wtedy zobaczyłam, że mnie obserwuje. Poznałam to po jego oczach. Ale dopiero tego dnia byłam zupełnie pewna.

— I była pani także pewna jego przyszłych zamiarów?

— Trudno przypuszczać, że obecność nadinspektora Battle'a i pana była przypadkowa — powiedziała sucho pani Lorrimer. — Pomyślałam, że Shaitana zamierza zareklamować własną inteligencję i wykazać wam obu, że odkrył coś, czego nikt nie podejrzewał.

— Kiedy podjęła pani decyzję działania?

Pani Lorrimer zawahała się.

— Nie przypominam sobie, kiedy pomysł przyszedł mi do głowy — rzekła. — Zauważyłam sztylet, zanim poszliśmy na obiad. Kiedy wróciliśmy do salonu, wsunęłam go do rękawa. Postarałam się, by nikt mnie nie widział.

— Nie wątpię, że było to zrobione zręcznie.

— Właśnie wtedy zdecydowałam, co właściwie chcę zrobić. Pozostało tylko wykonanie. Sprawa była ryzykowna, ale sądziłam, że warto spróbować.

— Dała znać o sobie pani zimna krew. Zauważyła pani szansę. Tak, rozumiem.

— Zaczęliśmy grać w brydża — kontynuowała pani Lorrimer. Jej głos był chłodny i nie zdradzał uczuć. — Wreszcie pojawiła się sposobność. Wykładałam się. Podeszłam do kominka. Shaitana był pogrążony we śnie. Popatrzyłam na pozostałych — wszystkich pochłonęła gra. Nachyliłam się... i zrobiłam to...

Jej głos zadrżał, ale pani Lorrimer natychmiast się opanowała.

— Odezwałam się do niego. Przyszło mi do głowy, że to stworzy mi pewne alibi. Zrobiłam uwagę na temat ognia, a potem udając, że mi odpowiedział, odparłam coś w rodzaju: „Zgadzam się z panem. Ja też nie lubię kaloryferów”.

— On w ogóle nie krzyknął?

— Nie. Wydaje mi się, że chrząknął — to wszystko. Z pewnej odległości można to było wziąć za słowa.

— A potem?

— A potem wróciłam do stolika brydżowego. Właśnie rozgrywano ostatnią lewę.

— Pani usiadła i podjęła grę?

— Tak.

— Z wystarczającym zainteresowaniem, aby móc powtórzyć mi prawie wszystkie odżywki i rozgrywki w dwa dni później?

— Tak — powiedziała pani Lorrimer.

— *Epatant!* — wykrzyknął Herkules Poirot.

Odchylił się w fotelu. Kiwnął parę razy głową, a potem nią potrząsnął.

— Jest jeszcze coś, *madame*, czego nie rozumiem.

— Tak?

— Wydaje mi się, że przeoczyłem pewien czynnik. Jest pani kobietą, która wszystko starannie rozważa. Postanawia pani, że z jakiegoś powodu podejmie pani olbrzymie ryzyko. Wszystko odbywa się pomyślnie. A przed upływem dwóch tygodni sama się pani przyznaje. Szczerze mówiąc, nie brzmi to dla mnie prawdziwie.

Dziwny uśmieszek wykrzywił jej wargi.

— Ma pan rację, panie Poirot, jest jeden czynnik, którego pan nie zna. Czy panna Meredith powiedziała panu, gdzie mnie spotkała?

— Zdaje się, że w pobliżu mieszkania pani Oliver.

— Możliwe. Pytałam pana o nazwę ulicy. Anna Meredith spotkała mnie na Harley Street.

— Ach! — popatrzył na nią uważnie. — Zaczynam rozumieć.

— Byłam u specjalisty. Powiedział mi to, co już podejrzewałam. — Uśmiechnęła się szerzej. W jej uśmiechu nie było goryczy. — Nie będę już długo grać w brydża, panie Poirot. Och, nie powiedział mi tego wprost, złagodził trochę prawdę. Przy wielkim staraniu itd., itd., mogłabym żyć jeszcze parę lat. Ale ja nie podejmę wielkich starań. Nie należę do takich kobiet.

— Tak, tak, zaczynam rozumieć — powtórzył Poirot.

— Widzi pan, to wszystko zmienia. Miesiąc, może dwa — nie więcej. I wtedy, kiedy wyszłam od lekarza, zobaczyłam pannę Meredith. Zaprosiłam ją na herbatę. — Umilkła. Po chwili podjęła na nowo. — Nie jestem, mimo wszystko, całkiem złą kobietą. Przez cały czas kiedy byliśmy razem, zastanawiałam się. Nie tylko pozbawiłam życia Shaitanę (z tym nic już nie da się zrobić), lecz także wpłynęłam niekorzystnie na życie trojga ludzi. Z mojego powodu doktor Roberts, major Despard i Anna Meredith, którzy nigdy mnie nie skrzywdzili, znaleźli się w niebezpieczeństwie. Pomyślałam, że to przynajmniej potrafię naprawić. Nie wiem, czy czułabym się szczególnie poruszona sytuacją doktora Roberta czy majora Despada, choć obaj mieli przed sobą przypuszczalnie znacznie dłuższe życie niż ja. Byli mężczyznami i potrafili do pewnego stopnia zadbać o siebie. Ale kiedy patrzyłam na Annę Meredith...

Zawahała się.

— Anna Meredith jest jeszcze dziewczynką. Ma przed sobą całe życie. Ta nieszczęsna historia mogła je zrujnować. Nie podobało mi się to... A później uprzytomniłam sobie to, co pan wspomniał, że prawda musi wyjść na jaw. Nie byłam w stanie zachować milczenia. Dziś po południu zadzwoniłam...

Czas mijał.

Herkules Poirot, w gęstniejącym mroku wpatrywał się z namysłem w panią Lorrimer. Odwzajemniała to uważne spojrzenie spokojnie, bez oznak nerwowości.

Wreszcie Poirot odezwał się.

— Pani Lorrimer, czy jest pani pewna, absolutnie pewna (zakładam, że powie mi pani prawdę), że morderstwo Shaitany nie było zaplanowane? Że nie obmyśliła pani zbrodni z góry i idąc na obiad nie miała pani szczegółowo ustalonego planu morderstwa?

Pani Lorrimer potrząsnęła gwałtownie głową.

— Nie — powiedziała.

— Nie zaplanowała pani morderstwa wcześniej?

— Na pewno nie.

— Zatem... zatem... pani mnie okłamuje. Pani musi kłamać!

— Doprawdy, panie Poirot — głos pani Lorrimer przeciął powietrze jak nóż — pan się zapomina.

Detektyw zerwał się na nogi. Zaczął gwałtownie chodzić po pokoju, mamrocząc do siebie i wydając okrzyki.

Nagle podszedł do wyłącznika i mówiąc: — Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu — zaświecił światło.

Gdy ponownie usiadł w fotelu, położył ręce na kolanach i utkwiał wzrok w swojej gospodyni.

— Pytanie brzmi — zaczął — czy Herkules Poirot może się mylić.

— Nikt nie ma zawsze racji — odrzekła pani Lorrimer zimno.

— Ja — stwierdził Poirot — zawsze mam rację. Jest to tak niezmiennie, że aż mnie zaskakuje. Ale teraz wygląda na to, że się mylę. To mnie niepokoi. Przypuszczalnie pani wie, co mówi. Pani go zamordowała. Herkules Poirot nie może wiedzieć lepiej niż pani, jak je pani popełniła.

— Fantastyczne i zupełnie absurdalne — powiedziała pani Lorrimer jeszcze chłodniej.

— Zatem jestem szalony. Na pewno jestem szalony. Nie, *sacre d'un petit bonhomme*, nie oszalałem! Mam rację. Muszę mieć rację. Chcę wierzyć, że zabiła pani Shaitanę — ale nie mogła pani go zabić tak, jak to pani opisała. Nikt nie może zrobić rzeczy, która nie leży *dans son caractère!**

* fr. W jego charakterze.

Przerwał. Pani Lorrimer wciągnęła gniewnie powietrze i zagryzła wargi. Zamierzała coś powiedzieć, ale Poirot ją uprzedził.

— Albo zabójstwo Shaitany było zaplanowane wcześniej, albo wcale go pani nie zabiła!

— Rzeczywiście uważam, że pan oszalał, panie Poirot — powiedziała ostro pani Lorrimer. — Jeżeli jestem skłonna przyznać się do popełnienia zbrodni, nie należy oczekiwać, że będę kłamać na temat sposobu jej popełnienia. Jaki byłby w tym sens?

Poirot wstał znowu i przeszedł się naokoło pokoju. Kiedy wrócił na swoje miejsce, jego zachowanie zmieniło się. Był łagodny i miły.

— Pani nie zabiła Shaitany — powiedział miękko. — Teraz to widzę. Rozumiem wszystko. Harley Street. I mała Anna Meredith stojąca smutno na chodniku. Widzę też inną dziewczynę — dawno, dawno temu, dziewczynę, która szła przez życie zawsze sama, strasznie samotna. Tak, widzę to wszystko. Ale jednej rzeczy nie wiem: dlaczego pani jest tak pewna, że zrobiła to Anna Meredith?

— Doprawdy, panie Poirot...

— Nie ma sensu protestować, okłamywać mnie dłużej, *madame*. Mówię pani, że znam prawdę. Znam uczucia, jakie ogarnęły panią tamtego dnia na Harley Street. Nie zrobiłaby pani tego dla doktora Robertsa — o, nie! Nie zrobiłaby pani tego dla majora Desparda, *non plus*. Ale Anna Meredith to co innego. Ma pani dla niej współczucie, ponieważ jest w takiej sytuacji, w jakiej pani kiedyś była. Nie zna pani nawet — jak myślę — powodu morderstwa. Jest pani jednak przekonana, że to ona zabiła. Była pani pewna już pierwszego wieczoru, wieczoru zbrodni, gdy nadinspektor Battle poprosił panią o przedstawienie swojego poglądu na sprawę. Tak, widzi pani, że wiem wszystko. Dalsze okłamywanie mnie jest zupełnie bezużyteczne. Rozumie pani?

Przerwał, czekając na odpowiedź, ale ta nie padła. Skinał głową z satysfakcją.

— Tak, jest pani rozsądna. To dobrze. Spełniła pani bardzo szlachetny czyn, biorąc na siebie winę, aby uratować to dziecko.

— Pan zapomina — powiedziała pani Lorrimer sucho — że nie jestem niewinną kobietą. Przed laty zabiłam męża...

Umilkła.

— Rozumiem — rzekł Poirot. — To sprawiedliwość. Mimo wszystko tylko sprawiedliwość. Ma pani logiczny umysł. Chce pani odpokutować za popełniony czyn. Morderstwo jest morderstwem, nieważne kim jest ofiara. *Madame*, ma pani odwagę i przenikliwość. Ale pytam panią jeszcze raz: Jak mogła pani być pewna? Skąd wiedziała pani, że to Anna Meredith zabiła Shaitanę?

Z piersi pani Lorrimer wyrwało się głębokie westchnienie. Nieustępliwość Poirota pokonała jej opór.

— Ponieważ widziałam ją — powiedziała w końcu.

ROZDZIAŁ XXVII

Naoczny świadek

Poirot wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Odchylił głowę do tyłu i śmiał się jak szalony.

— *Pardon, madame* — powiedział wycierając oczy. — Nie mogę nic na to poradzić. My tu spieramy się i przekonujemy, zadajemy pytania i odwołujemy się do psychologii — a cały czas istnieje naoczny świadek zbrodni. Proszę mi wszystko opowiedzieć, błagam panią.

— To było późnym wieczorem. Anna Meredith była wykładowcą. Wstała i popatrzyła na karty partnera, a potem przeszła się po pokoju. Rozgrywka nie była zbyt interesująca i nie musiałam koncentrować się na kartach. Kiedy doszliśmy do trzech ostatnich lew, spojrzałam w stronę kominka. Anna Meredith nachylała się nad panem Shaitana. Kiedy ją obserwowałam, wyprostowała się, ale jej ręka spoczywała w tym momencie na jego piersi — ten gest wzbudził moje zdziwienie. Więc gdy się wyprostowała, zobaczyłam jej twarz. Rzuciła nam szybkie spojrzenie, w którym wyczytałam winę i strach. Oczywiście wtedy nie wiedziałam, co to znaczy. Byłam jedynie ciekawa co, na Boga, ta dziewczyna mogła robić. Później dowiedziałam się.

Poirot skinął głową.

— Nie zorientowała się, że pani ją widziała?

— Biedne dziecko — powiedziała pani Lorrimer. — Młoda, przerażona. Dopiero zaczyna się droga jej życia. Czy pan się dziwi, że milczałam?

— Nie, nie dziwię się.

— Szczególnie wiedząc, że ja... że ja sama... — zakończyła zdanie wzruszeniem ramion. — Nie mogłam jej oskarżać. To należy do policji.

— Właśnie, właśnie — ale dziś poszła pani dalej.

— Nigdy nie byłam kobietą o zbyt miękkim sercu czy litościwą, ale przypuszczam, że te zalety rozwijają się w późniejszym wieku — powiedziała ponuro pani Lorrimer.
— Zapewniam pana, że nieczęsto działałam pod wpływem współczucia.

— To nie zawsze bezpieczny doradca, *madame*. Panna Meredith jest młoda, delikatna, wydaje się nieśmiała i przerażona — o tak, zdaje się zasługiwać na litość. Ale ja się z tym nie zgadzam. Powiem pani, *madame*, dlaczego Anna Meredith zabiła Shaitanę. Ponieważ wiedział, iż zabiła kiedyś starszą damę, swoją pracodawczynię, która przyłapała ją na drobnej kradzieży.

Pani Lorrimer wydawała się nieco wstrząśnięta.

— Czy to prawda, panie Poirot?

— Nie mam żadnych wątpliwości. Sprawia wrażenie łagodnej, delikatnej, ale jest niebezpieczna. Tam gdzie chodzi o jej własne bezpieczeństwo, wygodę, zagrożenie — uderza zdradziecko. Na tych dwóch zbrodniach się nie skończy. Raczej stanie się bardziej pewna siebie.

— To, co pan mówi, panie Poirot — rzuciła gwałtownie pani Lorrimer — jest straszne. Straszne!

Poirot podniósł się.

— *Madame*, teraz odchodzę. Proszę się zastanowić nad tym, co powiedziałem.

— Zechcę, zaprzeczę wszystkiemu, co panu powiedziałam. Proszę pamiętać, że nie ma pan świadka. Moja relacja o tym, co zobaczyłam tego fatalnego wieczoru, jest naszą prywatną sprawą.

— Nic nie zostanie zrobione bez pani zgody, *madame* — odparł poważnie Poirot.
— I proszę być spokojną — mam swoje metody. Teraz wiem, do czego zmierzam...

Podniósł jej dłoń do warg.

— Niech pani pozwoli powiedzieć sobie, że jest pani niezwykłą kobietą, jedną na tysiąc. Moje uznanie i szacunek. Nie zrobiła pani tego, przed czym nie mogłoby się postrzymać dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć kobiet z tysiąca.

— Co takiego?

— Nie powiedziała mi pani, dlaczego zabiła pani męża, i że jego charakter zupełnie usprawiedliwiał pani postępowanie.

— Doprawdy, panie Poirot — rzekła chłodno — moje racje są wyłącznie moją sprawą.

— *Magnifique!* — zauważył Poirot, jeszcze raz podniósł jej rękę do ust i opuścił pokój.

Na dworze było zimno, więc zaczął się rozglądać za taksówką, ale żadnej nie zobaczył.

Ruszył w kierunku King's Road.

Idąc myślał intensywnie. Od czasu do czasu kiwał głową, raz obejrzał się za sie-

bie. Ujrzał wówczas, iż po schodach do domu pani Lorrimer wchodzi jakaś kobieta. Z figury była bardzo podobna do Anny Meredith. Wahał się przez chwilę, zastanawiając się czy wrócić, ale w końcu nie zdecydował się.

W domu stwierdził, że Battle wyszedł, nie zostawiwszy wiadomości, więc sam do niego zadzwonił.

— Hallo — usłyszał głos nadinspektora. — Ma pan coś?

— *Je crois bien. Mon ami*, musimy łapać tę Meredith, i to szybko.

— Ja też mam ją na oku. Ale dlaczego szybko?

— Ponieważ, mój przyjacielu, ona może być niebezpieczna.

Battle zamilkł.

— Wiem, co pan ma na myśli — rzekł po chwili. — Nie ma nikogo... Och, dobrze, nie wolno nam ryzykować. Prawdę mówiąc wysłałem do niej oficjalne pismo, w którym zapowiadam się na jutro. Pomyślałem, że może dobrze ją przestraszyć.

— Niewykluczone. Mogę panu towarzyszyć?

— Naturalnie. Czuję się zaszczycony.

Poirot, zamyślony, odłożył słuchawkę.

Nie był jednak spokojny. Długo siedział przed kominkiem i myślał. Na koniec, odłożywszy lęki i wątpliwości, poszedł do łóżka.

— Zobaczmy rano — mruknął.

Nie miał pojęcia, co przyniesie rano.

ROZDZIAŁ XXVIII

Samobójstwo

Wiadomość nadeszła przez telefon w momencie, kiedy Poirot zasiadał do porannej kawy z rogalikami. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Battle'a.

— Czy to pan, Poirot?

— Tak, to ja. *Qu'est ce qu'il y a?**

Z intonacji głosu nadinspektora zgadł, że coś się zdarzyło. Niejasne złe przeczucie wróciło z nową siłą.

— Szybko, przyjacielu, mów!

— Chodzi o panią Lorrimer.

— Tak?

— Co, u diabła, powiedział jej pan wczoraj... albo ona panu? Nic mi pan nie przekazał. Pozwolił mi pan myśleć, że to Meredith jest tą, której szukamy.

— Co się stało? — zapytał spokojnie Poirot.

— Samobójstwo.

— Pani Lorrimer popełniła samobójstwo?

— Tak jest. Ostatnio wydawała się bardzo przygnębiona i zmieniona. Lekarz zalecił jej środki nasenne. Wczoraj wieczór przedawkowała.

Poirot zaczerpnął głęboko tchu.

— Przypadek nie wchodzi w rachubę?

— Żadną miarą. Napisła do tamtych trojga.

— Jakich trojga?

— Pozostałych. Roberta, Despada i panny Meredith. Wszystko jasne i proste, bez ogródek. Napisła, że chce przeciąć cały ten węzeł gordyjski, że zabiła Shaitanę, prze-

* *fr.* O co chodzi?

prasza ich wszystkich za kłopot i podejrzenia. Zupełnie chłodny, rzeczowy list. Typowy dla tej kobiety. Naprawdę zimna facetka.

Przez dłuższą chwilę Poirot nie odpowiadał.

Więc to było ostatnie słowo pani Lorrimer. Mimo wszystko zdecydowała się osłonić Annę Meredith. Szybka, bezbolesna śmierć zamiast długiej i bolesnej, ostatni altruistyczny czyn — uratowanie dziewczyny, z którą czuła się połączona tajemnymi więzami sympatii. Cała rzecz zaplanowana i pedantycznie wykonana. Samobójstwo zapowiedziane trzem zainteresowanym osobom. Co za kobieta! Ta determinacja, upór, z jakim dążyła do celu, był dla niej charakterystyczny.

Myślał, że ją przekonał — ale najwyraźniej wołała oprzeć się na własnym sędzie. To kobieta o bardzo silnej woli.

Jego rozważania przeciął głos Battle'a.

— Co, do diabła, powiedział pan jej wczoraj? Musiał jej pan napędzić strachu i oto rezultat. Mnie dawał pan do zrozumienia, że pańskie podejrzenia padają na tę Meredith.

Poirot milczał dłuższą chwilę. Czuł, że martwa pani Lorrimer zmuszała go do wypełnienia jej woli, czego żyjąca nie potrafiłaby dokonać.

Wreszcie powiedział powoli:

— Byłem w błędzie...

W jego języku były to słowa niezwykle i nie podobały mu się.

— Zrobił pan błąd, co? — zapytał Battle. — Mimo wszystko musiała pomyśleć, że jest pan na jej tropie. Fatalna historia — pozwolić jej wysliznąć się z rąk.

— Nie potrafiłby pan niczego jej udowodnić — powiedział Poirot.

— Przypuszczam, że ma pan rację. Może tak jest najlepiej... Pan... ee... nie sądził, że tak się stanie?

Poirot wyparł się z oburzeniem.

— Proszę mi opowiedzieć, co się właściwie zdarzyło — poprosił.

— Roberts otworzył jej list tuż przed ósmą. Nie tracąc czasu pojechał natychmiast samochodem, prosząc służącą o porozumienie się z nami, co też zrobiła. Dotarłszy do domu, dowiedział się, że pani Lorrimer jeszcze się nie obudziła, i popędził do jej sypialni, ale już było za późno. Próbował reanimacji, ale mu się nie udało.

— Jaki to był lek?

— Myślę, że weronal. W każdym razie coś z grupy barbituranów. Przy łóżku była buteleczka po tabletkach.

— A co z pozostałymi? Nie próbowali się z nią porozumieć?

— Desparda nie ma w mieście. Nie dostał porannej poczty.

— A panna Meredith?

— Właśnie do niej zadzwoniłem.

— *Eh bien?*

— Otworzyła list tuż przed moim telefonem. Tam pocztę dostarczają później.

— Jaka była jej reakcja?

— Odpowiednia do okoliczności. Przyzwoicie zamaskowana głęboka ulga. Mówiła, że jest wstrząśnięta i zasmucona — takie tam rzeczy.

Poirot nic nie mówił.

— Gdzie pan teraz jest?

— Na Cheyne Lane.

— *Bien*. Natychmiast tam będę.

W hallu na Cheyne Lane spotkał doktora Roberts, który akurat odjeżdżał. Zachowywał się spokojniej niż zwykle. Wydawał się blady i wstrząśnięty.

— Paskudna historia, panie Poirot. Nie mogę powiedzieć, że mi nie ulżyło — to naturalne z mojego punktu widzenia — ale mówiąc prawdę, przeżyłem szok. Ani przez moment nie myślałem, że to pani Lorrimer zasztyletowała Shaitanę. Byłem bardzo zaskoczony.

— Ja również jestem zdziwiony.

— Spokojna, zamożna, opanowana osoba. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłaby użyć przemocy. Ciekaw jestem, jaki był motyw? No cóż, nigdy się nie dowiemy. Jednak przyznaję, że jestem ciekaw.

— To... zdarzenie musiało panu zdjąć kamień z serca.

— O tak, niewątpliwie. Byłoby hipokryzją zaprzeczać. Niezbyt przyjemnie jest, gdy nad głową wisi podejrzenie o morderstwo. A co do tej kobiety — cóż, to niewątpliwie najlepsze wyjście.

— Ona też tak uważała.

— Myślę, że to sumienie — powiedział Roberts i opuścił dom.

Poirot potrząsnął głową w zamyśleniu. Doktor źle ocenił sytuację. To nie skrucha spowodowała, że pani Lorrimer odebrała sobie życie.

W drodze na górę zatrzymał się, aby powiedzieć kilka słów pociechy starszej pokojówce, która cicho płakała.

— To okropne, sir. Coś straszego. Wszyscy tak ją lubiliśmy. Wczoraj był pan u niej na herbacie i było tak miło i spokojnie. A dziś nie żyje. Nigdy nie zapomnę tego ranka — nigdy, jak długo będę żyła. Ten pan zadzwonił do drzwi. Dzwonił trzy razy, zanim zdążyłam otworzyć. „Gdzie jest twoja pani?” — rzucił. Byłam tak wzburzona, że ledwie mogłam odpowiedzieć. Widzi pan, nigdy nie wchodziliśmy do niej, zanim nie zadzwoniła — takie wydała polecenie. Słowa nie mogłam wykrztusić. A ten doktor zapytał: „Gdzie jest jej pokój?” i popędził na górę po schodach, ja za nim, pokazałam mu drzwi, a on wpadł, nawet nie pukając, spojrzał na nią i powiada: „Za późno”. Ona nie żyła, sir. Ale posłał mnie po brandy i gorącą wodę i rozpaczliwie próbował ją uratować.

A potem przysłała policja — i to nie jest... to nie jest... przyzwoite, sir. Nie podobałoby się pani Lorrimer. A dlaczego policja? To nie ich interes, nawet jeśli zdarzył się wypadek i biedna pani wzięła przez pomyłkę za dużą dawkę.

Poirot nie odpowiedział na jej pytanie.

— Czy wczoraj wieczór twoja pani była taka jak zwykle? Nie wydawała się zdenerwowana czy wytrącona z równowagi?

— Nie, nie sądzę, sir. Była zmęczona i pomyślałam, że ma bóle. Ostatnio nie czuła się dobrze.

— Tak, wiem.

Współczucie w jego głosie popchnęło ją do dalszych zwierzeń.

— Nigdy nie uskarżała się, ale obie z kucharką niepokoiłyśmy się o nią od pewnego czasu. Nie robiła tyle co dawnej i szybko się męczyła. Pomyślałam, że może wizyta tej panienki po pana wyjściu, to trochę dla niej za dużo.

Poirot odwrócił się z nogą na schodach.

— Panienka? Wczoraj wieczór przysłała tu jakaś młoda dama?

— Tak, sir. Zaraz po pana wyjściu. Nazywała się panna Meredith.

— Długo była?

— Jakąś godzinę, sir.

Poirot milczał chwilę, potem powiedział:

— A później?

— Pani położyła się; obiad zjadła w łóżku. Powiedziała, że jest zmęczona.

Poirot znowu zamilkł.

— Czy pani pisała wczoraj wieczór jakieś listy? — spytał.

— To znaczy po położeniu się? Chyba nie, sir.

— Ale nie jesteś pewna?

— W hallu na stole było kilka listów do wysłania. Zabieramy je zawsze tuż przed zamknięciem domu. Ale te już wcześniej zostały tam położone.

— Ile ich było?

— Dwa albo trzy. Nie jestem pewna, sir. Chyba trzy.

— Czy ty — lub kucharka — to znaczy ten, kto je wysyłał, nie zauważył przypadkowo, do kogo były adresowane? Proszę się nie obrażać na moje pytanie. To jest rzecz największej wagi.

— Sama poszłam z nimi na pocztę, sir. Zauważyłam ten z wierzchu, adresowany do Fortnum i Masona. O innych nic nie wiem.

Kobieta mówiła poważnie i szczerze.

— Jesteś pewna, że nie było więcej niż trzy listy?

— Tak, sir, tego jestem pewna.

Poirot skinął poważnie głową.

— Wiesz może, czy twoja pani brała lekarstwo nasenne?

— O tak, lekarz jej zapisał, doktor Lang.

— Gdzie to lekarstwo było przechowywane?

— W małej szafce w pokoju pani.

Poirot nie zadał dalszych pytań. Poszedł na górę. Jego twarz była bardzo poważna. Battle powitał go na podeście. Nadinspektor wydawał się strapiony.

— Cieszę się, że pan przyszedł. Pozwoli pan przedstawić sobie doktora Davidsona. Lekarz policyjny, wysoki, melancholijny mężczyzna, uścisnął rękę detektywa.

— Nie mieliśmy szczęścia — powiedział. — Godzinę czy dwie wcześniej mogliśmy ją uratować.

— Hm — rzekł Battle. — Nie wolno mi tego mówić oficjalnie, ale nie żałuję. Była... była damą. Nie wiem, jaki miała powód do zabicia Shaitany, ale nie wątpię, że była usprawiedliwiona.

— W każdym razie — dodał Poirot — jest wątpliwe, czy dożyłaby procesu. Była bardzo chorą kobietą.

Lekarz przytaknął.

— Ma pan rację. Cóż, może tak jest najlepiej.

Zaczął schodzić, Battle ruszył za nim.

— Chwileczkę, doktorze — powstrzymał go Poirot. — Mogę wejść? — spytał z ręką na kłamce sypialni.

Battle skinął głową.

— W porządku. My skończyliśmy.

Poirot wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi... Podeszedł do łóżka i spojrzał na spokojną, martwą twarz.

Był bardzo zaniepokojony.

Czy zmarła popełniła samobójstwo usiłując ocalić młodą dziewczynę od śmierci i hańby, czy też było inne, bardziej ponure wyjaśnienie?

Pewne fakty wskazywały...

Nagle pochylił się badając tajemniczy siniec na ramieniu zmarłej.

Wyprostował się. W jego oczach pojawił się dziwny, koci blask, który by rozpoznał jego bliscy współpracownicy.

Opuścił szybko pokój i zszedł na dół. Battle i jego podwładny stali przy telefonie. Ten ostatni odłożył słuchawkę i powiedział:

— Jeszcze nie wrócił, sir.

— Despard — wyjaśnił Battle. — Próbuję go złapać. Jest do niego list ze stemplem z Chelsea.

— Czy doktor Roberts był już po śniadaniu, kiedy tu przyszedł? — spytał nie na temat Poirot.

Battle wytrzeszczył na niego oczy.

— Nie — odparł — pamiętam, że wspominał, iż wyszedł bez śniadania.

— Zatem powinien być teraz w domu. Zastaniemy go na miejscu.

— Ale dlaczego...?

Poirot już wykręcał numer.

— Doktor Roberts? Mówię z doktorem Robertsem? *Mais oui*, tutaj Poirot. Tylko jedno pytanie. Czy zna pan pismo pani Lorrimer?

— Pismo pani Lorrimer? Ja... nie, nigdy przedtem go nie widziałem.

— *Je vous remercie**.

Poirot odłożył szybko słuchawkę.

Battle patrzył na niego ze zdumieniem.

— Co to znowu za pomysł? — zapytał spokojnie.

Poirot wziął go pod ramię.

— Słuchaj, przyjacielu. Parę minut po moim wyjściu od pani Lorrimer przyszła Anna Meredith. Widziałem, jak wchodziła po schodach, choć nie byłem wówczas pewny, czy to ona. Bezpośrednio po wyjściu Anny Meredith pani Lorrimer poszła do łóżka. Pokojówka powiedziała, że o ile wie, potem nie pisała już żadnych listów. A z powodu, który pan zrozumie, kiedy zrelacjonuję naszą rozmowę, nie wierzę, żeby napisała te trzy listy przed moją wizytą. Zatem kiedy je napisała?

— Po tym, jak służba poszła spać? — zasugerował Battle. — Wstała i nadała je sama?

— Tak, to możliwe, ale jest inna ewentualność: wcale ich nie napisała.

Battle gwizdnał.

— Mój Boże, myśli pan...

Zabrzączał telefon. Odebrał sierżant. Słuchał chwilę, potem zwrócił się do Battle'a:

— Sierżant O'Connor dzwoni z mieszkania majora Desparda. Przypuszcza, że Despard pojechał do Wallingford.

Poirot chwycił Battle'a za ramię.

— Szybko, przyjacielu. My też musimy pojechać do Wallingford. Mówię panu, że jestem niespokojny. Może to jeszcze nie koniec? Powtarzam, że ta młoda dama jest niebezpieczna.

* fr. Dziękuję panu.

ROZDZIAŁ XXIX

Wypadek

— Anno — powiedziała Rhoda.

— Mmm?

— Doprawdy, Anno, oderwij się na chwilę od krzyżówki. Chcę, żebyś mnie posłuchała.

— Słucham.

Anna usiadła wyprostowana i odłożyła gazetę.

— Tak lepiej. Słuchaj, Anno. — Rhoda zawahała się. — Chodzi o tego człowieka, co tu był.

— Nadinspektora Battle'a?

— Tak. Chciałabym, żebyś powiedziała mu o pobycie u pani Benson.

— Nonsens. Dlaczego? — spytała chłodnym tonem Anna.

— Ponieważ... to mogłoby wyglądać, że coś ukrywasz. Jestem pewna, że byłoby lepiej o tym wspomnieć.

— Nie teraz — powiedziała Anna.

— Szkoda, że od razu tego nie powiedziałaś.

— Cóż, za późno, aby zawracać sobie teraz głowę.

— Tak. — Rhoda nie wydawała się przekonana.

— Tak czy inaczej nie wiem, po co miałabym wspominać panią Benson — powiedziała z rozdrażnieniem Anna. — To nie ma nic wspólnego.

— Nie, naturalnie.

— Byłam tam tylko dwa miesiące. On pytał tylko po to, by zdobyć... referencje. Dwa miesiące się nie liczą.

— Wiem, że nie. Wiem, że to głupie, ale czuję się zaniepokojona. Czuję, że powinnaś

mu o tym wspomnieć. Widzisz, gdyby to wyszło na jaw w inny sposób, nie wyglądałoby najlepiej. Zaczęliby się zastanawiać, po co ukrywałaś.

— Nie rozumiem, jak mogłoby się to ujawnić. Nie wie nikt oprócz ciebie.

— Naprawdę?

Anna usłyszała lekkie wahanie w głosie Rhody.

— A kto inny o tym wie?

— No, każdy w Combeacre — powiedziała Rhoda po chwili milczenia.

— Ach, to! — odparła Anna ze wzruszeniem ramion. — Mało prawdopodobne, aby nadinspektor spotkał kogoś stamtąd. To byłby niezwykle zbieg okoliczności.

— Zdarzają się zbiegi okoliczności.

— Rhodo, zachowujesz się dziwnie. Wyszukujesz sobie powody do zmartwienia.

— Strasznie mi przykro, kochanie. Wiesz, co zrobiłaby policja, gdyby dowiedzieli się, że... no... że zatajasz różne rzeczy.

— Ale nie wiedzą. Kto im powie? Nie wie nikt poza tobą.

Już drugi raz powiedziała te słowa. Za drugim razem jej głos zmienił się trochę — pojawiła się w nim jakaś osobliwa nuta.

— Och, kochanie, naprawdę chciałabym, żebyś to zrobiła — westchnęła Rhoda żałośnie.

Spojrzała zmieszana na Annę, ale ta nie patrzyła na nią. Siedziała zachmurzona, jakby się nad czymś zastanawiała.

— Miło, że zjawi się major Despard — zauważyła Rhoda.

— Co? Ach, tak.

— Anno, on jest taki sympatyczny! Jeśli go nie chcesz, oddaj mi go proszę!

— Nie gadaj głupstw, Rhodo. Jemu na mnie wcale nie zależy.

— Więc dlaczego wciąż wraca? Oczywiście, że kocha się w tobie. Jesteś uciśnioną dziewczicą, którą on z radością by uratował. Wydajesz się tak ślicznie bezradna.

— Jest jednakowo miły dla nas obu.

— To tylko uprzejmość. Ale jeśli ty go nie chcesz, mogłabym wkroczyć jako współczująca przyjaciółka, pocieszać jego złamane serce... i na koniec go złapać. Kto wie?

— Weź go sobie, proszę bardzo — powiedziała Anna ze śmiechem.

— Ma taki śliczny kark — westchnęła Rhoda. — Ogorzały i muskularny.

— Kochanie, musisz być tak sentymentalna?

— Lubisz go, Anno?

— Tak, bardzo.

— Czy nie jesteśmy sztywne i stateczne? Myślę, że on lubi mnie troszkę. Nie tak mocno jak ciebie, ale odrobinę.

— Naprawdę cię lubi.

Znowu w jej głosie zabrzmiała niezwykła nuta, ale Rhoda nie zwróciła na to uwagi.

— O której przychodzi nasz pies policyjny? — zapytała.
— O dwunastej — odparła Anna.
— Jest dopiero pół do jedenastej — dodała po chwili. — Chodźmy nad rzekę.
— Ale czy... czy Despard nie mówił, że wpadnie koło jedenastej?
— Po co mamy na niego czekać? Możemy zostawić mu wiadomość u pani Astwell i przyjdzie do nas.
— Rzeczywiście, trzeba się cenić, kochanie, jak mówiła zawsze mama! — zaśmiała się Rhoda. — Chodźmy więc.
Wyszła do ogrodu, a Anna za nią.

Major Despard przybył do „Wendon Cottage” mniej więcej po dziesięciu minutach. Wiedział, że przyszedł wcześniej niż zapowiedział, więc zaskoczyło go, że obie dziewczyny właśnie wyszły.

Przeszedł na skos przez ogród i pole i skierował się w stronę rzeki.

Pani Astwell patrzyła za nim chwilę.

— Kocha się w jednej z nich — powiedziała do siebie. — Myślę, że w paniencie Annie, ale nie jestem pewna. Nie daje po sobie łatwo poznać. Traktuje je podobnie. Nie jestem pewna, czy czasem obie się w nim nie podkochują. Jeżeli tak, ich przyjaźń wkrótce się skończy. Nic tak nie różni młodych dam jak dżentelmen. Przyjemnie pod-ekscytowana pączkującym romansem, pani Astwell wróciła do zmywania naczyń ze śniadania, gdy znowu odezwał się dzwonek do drzwi.

— Do licha z tymi drzwiami — powiedziała. — Oni robią to naumyślnie. Pewnie paczka. Albo może telegram.

Powoli powlokła się otworzyć.

Na progu stali dwaj panowie: mały obcokrajowiec i duży, tęgi i bardzo brytyjski mężczyzna. Przypomniała sobie, że tego ostatniego już widziała.

— Czy panna Meredith jest w domu? — zapytał ten większy.

Pani Astwell potrząsnęła głową.

— Właśnie wyszła.

— Tak? Dokąd? Nie spotkaliśmy jej.

Pani Astwell, obejrzawszy dyskretnie zdumiewające wąsy drugiego dżentelmena i doszedłszy do wniosku, że panowie tworzą dziwną parę, udzieliła dalszych informacji.

— Poszła nad rzekę — wyjaśniła.

— A koleżanka? Panna Dawes? — wtrącił mniejszy.

— Poszły obie.

— Ach, dziękuję — rzekł Battle. — Zaraz, którędy idzie się nad rzekę?

— Najpierw w lewo, alejką. Kiedy dojdzie pan do ścieżki nad rzeką, skrócić w pra-

wo. Słyszałam, jak mówiły, że tamtędy właśnie pójda — dodała uczynnie. — Nie minął jeszcze kwadrans. Powinni je panowie szybko dogonić.

— Ciekawa jestem — powiedziała do siebie, kiedy zamykała drzwi, patrząc zaintrygowana na oddalających się gości — kim są ci dwaj. Jakoś nie mogę ich umiejscowić.

Pani Astwell wróciła do kuchennego zlewu, a Battle i Poirot skręcili w lewo, w alejkę, która wkrótce doprowadziła ich do nadrzecznej ścieżki.

Poirot szedł pośpiesznie. Battle patrzył na niego z zaciekawieniem.

— Coś się stało? Wydaje się, że pan bardzo się śpieszy.

— To prawda. Jestem niespokojny, przyjacielu.

— Czymś konkretnym?

Poirot potrząsnął głową.

— Nie. Są różne możliwości. Nigdy nie wiadomo...

— Ma pan coś na myśli — powiedział Battle. — Nalegał pan, żebyśmy przyjechali tu dziś rano nie tracąc ani chwili i, dając słowo, zmusił pan konstabla Turnera, aby naciskał gaz! Czego się pan obawia? Dziewczyna już zrobiła swoje.

Poirot milczał.

— Czego się pan obawia? — powtórzył Battle.

— A czego się zwykle należy bać w takich wypadkach?

— Ma pan zupełną rację. Chciałbym wiedzieć...

— Co chciałby pan wiedzieć, przyjacielu?

— Zastanawiam się — powiedział wolno Battle — czy panna Meredith wie, że jej przyjaciółka przekazała pani Oliver pewien fakt.

Poirot skinął głową z uznaniem.

— Szybciej, przyjacielu — ponaglił.

Popędzili brzegiem rzeki. Na wodzie nie było widać łodzi, ale kiedy minęli zakręt, Poirot stanął nagle jak wryty.

— Major Despard! — wykrzyknął Battle.

Despard znajdował się na ścieżce jakieś dwieście metrów przed nimi.

Trochę dalej, na wodzie, widać było dwie dziewczyny w płaskodennej łodzi. Rhoda wiosłowała, Anna leżała i śmiała się do niej. Żadna z nich nie patrzyła w kierunku brzegu.

I wtedy — stało się. Anna wyciągnęła rękę, Rhoda zachwiała się i wypadła za burtę. Rozpaczliwie próbowała złapać rękaw Anny. Łódź się rozkołysała, wywróciła do góry dnem i w wodzie szamotały się już dwie dziewczyny.

— Widziałeś? — krzyknął Battle ruszając sprintem.

— Ta Meredith chwyciła ją za kostkę i wypchnęła z łodzi. Boże, to jej czwarte morderstwo!

Pobiegli szybko, jednak major Despard, który znajdował się przed nimi, pierwszy

dopadł brzegu i skoczył. Było jasne, że żadna z dziewcząt nie umie pływać.

— *Mon Dieu*, to interesujące — zawołał Poirot. Złapał Battle'a za ramię. — Którą z nich wyciągnie pierwszą?

Dziewczyny dzieliło około dwudziestu metrów.

Despard płynął ku nim z całych sił. Kierował się prosto do Rhody. Po chwili Battle również skoczył na ratunek. Despard właśnie doholował Rhodę szczęśliwie do brzegu. Wyciągnął ją, położył na ziemi i skoczył znowu, płynąc do miejsca, w którym była Anna.

— Uważaj — krzyknął Battle. — Wodorosty. Obaj dotarli na miejsce w tym samym czasie, ale Anna poszła pod wodę, zanim dopłynęli.

Gdy znaleźli się z Anną na brzegu, Poirot udzielił już pomocy Rhodzie. Siedziała teraz, oddychając nierówno.

Despard i Battle położyli Annę na ziemi.

— Sztuczne oddychanie — powiedział Battle. — Tylko to można jeszcze zrobić. Choć obawiam się, że nie żyje.

Zabrał się do odratowywania dziewczyny. Poirot stał obok, gotów go zmienić.

Despard osunął się na ziemię obok Rhody.

— Nic pani nie jest? — zapytał ochryple.

— Pan mnie uratował. Pan uratował właśnie mnie... Wyciągnęła do niego ręce, a kiedy je ujął, wybuchnęła nagle płaczem.

— Rhoda... — szepnął.

Ich ręce trwały w uścisku...

Nagle przed oczami majora stanął afrykański busz i Rhoda uśmiechnięta i odważna przy jego boku...

ROZDZIAŁ XXX

Morderstwo

— Czy pan chce powiedzieć — spytała Rhoda niedowierzająco — że Anna popchnęła mnie umyślnie? Wiem, że to tak wyglądało. I że wiedziała, że nie umiem pływać. Ale czy... czy to było rozmyślnie?

— Jak najbardziej — odparł Poirot.

Jechali przez przedmieścia Londynu.

— Ale... czemu... czemu?

Poirot milczał dłuższą chwilę. Pomyślał, że zna jeden z motywów, które popchnęły Annę do działania, i że ten motyw siedzi w tej chwili obok Rhody.

Nadinspektor Battle odchrząknął.

— Musi się pani przygotować na pewien szok, panno Dawes. Śmierć pani Benson, u której mieszkała pani przyjaciółka, nie była przypadkowa — przynajmniej mamy powód tak sądzić.

— Co pan ma na myśli?

— Jesteśmy przekonani — powiedział Poirot — że Anna Meredith zamieniła butelki.

— Och, nie, nie, to okropne! To niemożliwe. Anna? Dlaczego?

— Miała swoje powody — odparł nadinspektor Battle. — Ale rzecz w tym, że panna Meredith wiedziała, że pani jest jedyną osobą, która mogłaby dać nam klucz do tego zdarzenia. Nie wspomniała jej pani, jak sądzę, że powiedziała pani wszystko pani Oliver?

— Nie. Pomyślałam, że byłaby na mnie zła.

— I byłaby zła, nawet bardzo — rzekł Battle ponuro. — Pomyślała, że jedyne niebezpieczeństwo może nadejść z pani strony i zdecydowała się... wyeliminować panią.

— Wyeliminować? Mnie? Och, to nieludzkie! To nie może być prawda.

— Ona już nie żyje — powiedział nadinspektor — więc nie drażmy tego tematu. Nie była to jednak odpowiednia przyjaciółka dla pani, panno Dawes.

Samochód zatrzymał się przed bramą.

— Zapraszam państwa do pana Poirota — rzekł Battle — na rozmowę.

W salonie Poirota powitali ich pani Oliver i doktor Roberts. Popijali sherry. Pani Oliver miała na sobie kapelusz, jaki przeważnie nosi się na wyścigach i aksamitną suknię z kokardą, na której spoczywał kawałek jabłka.

— Wchodźcie, wchodźcie — powiedziała pisarka gościnnie, jakby to był jej dom, a nie Poirota. — Jak tylko zadzwoniliście, zatelefonowałam do doktora Roberts i przyszliśmy tutaj. Wszyscy jego pacjenci umierają, ale on ich zostawił. Ha, ha, pewnie im się poprawi! Chcemy się wszystkiego dowiedzieć.

— Tak jest. Nic nie rozumiem, jestem całkiem oszołomiony — poparł ją Roberts.

— *Eh bien* — rzekł Poirot. — Sprawa zakończona. Morderca pana Shaitany został odkryty.

— Tak powiedziała mi pani Oliver. Ta ślicznotka, Anna Meredith. Ledwie mogę w to uwierzyć. Nie do wiary, ona morderczynią!

— A jednak naprawdę tak było — rzekł Battle. — Miała trzy morderstwa na koncie i nie jej wina, że nie udało się jej czwarte.

— Niewiarygodne! — mruknął Roberts.

— Wcale nie — zaprzeczyła pani Oliver. — Najmniej prawdopodobna osoba. Widać w życiu kończy się tak samo, jak w książkach.

— Zdumiewający dzień — wtrącił Roberts. — Najpierw list pani Lorrimer. Przypuszczam, że to było fałszerstwo, co?

— Właśnie. Fałszerstwo w trzech kopiach.

— Do siebie również napisała?

— Naturalnie. Fałszerstwo było całkiem zręczne. Wprawdzie nie wprowadziło by w błąd eksperta, ale było mało prawdopodobne, aby wzywano eksperta. Wszystko wskazywało, że pani Lorrimer popełniła samobójstwo.

— Proszę wybaczyć moją ciekawość, panie Poirot, ale co naprowadziło pana na podejrzenie, że to nie było samobójstwo?

— Mała rozmowa, którą miałem z pokojówką na Cheyne Lane.

— Powiedziała panu o wizycie Anny Meredith poprzedniego wieczoru?

— Między innymi. A poza tym, widzi pan, już dawno odgadłem, kim jest morderca. To nie była pani Lorrimer.

— A co sprawiło, że zaczął pan podejrzewać pannę Meredith?

Poirot podniósł rękę.

— Chwileczkę. Pozwólcie mi przedstawić sprawę na mój sposób. Czyli dojść do praw-

dy drogą eliminacji. Mordercą Shaitany nie była pani Lorrimer ani major Despard, ani, co ciekawsze, Anna Meredith... ponieważ, doktorze Roberts, pan zabił pana Shaitanę; pan także zabił panią Lorrimer...

Zapanowała cisza. Po długiej chwili Roberts zaśmiał się.

— Czy pan zupełnie zwariował, panie Poirot? — spytał głosem, w którym dźwięczała groźba. — Nie zabiłem Shaitany i nie miałem możliwości zamordowania pani Lorrimer. Mój drogi Battle — zwrócił się do przedstawiciela Scotland Yardu — co pan na to?

— Niech pan lepiej posłucha, co mówi Poirot — odparł spokojnie Battle.

Poirot ciągnął:

— To prawda, że choć od pewnego czasu wiedziałem, że pan i tylko pan mógł zabić Shaitanę, nie byłoby to łatwe do udowodnienia. Jednak w przypadku pani Lorrimer to co innego. Nie muszę zgadywać... ponieważ mamy świadka, który widział, jak pan to robił.

Roberts uspokoił się. Jego oczy błysnęły.

— Mówi pan bzdury — powiedział ostro.

— O nie, bynajmniej. To było wcześniej rano. Wpadł pan do pokoju pani Lorrimer, która spała jeszcze głęboko pod wpływem zażytego wieczorem środka nasennego. Krzyknął pan do służącej, że pani Lorrimer nie żyje, i zanim zdołała się zorientować, że pan blefuje — wypchnął ją po brandy, gorącą wodę i całą resztę. Został pan sam w pokoju. I co się dalej dzieje?

Pan może nie wie, doktorze Roberts, że jest taka firma, w której można sobie zamówić mycie okien wcześniej rano. Pracownik tej firmy przyszedł równo z panem. Oparł drabinę o bok domu i rozpoczął pracę. Pierwsze okno, do którego się zabrał, należało do pokoju pani Lorrimer. Kiedy zobaczył, co się dzieje, szybko przeszedł do innego okna, ale przedtem zdołał coś zauważyć. On sam nam o tym opowie.

Poirot podszedł do drzwi, nacisnął klamkę i zawołał:

— Wejdźcie, Stephens.

Do pokoju wkroczył wielki, niezgrabny rudzielec. W rękach miętosił czapkę z napisem „Chelsea Window Cleaners’ Association”.

Poirot zapytał:

— Czy w tym pokoju jest ktoś, kogo rozpoznajecie?

Mężczyzna rozejrzał się wokoło i nieśmiało skinął głową w kierunku doktora Robertsa.

— Jego.

— Powiedzcie nam, kiedy widzieliście go ostatnio i co wtedy robił.

— To było dziś rano. Miałem robotę o ósmej rano w domu na Cheyne Lane. Zacząłem myć okno. W tym pokoju w łóżku leżała kobieta. Jak spojrzałem właśnie ob-

racała głowę na poduszce. Wyglądała na chorą. Ten pan to pewnie doktor. Podniósł jej rękaw i dziabnął ją tu, w ramię — wskazał gestem. — Ona znowu opadła na poduszkę. Pomyślałem, że lepiej zwięję do innego okna. Mam nadzieję, że nie zrobiłem nic złego?

— Przeciwnie, przyjacielu — powiedział Poirot.

I dodał spokojnie:

— *Eh bien*, doktorze Roberts?

— Zwyczajny środek pobudzający... — jąkał się Roberts. — Ostatnia nadzieja, żeby ją ocucić. To ohydne...

— Zwyczajny środek pobudzający? — przerwał mu Poirot — sól sodowa kwasu 5 — (1-cykloheksen-1-ylo) — 1,5-dimetylobarbiturowego. Recytował z naciskiem sylaby. — Znany po prostu jako evipan. Używany jako środek znieczulający do krótkich operacji. Wstrzyknięty dożylnie w dużej dawce powoduje natychmiastową utratę przytomności. Jest niebezpieczny po podaniu weronalu lub innych barbituranów. Zauważyłem na jej ramieniu siniec, który został po zastrzyku. Wspomniałem o tym lekarzowi policyjnemu i sam sir Charles Impbery, analityk Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zidentyfikował lek.

— Myślę, że to uszyło panu buty — powiedział nadinspektor Battle. — Nie musimy udowadniać tej sprawy z Shaitaną, choć, oczywiście, jeśli będzie trzeba, wniesiemy nawet oskarżenie o zamordowanie pana Charlesa Craddocka... i prawdopodobnie jego żony.

Wspomnienie tych dwóch nazwisk wykończyło Roberta.

Odchylił się do tyłu w fotelu.

— Rzucam karty — powiedział. — Dostaliście mnie! Przypuszczam, że ten cwany diabeł, Shaitana, uprzedził was tego wieczoru, co jest grane. A ja myślałem, że się z nim rozprawiłem.

— Nie zawdzięcza pan tego Shaitanie — rzekł Battle. — Zaszczyt należy się panu Poirotowi.

Podszedł do drzwi i wpuścił dwóch mężczyzn.

Nadinspektor Battle dokonał aresztowania.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, pani Oliver powiedziała z zadowoleniem, choć niezupełnie zgodnie z prawdą:

— Zawsze mówiłam, że to on!

ROZDZIAŁ XXXI

Karty na stół

To była chwila Poirota. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu, ożywione przyjemnym oczekiwaniem.

— Państwo są bardzo uprzejmi — powiedział z uśmiechem. — Myślę, że wiecie, jak cieszą mnie moje małe wykłady. Jestem, niestety, przyziemny.

To jedna z najciekawszych spraw, jakie mi się trafiły. Nie było żadnych poszlak. Tylko cztery osoby, z których jedna musiała popełnić zbrodnię. Ale kto? Czy mieliśmy jakieś wskazówki? W materialnym sensie — nie. Nie zostały uchwytnie ślady: odciski palców, obciążające papiery czy dokumenty. Byli tylko ludzie.

I jedna wskazówka: zapisy brydżowe.

Pamiętają może państwo, że od samego początku bardzo się tymi zapisami interesowałem. Powiedziały mi co nieco o poszczególnych osobach, które je prowadziły. I coś jeszcze. Dały mi wartościową wskazówkę. W trzecim robrze zauważyłem liczbę 1500 nad kreską. Ta liczba mogła przedstawiać tylko jedno: wielkiego szlema. Pomyślałem tak: jeśli ktoś zamierza popełnić zbrodnię w tych niezwykłych okolicznościach (czyli podczas rozgrywania robra), to naraża się na dwa niebezpieczeństwa. Po pierwsze, że ofiara krzyknie, po drugie, że ktoś z grających może przypadkowo spojrzeć i stać się świadkiem czynu.

Pierwszego niebezpieczeństwa nie da się wyeliminować. Można liczyć tylko na szczęście. Ale inaczej przedstawia się sprawa z drugim. Rzecz jasna, że podczas bardzo interesującego rozdania uwaga trojga graczy będzie skupiona na grze. Bardziej prawdopodobne, że będą się rozglądać w czasie nudnej gry. Rozgrywanie szlema zawsze wzbudza emocje. Jest on bardzo często (jak w tym wypadku) kontrowany. Każdy z trzech graczy gra w skupieniu. Głoszący chce zrobić kontrakt, przeciwnicy — zrzucić

się właściwie i położyć go. Było zatem bardzo prawdopodobne, że morderstwo zostało popełnione w czasie tej właśnie rozgrywki. Zdecydowałem więc, że jeśli się da, należy odkryć, jak przebiegała licytacja. Wkrótce stwierdziłem, że wychodzącym podczas tego rozdania był doktor Roberts. Zachowałem to w pamięci i podszedłem do sprawy pod innym kątem — psychologicznego prawdopodobieństwa. Z czworga podejrzanych pani Lorrimer wywarła na mnie wrażenie osoby, która ma największe szansę zaplanować i dokonać pomyślnie morderstwa, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, że popełnia zbrodnię w sposób improwizowany, spontaniczny. Z drugiej strony zdziwiło mnie jej zachowanie tego wieczoru. Sugerowało, że albo sama popełniła zbrodnię, albo wie, kto ją popełnił. Panna Meredith, major Despard i doktor Roberts też mogli ją popełnić, choć każde z nich zrobiłoby to inaczej.

Przeprowadziłem więc drugi test. Każdego z podejrzanych poprosiłem, aby powiedział mi, co zapamiętał z tamtego pokoju. Przyniosło mi to trochę wartościowych informacji. Przede wszystkim okazało się, że najbardziej prawdopodobną osobą, która mogła zauważyć sztylet, jest doktor Roberts. Jest on z natury człowiekiem spostrzegawczym. Jednak z brydżowych rozdań nie pamiętał praktycznie nic. Nie spodziewałem się, że zapamięta dużo, ale taki kompletny brak pamięci wskazywał, że tego wieczoru miał coś innego na głowie. Znowu, widzą państwo, wychodzi doktor Roberts.

Z kolei stwierdziłem, że pani Lorrimer ma cudowną pamięć do kart. Pomyślałem, że jeśli ktoś potrafi się aż tak skoncentrować, można przy nim popełnić morderstwo, a on się nawet nie zorientuje. Pani Lorrimer dała mi cenną informację. Wielki szlem został wylicytowany przez doktora Robertsa bez uzasadnienia — i to w jej kolorze, nie w jego własnym, tak, że musiała rozgrywać.

Trzeci test, po którym nadinspektor Battle i ja wiele sobie obiecywaliśmy, to ustalenie wcześniejszych morderstw, aby stwierdzić podobieństwo metody. Cóż, tu zasługa należy do nadinspektora, pani Oliver i pułkownika Race'a. Kiedy dyskutowałem o tej sprawie z moim przyjacielem Battle'em, zwierzył mi się, że jest rozczarowany brakiem podobieństwa między dwiema wcześniejszymi zbrodniami a morderstwem Shaitany. Tymczasem to nie jest prawda. Kiedy zbada się dokładnie dwa morderstwa przypisywane doktorowi Robertswi z psychologicznego punktu widzenia, okazuje się, że są takie same jak morderstwo Shaitany. Są również publiczne. Pędzel do golenia zainfekowany we własnej łazience ofiary, podczas gdy doktor mył tam ręce po wizycie. Morderstwo pani Craddock pod przykrywką szczepienia przeciw tyfusowi. Znowu dokonane otwarcie — na oczach świata, można powiedzieć. I taka sama reakcja tego człowieka: zapędzony do kąta ocenia szansę i działa natychmiast. Zuchwały, bezczelny blef — dokładnie jak jego gra w brydża. Tak jak w brydżu, w morderstwie Shaitany podjął dalekosiężne ryzyko i dobrze rozegrał kartę. Cios wymierzył celnie i w odpowiedniej chwili.

Gdy doszedłem do wniosku, że to Roberts jest mordercą, zaprosiła mnie do siebie

pani Lorrimer i przyznała się do zbrodni! Prawie jej uwierzyłem! Przez chwilę jej wierzyłem, a potem moje małe, szare komórki przystąpiły do pracy. Nie mogło tak być — więc nie było!

Wówczas pani Lorrimer powiedziała mi prawdę... lecz prawda ta była jeszcze mniej prawdopodobna. Otóż zapewniła mnie, że widziała, jak Anna Meredith popełniała zbrodnię.

Dopiero następnego dnia rano, kiedy stałem przy łóżku zmarłej kobiety, zrozumiałem, co się stało. Pani Lorrimer mówiła jednak prawdę.

Anna Meredith podeszła do kominka i zobaczyła, że Shaitana nie żyje! Zatrzymała się nad nim, może wyciągnęła rękę ku błyszczącej główce szpilki ozdobionej kamieniami. Już rozchyliła usta, by zaalarmować resztę, kiedy przypomniała sobie, co mówił Shaitana przy obiedzie. Może zostawił jakąś notatkę? Ona, Anna Meredith, ma motyw, aby mu życzyć śmierci. Każdy powie, że go zabiła. Trzęsąc się z obawy i przerażenia wróciła na miejsce.

Pani Lorrimer nie kłamała, ponieważ rzeczywiście widziała to, co wzięła za zbrodniczy czyn, ale ja również miałem rację, ponieważ naprawdę tego nie widziała.

Gdyby Roberts poprzestał na tej zbrodni, wątpię, czy kiedykolwiek coś byśmy mu udowodnili. Mogliśmy najwyżej zalefować i za pomocą różnych pomysłowych sztuczek wyciągnąć z niego wyznanie. W każdym razie ja bym spróbował.

Roberts jednak stracił zimną krew i jeszcze raz przelicytował. Ale tym razem karty ułożyły się źle i przegrał.

Bez wątpienia był niespokojny. Wiedział, że Battle węszy. Przewidywał, że obecna sytuacja będzie trwać w nieskończoność, policja będzie wciąż szukać i być może przez przypadek wpadnie na ślad jego wcześniejszych zbrodni. Wpadł więc na znakomity pomysł uczynienia kozła ofiarnego z pani Lorrimer. Jako lekarz niewątpliwie odkrył, że była ciężko chora i że rokowania są bardzo złe. To naturalne, że woli odejść szybko i bez bólu, a przedtem przyznać się do zbrodni! Zdobył próbkę jej pisma, sfałszował trzy listy i przyjechał do niej co tchu rano, z historią o liście samobójczym, który otrzymał. Swoją pokojówkę poinstruował, aby zadzwoniła na policję. Potrzebował tylko czasu. Udało mu się. Do momentu przyścia lekarza policyjnego było po wszystkim. Doktor Roberts był gotów ze swoją historią o bezskutecznych próbach ratunku. Wszystko było prawdopodobne... i bardzo łatwe.

Nie miał zamiaru rzucać podejrzania na Annę Meredith. Nie wiedział nawet o jej wycie poprzedniego wieczoru. Dążył jedynie do zaaranżowania samobójstwa i zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Kiedy spytałem go, czy znał pismo pani Lorrimer, przeżył okropną chwilę. Na wypadek gdyby fałszerstwo miało zostać wykryte, musiał udawać, że nigdy nie widział jej pisma. Jego umysł pracował szybko, ale nie dość szybko.

Z Wallingford zadzwoniłem do pani Oliver. Zgodziła się uspić jego podejrzania

i przyprowadzić go tutaj. I kiedy gratulował sobie, że wszystko jest w porządku, choć nie w sposób, jaki planował — pada cios. Pojawia się Herkules Poirot! Hazardzista nie może wziąć więcej lew. Rzuca karty na stół. *C'est fini**

Nastąpiła cisza.

— Jakie szczęście — westchnęła w końcu Rhoda — że ten czyściciel okien był tam akurat.

— Szczęście? Szczęście? To nie było szczęście, *mademoiselle*. To były szare komórki Herkulesa Poirota. I to mi przypomina...

Podszedł do drzwi.

— Proszę wejść, proszę wejść, mój drogi. Zagrał pan swoją rolę *à merveille***.

Wszedł czyściciel okien. W rękę trzymał swoją rudą czuprynę i wyglądał zupełnie inaczej niż poprzednio.

— Mój przyjaciel, Gerald Hemmingway, bardzo obiecujący młody aktor — przedstawił go detektyw.

— Więc nie było czyściciela okien? — krzyknęła Rhoda. — Nikt go nie widział?

— Ja go widziałem — rzekł Poirot. — Oczami umysłu można zobaczyć więcej niż oczami ciała. Trzeba się oprzeć i zamknąć oczy...

— Zasztyletujemy go, Rhoda — powiedział wesoło Despard. — Przekonamy się, czy jego duch wróci i odkryje, kto to zrobił.

* *fr.* To wszystko.

** *fr.* Cudownie.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	4
ROZDZIAŁ II	8
ROZDZIAŁ III	14
ROZDZIAŁ IV	20
ROZDZIAŁ V	27
ROZDZIAŁ VI	31
ROZDZIAŁ VII	35
ROZDZIAŁ VIII	38
ROZDZIAŁ IX	45
ROZDZIAŁ X	53
ROZDZIAŁ XI	59
ROZDZIAŁ XII	64
ROZDZIAŁ XIII	69
ROZDZIAŁ XIV	76
ROZDZIAŁ XV	82
ROZDZIAŁ XVI	87
ROZDZIAŁ XVII	91
ROZDZIAŁ XVIII	97
ROZDZIAŁ XIX	102
ROZDZIAŁ XX	113

ROZDZIAŁ XXI	118
ROZDZIAŁ XXII	122
ROZDZIAŁ XXIII	124
ROZDZIAŁ XXIV	129
ROZDZIAŁ XXV	133
ROZDZIAŁ XXVI	136
ROZDZIAŁ XXVII	141
ROZDZIAŁ XXVIII	144
ROZDZIAŁ XXIX	150
ROZDZIAŁ XXX	155
ROZDZIAŁ XXXI	159